PRZEKŁADY

I

RYMY WŁASNE.

PRZEKŁADY

I

RYMY WŁASNE

KAROLA KRUZERA.

TOM DRUGI.

WARSZAWA.
Drukiem Emila Skiwskiego.
ulica Elektoralna, Nr. 28.

1876.

Дозволено Цензурою
Варшава 10 Марта 1876 г.

PRZEKŁADY WALTER-SCOTT.

Harold Nieustraszony.

Zaręczyny Triermaina.

Widzenie don Roderyka.

Oh! memory with more than Egypt's art,
Enbalming all the sorrows of the heart,
Sits at the altar which she raised to woe,
And feeds the source whence tears eternal flow!

Curran.

O! pamięć, dzielniéj niźli Egipcjanie,
Zabalsamuje każde serca łkanie,
I wznosząc smutkom świątynię, w niéj siada
Podsycać źródło, zkąd wieczna łza spada.

HAROLD NIEUSTRASZONY.

HAROLD NIEUSTRASZONY.

Poemat

Walter-Scotta,

W SZEŚCIU PIEŚNIACH.

PROLOG.

Jest jakaś niemoc, choroba duszy,
Która nam wszystkim, gdy wieczorami,
Po dniu burzliwym, drobny deszcz pruszy,
Omracza serce tęsknicy mgłami.
Otrętwion umysł nasz coś przywala,
Nic nie przyspiesza biegu chwil ckliwych,
I wyobraźnię nam nie rozpala
Mądrość, pochodnią skier połyskliwych.
Krajobraz barwy, zda się nam, zmienia,
Cudna melodja dźwięki, a przecie
Nikt się nie żali na te cierpienia,
Aez go ich ciężar kamieniem gniecie.
Bo gdzież współczucie znaleźć takiemu,
Co nie wie co go boli, i czemu?

Wesoły łowiec w smutek zapada,
Gdy zasępione niebieskie stopy,
W jesieni płoszą mu kaczek stada,

Lejąc z zgęszczonych chmurwisk potopy.
Zna go i rybak, który, gdy znowu
Stawy wysusza mu letnia spieka,
Tracąc nadzieję rybiego łowu,
Na upragniony dészcz próżno czeka.
Lecz was najwięcéj żal mi dziewczęta;
Biedne piękności! gdy wam ojcowie,
Albo co gorsza, ciocia zaklęta,
Na widowisko, lub bal surowie
Wzbroni iść, gdy w krąg rówiennic roje
Olśniewające gotują stroje.

Nudo! czy Spleenie! jak cię przechrzcili
Przodkowie moi; tyle ci winien
Świat wynalazków, że w każdéj chwili
Wdzięczne-ć słać dzięki za nie powinien:
Karty, wrzawliwe kości, bilary,
Tokarstwo, szachy, wreszcie kręgielnie,
Któremi każdy, młody czy stary,
Weseli serce szermierząc dzielnie.
Ty możesz jeszcze mądre i liczne
Gry przysposabiać, w kształtach ozdobnych.
Jak pneumatyczne przyrządy śliczne,
Postrach żab, szczurów i im podobnych.
(Ileż to mordów, taka szczęśliwa,
Filozoficzna, nazwa pokrywa!)

Jakiż poeta wymienić zdoła,
Owych ksiąg stosy, przejrzanych skrzętnie,
Które wertował w mozole czoła,
Byś choć spójrzała nań obojętnie.
Ileż to nowell, dram, poematów,
Ledwie pobieżnie, raz przeczytano!...
Lecz z tych pismiennych wyłączam gratów,
Utwory Edgworth, acz mu twe miano
Sama nadała; a potém!... potém!...
Thomsona mrzonki tak rozbujałe;
Bo one właśnie twym antydotem;
Takie to wzniosłe, cudne, wspaniałe!
Oby i ma pieśń, kiedyś, natchniona,
Mogła być do ich kółka wliczona.

Każdy, gdy taki Spleen go opęta,
Szuka właściwych mu na to leków.
Ja, jako tako zbywam natręta,
Ślęcząc po księgach z rycerskich wieków.
Więc na kanapie méj wyciągnięty,
Tonę, w ciekawéj ich dla mnie treści,
Aż znużon umysł, pół snem ujęty,
Dopełnia marząc, resztę powieści.
Wówczas junacy, wówczas dziewice,
Olbrzymy, karły, powietrznym szlakiem,
Zmieniając coraz kształty i lice,
Ciągną przedemną długim orszakiem.

A w końcu wszystko w omroczu znika,
Przeobrażone w sen czytelnika.

Takie to środki myśl mi doradza.
A choćbym jako Paridel wtóry,
Którego Pope na fotel sadza,
Przeżył nie wstając, dnie i wieczory,
Zawsze-b nęciły mię wielce wdzięki
Dawnych romansów, legend, i owe
O Nekromanach, Wróżkach, piosenki,
Takie cudowne, takie sercowe.
I tych Powieści Wschodnich zbiór cały,
Powlekający takiémi barwy,
Te Talizmany, te Ptako-Skały,
Genjusze dobre, przeklęte Larwy.
Tak! to mię bawi! mówię otwarcie,
Choćby się pedant śmiał najzażarciéj.

Czasem w podobném usposobieniu,
Spleen nie proszonym odstraszam rymem,
Który, oburżon, wnet po skleceniu,
Na cztéry wiatry, rozrzucam z dymem;
Ale obecny jakoś ocalał,
I wyznam szczérze, że się nie troszczę
Czy go recenzent będzie pochwalał,
Czy krytycznémi baty wychłoszcze.

Bo taki kogoś on mu na drwinę
Choć chwilkę zajmie, bogdaj pozornie.
A w zamian za to, o odrobinę
Taką, o takie nic, błaga kornie,
By tylko Nuda, raz go czytając
Parsknęła śmiechem, ciągle ziewając.

HAROLD NIEUSTRASZONY.

PIEŚŃ PIERWSZA.

I.

Hrabia Witykind, Królewskiego rodu,
Przewodził Duńskim hufcom dzielnie z młodu.
Biada krajowi do którego wkroczył.
Wnet go posoką mieszkańców obroczył,
Tu porznął księży, tam powykradano
Dziewice, albo sromocąc, porwano.
Kruki i wilki, w ślady za nim, rade
Ciągnęły tłumem na trupią biesiadę.
Skoro swe czarne rozwinął sztandary
Pożogi świątyń, klasztorów pożary,
Gorzały wszędy, zgliszczami swych szczętów,
Znacząc odwroty jego do okrętów.

II.

Brzegi Irlandji imię jego znały,
Powiewy Francji flagi kołysały,
A nawet Szkockich gór kamienne węgły,
Dźwigały sztandar ten, w biodra im wstrzęgły.
Ale najchętniéj do Anglji wybrzeży
Podpływał hardo, dla sutych łupieży.
On na nie spadał często tak, i nagle,
Że skoro jego dostrzeżono żagle.
Wnet na dźwięk trąby, wyspiarz przerażony
Sypie okopy, poprawia bastjony;
A rolnik spiesznie od skiby umyka,
Znając szatańską wściekłość rozbójnika.
Płonące stosy czerwieniły góry,
Po kraju jęczał trwogi dzwon ponury,
Podczas gdy księża, pod niebios sklepienia
Słali błagalne, przerażeni, pienia:
„O! przenajświętsza Ty Panno bez zmazy!
Strzeż od powodzi nas, ognia, zarazy,
Głodu, niewoli, i najstraszniéjszego
Z nich, Witykinda, rycerza Duńskiego.”

III.

Anglję tak umiał wysoko ocenić,
Że chcąc ją w drugą ojczyznę zamienić,

Spadł na nią z całą siłą niespodzianie.
Trzech Hrabiów wyszło na jego spotkanie;
Dwóch, pokonawszy uwięził, trzeciego
Na pobojsku zostawił skłutego.
Potém, ściągając z Humbru swe szeregi,
Northumberlandu opasał wnet brzegi.
Stary Król nie mógł już władać orężem,
Ale w obradach najmędrszym był mężem.
Więc poganina mnogiemi ofiary
Wolał przejednać, szląc mu cenne dary.
Hrabia z wesołym przyjął je okrzykiem,
A wreszcie został Anglji hołdownikiem.

IV.

Czas rdzawi szablę najdzielniéj staloną,
Przecina linę najtężéj skręconą,
Tak też niwecząc go, morderczo wnika
I w najkrzepszego nawet śmiertelnika.
Duńczycy którzy w Anglji z nim zostali,
Jedni starzeli, drudzy wymiérali.
A i Hrabiemu nieraz już się zdało
Że pancerz gniecie mu boleśnie ciało.
Zmarszczki głęboko czoło mu poryły,
A włosy lata śniegiem opruszyły.
Podpiérał laską krok chodząc po błoniu,
Wyjeżdżał tylko na spokojnym koniu.

Z wiekiem złagodniał wielce, a z księżami
Żyjąc w największéj zgodzie, wieczorami,
Z wyraźną cechą najgłębszéj pokory,
Słuchał cierpliwie długiéj ich perory.
Biskup z Saint-Cuthbert mąż święty, uczony,
Często go karcił surowo, natchniony.

V.

— Czas już, czas, mawiał, aby twego ducha,
Za rzeź, rozboje, ukorzyła skrucha.
Czas już, czas, abyś ciężko pokutował,
Za te świątynie coś paląc rabował,
Za mord kapłanów, za cześć dla szatana!
Czas już przebłagać Najwyższego pana!
Bo ci już kilka lat ledwie zostało,
Zwróć się ku Niebu więc duszą twą całą.
Poganin odrzekł mu podniósłszy głowę,
Wlepiając oczy w oblicze surowe:
— Daj mi z nad Tynu i Wearu (Wiru) obszary,
A ja się zrzekę dla twojéj, méj wiary.

VI.

Biskup dzielnicę dał mu upragnioną,
Byleby przeszedł na Kościoła łono.
Przyzwolił na to chętnie Hrabia stary,

Rad więcéj z ziemi, niż z nabytéj wiary,
Pyszny Tum w Durham oświetlon rzęsiście,
Mnogi kler zaległ w szatach uroczyście.
Przybył i Hrabia, przybran w strój niedźwiedzi,
Kochanka Hilda pod ramię go wiedzie.
Klęcząc przeglądał nieznane obrzędy,
Rzucając bogi swe, pogańskie błędy:
I przyjął łaski świętéj namaszczenie.
Lecz prozelity siwego spojrzenie
Taki w około siało blask złowrogi,
Że ksiądz go chrzczący, drgał truchlejąc z trwogi,
A inni nawet pokątnie mruczeli,
— Pniak taki w odróśl dobrą nie wystrzeli.

VII.

Wnet po obrzędzie Hrabia ruszył szlakiem,
Do zamku swego nad Tyną, z orszakiem,
Ksiądz przeprowadza go dla większéj cześci.
Rozwity sztandar w powietrzu szeleści,
Mnichy przodują konno, za mnichami
Kroczą mężowie zbrojni, szeregami,
Które wciąż rosnąc, po równinie całéj
Mnogiémi roty wkrótce się rozlały.
W bramie zamkowéj czekał na Hrabiego,
Harold, jedyny syn i dziedzic jego.

VIII.

Harold, acz jeszcze pierwszéj był młodości,
Słynął z odwagi, siły i dzikości;
Patrzał on hardo, wyglądał zuchwale.
Złoto nie świeci nigdy na nim wcale.
Na cześć dnia nawet tak uroczystego,
Nie wdział, rozdrażnion, stroju odświętnego,
Skroni nie przykrył hełmem wojownika,
Nie ściągnął trepek sznurówką rzemyka.
Włos kruczy bujnie zwisał mu na czoło,
A strasznym wzrokiem rzucał na około.
Duńską maczugę, dymiącą krwią jeszcze,
Wstrząsały groźnie pięści jego klészcze.
Przy nim wilczyca leży i wilczęta,
Zabita rankiem jak i jéj szczenięta.
Powitał ojca wyniośle, surowo,
A Biskupowi ani kiwnął głową.

IX.

— Tyżeś to! krzyknął, tyżeś to, tak cichy,
Żeć kędy zechcą, gdzie chcą, wodzą mnichy?
Tyś to, którego oczy w ziemię wryte,
I czoło, jakby hańbą k niéj przybite,
Przypominają mi żaka mitręgi,

Chcącego skrycie zgwałcić swe przysięgi?
Toż to Witykind groźny i rozumny,
Ów syn Ericka, mąż Gunhildy dumnéj,
Wywalczający sobie narzeczonę,
Zwodząc w zapasach harce tak szalone?
Tyż toś więc zdobył dla Frei i Thora,
Piotrowy kielich ciosami topora?
Tyżeś to wreszcie, uniesion rycersko,
Raz na Odyna cześć, tak bohatérsko,
Jednym zamachem twojéj rękawicy,
Roztrzaskał czaszkę dzikiéj bawolicy?
Wówczas czynami olbrzymów dostojny,
Składałeś hołdy wielkim bogom wojny!
Dziś masz-że, starzec, znieważon, odrodnie
Spowiadać klechom błędy twe, czy zbrodnie?
Zamienić pancerz na ich włosiennice,
I nie śpiąc, poszcząc, aż zapadnie lice,
Błagać w dodatku, by wieczór i rano,
Jak niewolnika-ć biczami smagano?
Albo zaparty klasztornémi ściany,
Chcesz że próżniaczo, żywot roztyrany,
Śród zakonników i nierządnic grona,
Święcić im, aż go rozpusta dokona?
Hańba-ć!... a gdy już zamkniesz twe powieki,
Skaldy cię słusznie zbezczeszczą na wieki.

I Harold wyprze się ojca ochotnie,
Co mu ohydził imię tak sromotnie!

X.

Hrabia Witykind zapamiętan wściekle:
— Słuchaj! Haroldzie! odparł mu zaciekle,
I długoż jeszcze jady twe zatrute,
Będą rozjątrzać, nadymać twą butę?
Milcz, rozkazuję! bo za twe zniewagi,
Straszne wychłoszczą-ć gniewu mego plagi!...
Dziś za me czyny, nader słuszna skrucha,
Głęboko żalem przesiąka mi ducha.
Kościół mi nadał mnogich ziem obszary,
Podtrzymam mieczem świętość jego wiary.
Nikomu nie dam mieszać się w me sprawy,
Tobie najbardziéj, złośniku nieprawy.
Ale co mówić o prawdzie, litości,
Tak zatwardziałéj hjenie od młodości?
Precz mi z przed oczu! i w pustynnéj ciszy
Idź, szukaj sobie godnych towarzyszy;
Tam z niedźwiedziami i tygrysem społem,
Żyj po swojemu, w gronie ich wesołém.

XI.

Harold starcowi odrzekł obojętnie,
Wręcz, uśmiechając się doń dziko, wstrętnie:

— Winniśmy ojców bać się i szanować;
Jam taki, jakimś raczył mię wychować.
Od méj kolébki, gdy strzały zawarczą,
Gdy szczękną miecze, byłem twoją tarczą.
Od méj kolebki, uczyłeś mię pilnie,
Jak mam wymierzać ciosy nieomylnie,
Jak wykrzykiwać radością szaloną,
Gdy pożarami w okrąg zamki płoną.
Z rozkazu twego, ręce krwią broczyłem,
I tą krwią wrogów twarz sobie barwiłem.
Ty to nie znałeś prawdy!... Cóż ty na to,
Wiary praojców stary apostato?
Gdy ta wilczyca, (i silném ramieniem
Cisnął jéj trupa na błoń z oburzeniem),
Gdy ta wilczyca nakarmi, wskrzeszona,
Mlékiem wilczęta swe, z własnego łona,
Wówczas dopiéro, niegdyś poganina,
Harold obaczy ojca chrześcjanina!
Żegnam-ć!

XII.

Prałaci zgrozą osłupiali.
Odchodzącemu z drogi umykali.
On księdza z krzyżem, wnet zrywając z konia,
Sam się nań wśliznął, i pognał na błonia.
Echa odbiły okrzyk przerażenia,

Gdy o grunt twardy runął znak zbawienia.
Stary Witykind mieczem groźnie błysnął,
Lecz Biskup dłoń mu, odwracając, ścisnął.
— Zostaw go, rzekł doń, Bóg liczy mu chwile;
Ale wpiérw łzami, tarzając się w pyle,
Niech żalem łaskę u Nieba zdobędzie,
Zanim kęs z ziemi danéj ci posiędzie. —
Tak młody Harold, dziki syn Hrabiego,
Odchodząc, ojca pożegnał dzikiego.

XIII.

Na pyszną ucztę, do jednego stołu,
W zgodzie, ochoczo, zasiedli pospołu
Mnich z wojownikiem, chrześcjanin z pogany.
Biskup, acz nie zbyt tém uradowany,
Osądził mądrze, że czas zatrze ślady
Niezwykłych wrażeń, niezwykłéj biesiady.
Nie pora jeszcze, myślał, Duńczykowi,
O nie! świeżemu tak chrześcjaninowi,
Prawić kazania o wstrzemięźliwości.
Miód płynie rzeką w roztruchany gości;
Piją, śpiewają, zléwając śród krzyków,
Kyrje-eléjson z pieniami Duńczyków.
Wreszcie znużeni wzajém, jak po boju,
Legli na matach, pokotem w spokoju;
I po wrzawliwéj uczcie, rzesza cała

Biesiadujących, kamiennym snem spała.
Lecz niebo w okół straszliwie się chmurzy,
Grożąc zamkowi zapowiednią burzy.

XIV.

W odosobnionéj wieży między jary,
Mieszkał syn młody Ermengardy staréj,
Gunnar, Harolda paź, bo z pacholęcia
Wychowywała go matka dziecięcia.
Paź złotowłosy zadumał się smutnie,
Myśląc o panu wygnanym okrutnie.
Który nie znajdzie, pośród nędz tak wiela,
Ani schronienia, ani przyjaciela.
Słysząc on zléwę rospętanéj burzy,
Jak grzmot piorunnym łoskotem jéj wtórzy:
— Biedny — rzekł, Harold! błąka się w ciemnicy,
Smagan szargami takiéj nawałnicy!
Harold mię lubił, acz dziki i twardy,
Bom synem mamki jego Ermengardy,
A chociaż nie raz, przyspieszając kroku.
Z nim polowałem do późnego zmroku,
Nie rzekł mi nigdy przykrego słóweczka.
Czemuż nie jestem starszy choć troszeczka!
Poszedłbym za nim, bo mi rozkazała
Nieboszczka matka moia, nim skonała,

Acz by jak czarna spadła nań godzina,
Nie odstępywać mlécznego jéj syna.

XV.

Błyska, grom ryczy, falami dészcz bucha,
Jakby się zerwał Lok, zły Duch z łańcucha.
Wygnan przez kościół, przez ojca skazany,
Błąka się w puszczy Harold opętany.
Bo jak chrześcjanin, tak i bałwochwalca,
Wyparłby za próg takiego zuchwalca.
Lecz któż z orkanem walczyć się ośmieli?
Harold gdzieś zginie w trzęsawisk topieli!...
Bądź co bądź, Gunnar w wieży nie zostanie,
Wyjdzie na brata mlécznego spotkanie.
Skoczył więc z łoża, porwał miecz, wdział szaty,
I do biesiadnéj szybko zbiegł komnaty,
Krok jego lékki nie obudził śpiących,
Wzdłuż iżby rzędem na matach leżących.
— Zapominacie więc, szepnął, Duńczycy,
Danji olbrzyma; wyrodni nędznicy!
A wam prałatom tak zniedołężnionym,
Rozkoszą życia tucznie wypasionym,
Poganin Gunnar zabierze z ochotą.
Ze stajni konia, a z kieszeni złoto.

XVI.

I o kościoła gniew nie dbając wcale,
Wziął Przeorowi spory trzos zuchwale;
Opat nazajutrz naklnie się nie mało,
Że mu ktoś sprzątnął delję okazałą;
A klucznik kluczów naszuka do sytu,
Powyciąganych mu, gdy spał, z habitu.
Paź wpadł do stajni, i wnet, nakształt ptaka,
Na Biskupiego wzlatując rumaka,
Wkrótce zostawił daleko zamczysko.
Harold zapewne błąka się gdzieś blisko.
Koń zarżał, echo posępnie mu wtórzy,
Nie zwykł czwałować śród tak strasznéj burzy.
Rżenie to jego, niesione powiewem,
Słysząc koń inny, przypięty pod drzewem,
Oderżał głośniéj, wtém błysło straszliwie,
I Gunnar dostrzegł Harolda szczęśliwie.

XVII.

Zerwał się nagle, i wrzasnąwszy grzmiąco:
— Stój! .. porwał obok maczugę leżącą.
— Jam Gunnar, odrzekł Paź, przybywam panie
Los twój podzielić, osłodzić wygnanie.
Patrz, koń Biskupa; a tę kiesę złota
Wziąłem dla ciebie, gdy chrapał niecnota.

— Wracaj do zamku! rzekł Harold, warjacie
Nie tobie łzy me, ni pociechy bracie!
Czyż nie widziałem! opłakującego
Rzewnie, gorąco, śmierć ptaszka lichego?
Mógłżebyś deptać, nieszczęsny młodziku,
Po obalonym w boju nieboszczyku?
Wyzywać bogów, szatanów, ochotnie,
I ludzi, od nich wstrętniejszych stokrotnie?
Lubić krew, mordy, drwić wśród huku grzmotów?...
Takich to szukam u giermka przymiotów!
Aleś do tego wcale nie stworzony;
Wracaj do zamku więc chłopcze szalony!

XVIII.

Gunnar jak liść drżał, płonęła mu głowa,
Na ten głos dziki, na dziksze te słowa,
Na te płomienie ponurego wzroku.
Może żałował niebacznego kroku;
Cofnąć się jednak, wstyd na pół zawodu,
A przytém kochał Harolda od młodu,
Rzekł więc błagalnie doń:
— Jeśli me ramie,
Jak i odwagę mą, lada cios złamie,
Pozwól mi służyć ci, nie bądź tak hardy,
Przez pamięć mamki twojéj Ermengardy!
Mniemasz więc, że cię niegodnie, bezecnie,

Przerażon śmiercią, jak tchórz, zdradzę niecnie?
Czyż nie naraziłem już mego życia,
Wiozący ci trzos ten i płaszcz do przykrycia?...
A potém! cóż twój ojciec ze mną pocznie?...
Rozjuszon wściekle, wyda mię niezwłocznie
Na pomstę mnichom, i ja jednogłośnie
Skazan na męki, zginę w życia wiośnie.

XIX.

Harold złagodniał; odwracając głowę,
Otarł ukradkiem dłonią oczy płowe.
Czy to serdeczna łza je porosiła,
Czy może dészczu kropelka zwilżyła?
— Tyś także wygnan chłopcze, rzekł, więc bracie,
Mianuję ć giermkiem mym, od dziś w zapłacie.
Mamże wymieniać te kraje, narody,
Które przebiegli społem; ich przygody?
Dosyć z was, że sam, czy na hufców czele,
Harold zwyciężał, gromił wszędy śmiele.
Rzekłbyś że jego ponure źrenice,
Skrząc się sypały ciągłe błyskawice.
Siła olbrzymia, dzikość w każdym czynie,
Zamiana chętna miasta na pustynie.
Tu i tam; wściekłość niepohamowana,
Stworzyły z niego istnego szatana,

Że powtarzano: ten Harold przeklęty,
To sam Lucyper z dna piekieł wypchnięty.

XX.

Lata płynęły; Biskup już nie żyje,
Blaszana trumna zwłoki jego kryje;
Zdobi kaplicę pomnik okazały,
Wzniesion z marmuru mu w postaci całéj,
Obok pastorał, szkaplerz; złożył dłonie,
Zda się modlitwą korną w niebie tonie.
Po nim Aldingar, jak król w majestacie,
Objąwszy z dumą rząd w Biskupiéj szacie,
Pragnąc wyniośle urość na powadze,
Podstępem, siłą, umacniał swą władzę.
A przeto przybran w infułę i stułę,
Na walną radę zwołał Kapitułę.
— Bracia! — rzekł hardy mnich, już Hrabia stary,
Witykind, lennik nasz, poszedł na mary,
Konając grzesznik, za dawne matactwa,
Dał kościołowi wszystkie swe bogactwa,
By za tak hojny, w zamian, upominek,
Chciał mu wymodlić wieczny odpoczynek.
Ohydny Harold, włóczęga zaciekły,
Którego ziemia, niebo się wyrzekły,
Nigdy po ojcu syn tak buntowniczy,
Jak spadkobierca, dóbr nie odziedziczy.

Całe więc mienie, dane mu ofiarnie,
Jako swą własność, Kościół dziś zagarnie!

XXI.

Odrzekł mu na to kanonik Eustachy:
— Wściekły ten Harold szerzy w krąg postrachy,
Okropny rozgłos zuchwalca imienia,
Odbił się nawet o nasze sklepienia.
Co bądź mu stanie, i jak bądź na wstręcie,
Wszystko druzgoce, rozbija przeklęcie,
Zostaw mu jednak ojcowską spuściznę;
Może Bóg zmiękczy tę jego dziczyznę,
Lecz gdy go skażem na tułactwo wieczne....
Rozpacz tchnie często rady niebezpieczne....
Mowę mu przerwał szmer mnichów, niechętnie
Prałat spójrzawszy nań, zmarszczył brew wstrętnie,
I jednogłośnie wołano dokoła,
— Zagarnąć mienie na dobro kościoła.

HAROLD NIEUSTRASZONY.

PIEŚŃ DRUGA.

I.

Jak miło mówi odwieczna ballada,
Gdy zgraja ptaszków w lasku się rozgada,
Błąkać się rankiem, lub wieczorem, w Maju,
Po śpiewającym tym, gwarzącym gaju.
Jesion w powietrzu kitami powiewa,
Brzoza srebrzyste listki przyodziewa,
A dąb, jak czujna nad dziatwą matrona,
Po nad ich czoła wyciąga ramiona.
Próżno w arkady wiążą się gałęzie,
Słoneczny promyk przetnie ich zawiezie,
I złocąc trawki barwy jaskrawemi,
Lśni na kwiatuszkach rozsianych po ziemi.

Jakże żałuję szczérze śmiertelnika,
Który cienistéj dąbrowy unika,
Gdzie nawet sarna, lub jelonek młody,
W skwarach upału szukają ochłody.

II.

Jesień smutniéjsza może, bo jéj szrony
Strącając listki z drzew, żółcą gazony.
W ponurych lasach wszędy cisza głucha;
Czasami jeno grzywacz gdzieś zagrucha,
Skruszony prątek szelestnie padając,
Lub pierzchający przed ogarem zając.
Ale ja lubię i bory milczące!
Czy oświetlone przez jesienne słońce,
Stérczą posępnie pnie ich obnażone;
Czy w mgły, poranne rosy ulotnione
Je obwijają, jak krepy obsłona,
Wokoło czoła wdowy okręcona,
Przez któréj jednak fałdy tajemnicze,
Dojrzysz piękności zbolałe oblicze.

III.

Piękna Metelill mieszkała samotnie
W lasach Durhamu; ojciec jéj stokrotnie,
Tępiąc zwierzynę łukiem i kołczanem,
Plądrował po nich jakby był ich panem.

Strzały Wulfstana trzebiły brzeg Tyny,
Lasy Stanhopu, (Wir) Weardalu równiny.
Lecz więcéj bano się Juttę straszliwą,
Niż jéj małżonka z łukiem i cięciwą.
Drżano, gdy krwawe oczy czarownicy
Trysły złowrogim blaskiem błyskawicy.
A jeszcze większa trwoga przerażała,
Gdy się do kogo gorzko uśmiechała.
Biada mu, biada! gdy kto ją odstręczył!
Wzrok jéj szatański bardziéj go umęczył,
Niż najzjadliwiéj obolała rana,
Przebita strzałą groźnego Wulfstana.

IV.

A jednak parze téj odrażającéj,
Bóg dał piękności tak zdumiewającéj,
Taką uroczą córkę, że jéj może,
Nigdzie na wyspie, ni królewskim dworze,
Wdziękiem postaci, ponętami lica,
Nie dorównałaby żadna dziewica.
Cudne to dziéwcze ani przeczuwało
Co znaczy zbrodnia; a bronią jéj całą,
Były uśmiechu dołki, wstyd dziewiczy,
I oka wyraz smętny, tajemniczy.
Tak była młoda, że i gry dziecinne
Rozweselały serce jéj niewinne,

I że lubiła wymknąwszy się z domu,
Do sąsiedniego lasku pokryjomu,
Zrywając kwiatki różnokolorowe,
Wplatać w warkocze włosów hebanowe.
Jednak to serce, młodziutkie tak jeszcze,
Wstrząsały czasem dziwne jakieś dreszcze.
Biédny Aniołku! do twojego łona,
Jak wąż, już wpełzła miłość nieproszona,
Gość ów nieznany, w jasnym dni twych wątku,
Umili życie twe, czarem z początku,
Ale niebawem, zatruwszy je zdradnie,
Okrwawi-ć duszę dręcząc samowładnie.

V.

Pewnego ranku chodząc po gaiku,
Prześliczne dziéwcze siadło przy strumyku,
Chcąc uwić w cieniu naszyjnik i wianek,
Z uszczkniętych polnych róż i macierzanek.
Wtém, jak skowronka gdy się w błękit wzniesie,
Śpiew Metelilli zadzwonił po lesie.

VI.

P I E Ś Ń.

Lord Willjam w pysznym zamku zrodzony,
Czeka na spadek bogaty;

Lecz Milord woli nad gmach złocony,
Mój lasek i moje kwiaty.
W miastach przywdziewa piękność klejnoty,
Na lep dla miejskich motyli;
Lecz Milord woli włosów mych sploty,
I wonny kwiat Metelilli.

Przed Świętym, pielgrzym wieczór i rano,
Pobożnie czoło ugina;
I mnie czczą takąż samą poszaną,
Acz tylkom biédna dziewczyna.
Ledwie uwiję splot z macierzanek,
Skąd-eś z gęstwiny w téj chwili,
Wypada Milord, całuje wianek,
Rumieniąc twarz Metelilli.

Zaklęcia mężczyzn zawsze zwodnicze,
Powtarza mamka upornie;
I mama mówi że ci panicze,
Kochają tylko pozornie.
Ale nic a nic mnie to nie wadzi,
Gdy się do kogo przymili;
Bom pewna że mnie Milord nie zdradzi,
Nie rzuci swéj Metelilli.

VII.

Nagle umilkła, czując przerażona,
Że coś oparło się o jéj ramiona.

Odwraca głowę; — gniotąc rękawicą,
Stał rycerz przed nią pokryty zbroicą,
Tarcza zużyta, hełm podziurawiony,
Z kaftana wiszą strzępki na wsze strony.
Straszny jak niegdyś Tytan zbuntowany,
Gromami bogów z Olimpu wygnany.
Ponurym głosem, acz miękczył mu brżmienie,
Pragnąc wyrazić swe zadowolenie:
— Kończ, twą balladę, kończ, mruknął namiętnie,
Nie bój się, nie bój, proszę, słucham chętnie.

VIII.

Biedna dziewica nagle podchwycona,
Klękła krzyżując z przestrachu ramiona.
— Przebacz! — wołała płaczliwym wykrzykiem,
Przebacz! jeżeli jesteś śmiertelnikiem.
Lecz jeśli prawda com słyszała nie raz,
Żeś mocarz borów; i przychodzisz teraz,
Ukarać płoche dziewcze z oburzeniem,
Że śmiało śpiewać pod drzew tych sklepieniem,
Matka ma Jutta, co czarami kruszy
Gniew najzłośliwszych Duchów i Genjuszy,
Niech swém potężném i ciebie zaklęciem
Wzruszy, błagając za własném dziecięciem,
Zlituj się, puść mnie!
Podnosząc przyłbicę,

I odsłaniając dziewczęciu swe lice,
Które uśmiechem, jak mógł rozpogodził,
By jego wyraz choć trochę osłodził,
Rycerz wyglądał jak noc, gdy po burzy
Cisza na chwilę niebiosa rozchmurzy.
Lecz rybak baczny, widząc jeszcze ćmiące
Gdzie niegdzie błękit, mgły przelatujące,
Łodź swą do portu blizkiego wprowadza,
I na kotwicy co rychléj osadza.

IX.

— Słuchaj dziewczyno, i nie mów nikomu,
Rzekł rycerz, co ci powiém pokryjomu.
Błądziłem długo śród obcych rozłogów,
Nimem powrócił do mych niw i progów.
Chcę się ożenić, lecz pragnę by była
Żona ma cicha, łagodna i miła.
Nie pociągają mię córy magnatów,
Acz krew i we mnie Królów z antenatów.
Przerażam nieco wybuchami mémi,
Więc się nie myślę łączyć z mi równémi.
A że dziewczęta mówią, że me lice
Odpycha zgrozą i wstrętem dziewice,
By się odrodzić w piękniéjszém plemieniu,
Chcę żony ładnéj, tak! w całém znaczeniu!...
Podobasz mi się, powiedzieć to mogę;

Widzę na czole twém, co lubię, trwogę.
A to dyszące łono, łzy te w oku,
O! jak dodają ci jeszcze uroku!
Całuj mnie, całuj!... No!... czegoż się boisz?
Czemuż drżąc, ledwie na nogach ustoisz?...
A teraz wracaj do domu, szalona!
Powiedz rodzicom żeś już narzeczona,
I że niebawém przyszły twój pan młody,
Przyjdzie ich prosić na weselne gody.

X.

Jak zając, gdy się wymknie niespodzianie
Z paszczy ogara, śmiga co tchu stanie.
Tak i dziewczyna przerażeniem gnana,
Wpadła do domu niby obłąkana.
Ale i słówka rodzicom nie rzekła,
Czego pośpiesznie tak z boru uciekła;
Bojąc się ojca który tylokrotnie
Wzbraniał do lasu jéj chodzić samotnie.
Zaczęło ciemniéć; Jutta obojętnie,
Do kołowrotka zabiéra się skrzętnie.
A Wulfstan, w świetle lampy okopciałéj,
Przegląda bacznie cięciwę i strzały.
Nagle psy jego zawyły szczekając,
Wątła lepianka zaskrzypiała drgając,

Wulfstan broń porwał, drzwi z trzaskiem wyparto,
I jakiś rycerz wszedł z głową zadartą.

XI.

— Pokój wam! cóż to?... nikt ani słóweczka?...
Zkąd że ten popłoch?... to ja!... ta dziéweczka
Nieuprzedziłaż was, wróciwszy, o mnie?...
Może nie śmiała... mniéjsza z tém! co do mnie,
Radbym z córeczką waszą się ożenić,
Jam Harold! imię me umieją cenić,
I najsławniéjsi nawet wojownicy;
A bledną przed nim, drżąc tchórze, nędznicy.
Ojciec i matka, w milczeniu głębokiém,
Wzajem badają się gniewliwym wzrokiem.
Wulfstan do bójki i swarów ochoczy,
Wojownikowi zajrzał śmiało w oczy,
Ale zmiękł nagle, bo pojął z przestrachem,
Nierówną walkę z tak szczególnym gachem.
A oko Jutty roziskrzone wściekle,
Wyraża nader jasno, jak zaciekle
Mrucząc klnie gościa, co do ich lepianki
Wpadł nie proszony, zkądś na zalecanki.
Ale Harolda szept jéj nie pokona,
Więc z odurzeniem patrzy nań zdumiona.

XII.

Lecz wkrótce stara, bronią nader znaną
Wszystkim kobiétom, podstępem; z poszaną
Odrzekła słodko:
— Wielcem temu rada;
Ale zaślubiać dziecko nie wypada.
Wojownik odparł:
— O! to nic nie znaczy;
Tak tylko młode dziéwcze się tłómaczy.
— Możny Lord, Jutta dodała nieśmiało,
Kocha ją całém sercem, duszą całą.
— Więc radzę-ć, byś mu tajemnie, na ucho,
Żem współzawodnik, napomknęła głucho.
Umilkła stara: możeby bezpieczniéj
Prosić o zwłokę jego jak najgrzeczniéj?
— Niech wielki rycerz, do jutra cierpliwie
Raczy poczekać, szepnęła lękliwie.
Późno już; Harold zaszczyci nas może,
I pod tym dachem prześpi się w komorze.
A pomyślała: nie wymkniesz się z matni;
Noc to ostatnia twa, i sen ostatni!
— Nie! odrzekł Harold, nocować nie będę,
Ale tu wkrótce na zawsze osiędę.
I przekraczając próg, w nocném omroczu
Znikł gospodarzom, jako cień z przed oczu.

XIII.

Wulfstan i Jutta, strętwieni na chwilę,
Po wyjściu gościa, wnet na Metelillę
Zwalili społem całe brzemie winy,
Gromiąc zjadliwie za te odwiedziny.
Nie zalecano-ż jéj by bez ustanku
Tak nie latała do lasu co ranku?
— Tyś! mówił ojciec, tyś to! matka rzekła,
Poczęstowała nas tym djabłem z piekła!
Precz nam z przed oczu! precz! pora już przecie
Mieć rozum, krnąbrne, nieposłuszne dziecię!
Biédna dziewczyna wybiegłszy szlochała,
Na swą pościołkę padła, gorzko łkała.
A gdy jéj boleść powieki skleiła,
Śpiąc, o Harolda hołdach z trwogą śniła.

XIV.

Zacni rodzice jéj zostawszy sami,
Sypnęli na się wzajem obelgami.
— Tyś pono rycerz! rzekła Jutta drwiąco,
Jak mogłeś połknąć hańbę tak palącą?
— Mąż walczy z mężem, z szatanem djablice,
Odparł wlépiając w nią groźne źrenice.
Harolda postać, siła, wściekłość dzika,
Nie są udziałem jak ja śmiertelnika.

Ale ty, droga ma oblubienico,
Co poczniesz z pyszną twoją obietnicą?
Naszą Metelill, ręczyłaś u licha!
Poślubi Willjam, syn lorda Ulrycha.
A więc twe wszystkie czarnoksięzkie sztuki,
Takie ci jeno wskazały nauki,
Jak dusić chłopom prosięta w ich chléwy,
Lub zgnająć łąki jesiennemi zléwy?
Umiész więc tylko, włócząc się po jarach,
Straszyć pół sennych nocleżan w czaharach?
Przez toż to zwą cię wszędy czarownicą,
O wielowładna moja połowico!
Które to miano skażę-ć, Bogu dzięki,
Na wiekuiste potępieńców męki?
Użyj więc teraz twych guseł kabały;
Ale podobno, ty czekasz by strzały
I łuk mój dzielny, krzywd twoich pomściły,
Bo ci brak na to odwagi i siły.

XV.

Jutta odrzekła małżonkowi hardo:
— Słuchałam zniewag twych milcząc z pogardą.
Lecz ujrzysz nim dzień jutrzéjszy upłynie,
Czy czarownica umié mścić się, czy nie.
Słuchaj! twe łuki i zręczność twa cała,
Którychem sama bezwiednie wzywała,

Nic tu nie znaczą, bo Harold niemoże
Od strzał twych zginąć, jako jeleń w borze.
Lecz on, ty również i księżyc co zbladnie,
Nim za potężną górę tę zapadnie,
Tak! księżyc, Harold, i ty sam, poznacie
Czem ja, dotknięta w moim majestacie!
I wyszła śpiesznie, ani myśląc o tém
Co się z małżonkiem godnym stanie potém.

XVI.

Jutta tak szybko po błoniu pędziła,
Że się starości swéj, zda się pozbyła.
Spotkała mnicha; ksiądz zbaczając z drogi,
Żegnał krzyżykiem na około z trwogi.
Wbiegła do wioski; psy tulą ogony,
I słychać jeno wark ich przerażony.
Wpada do lasu; jakiś kwik, czy wycie,
Obwieszcza z dala już jéj tam przybycie;
Lisy skowyczą, a wilków gromada
Podniosłszy paszcze, wyje i ujada.
Kruk na wyniosłym szczycie dębu kracze,
W gąszczy puhają sowy i puhacze,
A ryś na zdobycz zdradnie zaczajony,
Co tchu ucieka, postrachem spłoszony.

Jutta na skałę wlatując sprężyście,
Bóstwo pogańskie wzywa uroczyście.

XVII.

WEZWANIE.

O ty! co siedząc na skalistym tronie,
Widzisz jak Finnów narody,
Chodząc statecznie w świętym twym zakonie,
Ostrzą topory w zawody!
By znieważonych ołtarzy twych mury,
Obmyć w krwi chrześcjan potoku;
Wesprzyj mię Duchu potężny téj Góry,
Wysłuchaj mię Zernebocku!

Niegdyś za czyny twe, na téj ci ziemi,
Tysiącznych ludów pieśń brzmiała;
A na tym głazie, runy mistycznémi
Porytym, krew czerwieniała!
Dziś ci ostatnia Kapłanka twa święci,
Własną swą w hołdzie, z łzą w oku,
Zachowaj że ją Duchu w twéj pamięci,
Wysłuchaj mię Zernebocku!

Milcz nawałnica w jarze zahuczała,
Chmury po niebie się snują;
Włos mój zjeżony, drgawka mego ciała.
Przybycie ducha zwiastują!

Klękam, obsłaniam się, dzwonią mi zęby,
Poczekaj!... nie dotrwam-ć kroku!
O ty! co wstrząsasz góry, kruszysz dęby,
Wysłuchaj mię Zernebocku!

Błagam na próżno!... więc i tyś mi wrogiem,
Za moją miłość tak wrzącą?
O!...kim bądź jesteś; Szatanem czy Bogiem,
Już cię nie żebrzę gorąco;
Jeno guślarka zaklęciem cię wzywa,
Tak straszliwego uroku,
Że drgniesz w twém piekle.. ale cst!.. przybywa!..
Wysłuchaj mię Zernebocku!

XVIII.

— Lepianko z prochu! ryknął głos z doliny.
Aż się zatrzęsły skały podwaliny.
Lepianko z prochu! wielka ma potęga,
Jednak Harolda lasów nie dosięga.
O jego życie i duszę, zaciekłą
Nie od dziś walkę, zwodzi z niebem, piekło,
I nie wiém które go wreszcie zdobędzie,
Gdy już umiérać, dogorywać będzie.
W téj chwili, widzisz, zeszła gwiazdka mała;

Ona nań wpływem okropnie podziała;
A więc nim blask jéj na błękitach zgaśnie,
Napędź go czarem w matnię... pora właśnie.
Szepnij kryjomo zręcznie kościołowi,
Niechaj wypowie wojnę Haroldowi.
A jak go księża pochwycą w swe kluby,
To dopomogę-ć do jego zaguby.
Umilkł; i straszny huk, nakształt łoskotu
Z piorunnym trzaskiem wypadłego grżmotu,
Aż podskoczyły góry niebotyczne,
Przeraził senne wioski okoliczne.

XIX.

— Tak to mi radzisz! mruknęła ponuro,
Wróć więc do mgieł swych, i obwiń się chmurą.
Tam, niedołężne bożyszcze nicestwa,
Godne-ć czekają trony i królestwa!
Musnęła ołtarz końcem swego pręta,
Ale tak lekko, jak młode dziewczęta
Łechcą wierzchowcom biodra stopką swoją,
Chcąc je podpędzić nieco, acz się boją.
Olbrzymia skała dotknięciu powolna,
Rozkołysana u podstawy zwolna,
Waląc się w przepaść kamiennéj doliny,
Runęła z pluskiem w jeziora głębiny,

Które pryskając w okrąg pianą białą,
Wyniosłe brzegi falami zalało.
Lecz nim księżyca promienie łagodne,
Padły na wzdęte te bałwany wodne,
Jakby przeniosła ją piekielna siła,
Jutta do domku oddawna wróciła.

HAROLD NIEUSTRASZONY.

PIEŚŃ TRZECIA.

I.

Wieże Durhamu! niegdyś wpatrywałem
Się w blanki wasze zębione, z zapałem,
Jakim ekstaza ozłaca nam życie,
W tęczowym jego poranku rozkwicie.
Nie żebym, wówczas nawet, w mych zachwytach
Roił o jakichś godnościach, zaszczytach,
Lecz wskazywałyście mi gdzieś, za mgłami,
Własny dom, ogród usłany kwiatami,
I może... może... tak zawsze urzeka
Nadzieja, łudząc każdego człowieka.
   Ale ja lubię i twoje filary,
Gmachu, coś społem i przybytkiem wiary,

I twierdzą. Ileż każdy twój zakątek,
Zapadłych wieków uświęca pamiątek!
Nakształt wędrowca, co ojców penaty
Rzuciwszy, spieszy gdzieś w dalekie światy,
By ich niknące zabytki dziejowe
Spisując, złożyć w księgi pomnikowe.
I ja wprowadzam pod twoje arkady,
Tłumy rycerzy, i mnichów gromady.
  Daremne żale!... zajęć moich trudy,
Inne wskazują mi strefy i ludy.
Ale północnéj Arfy głos daleki,
Każe mi jednak sławić dawne wieki.
Oby natchnęły duszę mą jéj dźwięki,
Jak odmalować mam obrazu wdzięki,
Przedstawionego w takim majestacie,
Gdy nagle Harold, w zarania poświacie
Ujrzał wieżyce Saksońskie Eadmeru,
Oblane wstęgą modrych głębin Weru.

II.

Słoneczny połysk drży z falami, drgając
Na skrętach rzéki, która okalając
Nadbrzeżne drzewa błękitnym pierścieniem,
Niby się chowa przed jego promieniem.
Gotycka wieża aż do gór podnóża,
Olbrzymie cienie iglic swych przydłuża.

Dzwonów porannych dźwięki metaliczne
Roznoszą tęskno w dal echa rozliczne.
Tumany mgliste obwijają ziemię,
Świegoce w kłębach ich pierzaste plemie.
Myśliwska trąbka, do bliskiéj dąbrowy
Ściąga ocknięte ogary na łowy.
Wietrzyk zawisnął w łagodnym polocie,
I zabłąkany między kwiatów krocie,
Które pod rosą zgięte główki kłonią,
Zda się przesiąkać przeróżną ich wonią.

III.

Obraz ten, w blaskach tęczowych przedświtu,
Zapach powietrza, ten koncert zachwytu,
Jakim przyrodę skrzydlata kapela,
Brzmiąc na dobry dzień, rankiem rozwesela;
Zakamieniałe, w takiéj poniewierce,
Miękcząc, ujmują Haroldowi serce.
W usposobieniu tak mu nie powszedniém,
Wzruszon, zawiesił na drzewie sąsiedniém,
Szyszak stalowy, stalową kolczugę,
A o pień oparł koncerz i maczugę.
Usiadł na trawie, i wzrok rozrzewniony,
Rozmarzon, zwolna wodził na wsze strony.
Kto bądź i o co bądź by się domagał,
Łatwo by w ów czas u niego wybłagał.

IV.

Gunnar siadł przy nim, i widząc zdumiały.
Jak rysy jego nagle złagodniały,
Patrzył nań bacznie, bo się nie ośmiela
Jeszcze, wystąpić z radą przyjaciela.
Jak nad wezbranym ulewą potokiem,
Gdy wzdęty bałwan, ostatnim podskokiem
Odpływa z prądem, pielgrzym przerażony,
Jeszcze nad nurtem stoi niewzruszony,
Szukając, gdzieby szalejącéj wody,
Przéjść najbezpieczniéj przysłonięte brody.
Tak i oblicze pana giermek bada,
Nim mu, palącą go, myśl wyspowiada;
Gdy on podnosząc zadumane lice,
Zwrócił ku niemu błyszczące źrenice,
Które, jak słońce wschodząc na obłoki,
Rozlały światła jakiegoś potoki.

V.

— Potomku bardów, dziecię prorokini.
Weź twoją arfę, nastrój, i w pustyni,
Ermenegardy synu, hymnem chwały,
Pozdrów jutrzenki téj brzask tak wspaniały.
Niech twa pieśń, jak ten świegot ptasząt dźwięczy,
Grżmi jak ta trąba, jak dzwon ten zajęczy!

Tak to się niegdyś, gdy świt noc pobielał,
Erick mój przodek, rankiem rozweselał.
Skald budził mężów potęgą strun brzmiących,
Na skórach wilczych i niedźwiedzich śpiących,
Którzy się nagle zrywając z posłania,
Jak lwy, gdy z pieczar wściekłość ich wygania,
Współzawodnictwem męztwa, za swe czyny,
Po bohatérskie sięgali wawrzyny.
Wielki Ericku! jakaż dziś kraina,
O najdzielniéjszy z potomków Odyna!
Przybytkiem cienia twego się pochwali!
Goszczon serdecznie w pałacu Walhali,
Smakujesz w miodzie, tym słodkim napoju,
Pijąc go z czaszek łbów poległych w boju.
A może jeszcze błądzisz zadumany,
Przy twym pomniku, o którego ściany
Dźwignięte niegdyś w pustyni bez końca,
Ocean rycząc, bałwany roztrąca.
Lecz gdzie bądź jesteś, znane-ć bez wątpienia,
Nasze tryumfy, klęski i cierpienia!
Umilkł zasępion, i zapanowała
Cisza; pieśń pazia wkrótce ją przerwała.

VI.

P I E Ś Ń.

Gdy już Erick dogorywał,
Krwi potoki brzeg zalały.

Na opokę sęp wzlatywał,
Ostrzyć o głaz dziób stępiały,
Padłeś śmiercią bohatéra;
Lecz brżmią hymny na cześć tobie.
Mocarz taki nie umiera,
Pokój rycerzowi w grobie!

Przy Greamseju, gdzie prąd rwisty
Roztrąca się o brzeg, hucząc,
Jakieś widmo, czy duch mglisty.
Przesuwa się, śród burz, mrucząc.
Blady majtek, otrętwiony,
Żegnając się w owéj dobie,
Szepce pacierz, przerażony,
Pokój rycerzowi w grobie!

Któż popioły twe porusza?
Skradzionoż ci miecz bezecnie?
Czyjaż ręka, jakaż dusza,
Ohydziła-b się tak niecnie?
Na mogile twéj, Ericku,
Lśni broń w całéj swéj ozdobie,
Śpij więc wielki wojowniku;
Pokój rycerzowi w grobie!

— Cóż to za krzyk, wrzask bojowy,
Na cześć męża brżmiąc groźnego,

Mąci spokój mój grobowy?
Odrzekł Erick: Imię jego
Harold....

VII.

— Przestań! zawołał rycerz, Skaldy dawne
Opowiadali przodkom dzieje sławne,
Ale z nich, w oczy mężom, żaden wcale
Nie święcił hymnów, w największym zapale.
Zaszczytne miéjsce na ucztach Odyna,
Czeka na bardów natchnionego syna,
Co nigdy ust swych pochlebstwem nie skaził,
Lecz który prawdę z nich ostro wyraził,
Acz by jak gorzką słuchaczom być miała;
Takiemu jeno wiekuista chwała!
Nie dowierzając wcale rycerzowi,
Paź nań pogląda, słówka nie przemówi.
Lecz Harold łatwo myśli jego zbadał.
— I mnież, mój giermek, łaskawie zagadał,
Skrępowan trwogą, nie wypowié śmiało,
Co mu tam w duszy, czy w głowie zadrgało?
Twoja nagana, jak zimowe szrony,
Nie osypują laurom liść zielony,
I tyle wpływu na me serce nie ma,
Co na ów listek, najmroźniejsza zima.
Mów więc co zechcesz, obojętnie słucham,

Ale pamiętaj że często wybucham
Nie chciałbym aby skutki gniewu mego,
Spadły na pazia tyle mi wiernego,
Że mnie zniewolił gwałtem do wdzięczności,
Do któréj żadnych praw sobie nie rości.
— Na ten to gniew twój, odrzekł Gunnar, panie,
Na gniew ten właśnie, twój giermek powstanie.
Gdyś zły, a często tak ci to się zdarza,
Harold w istnego djabła się przetwarza.
Lada słóweczko, wnet groźną maczugą
Krwawą pamiątkę zostawiasz na długo.
O! i na jakież cię niebezpieczeństwo,
Naraża twoje ciągłe tak szaleństwo!
Obym ostatni był, mówię ci szczérze,
Temu duchowi zła święcon w ofierze;
Może nasycon krwią mą dostatecznie,
Przestanie-ć ścigać, zajadle tak, wiecznie!

VIII.

Rycerz północy zniecierpliwion wreszcie,
Odparł paziowi:
— Przestań te bezczeście,
I bohatérom nie bluźń w tym sposobie.
Bo sądzić czyny ich, nie dano tobie...
Tacy to wszyscy synowie Odyna,
Których Berzehar groźno upomina,

Aby dźwignąwszy z trudem, prac ogromy,
Nad śmiertelników wznieśli się poziomy.
Wówczas wojownik, gdy mu nagle w łonie,
Takie płomienne żarzewie rozpłonie,
Bez tarczy, hełmu, przyłbicy, puklerza,
Na tysiąc wrogów sam wściekle uderza,
Przepływa rzéki, przesadza okopy;
I wciąż podżegan strasznémi pochopy,
Łamie co spotka, nieprzepartym pędem;
Obala szereg po szeregu, rzędem;
Nieprzyjaciołom, jak wątłe pręciki
Druzgoce miecze, włócznie, dzidy, piki.
Drze ich stalowe kirysy na szmaty,
Jako jedwabne młodych dziéwcząt szaty.
A ranę, choćby jak była głęboka,
Szydząc z niéj, łatwo goi w mgnieniu oka.
Krzykiem bojowym ściąga sępów chmury;
Krążąc w błękitach, orszak ich ponury
Śpieszy w ślad za nim. Gdzie stąpi złowrogo,
Sieje zwaliska mieczem i pożogą,
A jako syty lew, zasnąwszy, czeka
Kiedy przetworzy się znowu w człowieka....
Wiész po czém poznać ten szał niepojęty;
Więc skoro dojrzysz go, milcz jak zaklęty!
Lecz gdym spokojny, możesz mówić śmiało,
Co tylko myślisz, co się podobało.

Lubię-ć Gunnerze, i wyznać ci muszę,
Że pieśnią, zawsze koisz moją duszę.
Tak, wedle twierdzeń chrześcijańskich kapłanów,
Egzorcyzmują w człowieku szatanów.
Nie bój się przeto, i wyznaj otwarcie,
Co ci na sercu leży tak uparcie.

IX.

Jako zabłąkan sternik niespodzianie,
Na nieznanego mu prądu otchłanie,
Bada przezornie głąb burzliwéj fali,
Za nim popłynie z rwącym nurtem daléj;
I Paź w Harolda wpatrując się bacznie,
To urwie piosnkę, to znowu ją zacznie,
Jakby chciał dźwiękiem melodyjnym śpiewu,
Zmiękczyć to serce skore tak do gniewu.
Choć jego piosnka odsłania w połowie
Zaledwie, co mu w duszy tli i w głowie.

PIEŚŃ.

1.

Biada łodzi zabłąkanéj,
Na bałwanów wzdęte piany,
Kiedy szatan uraganu,
Ryczy wściekle śród orkanu!

Ale gorzéj jéj osadzie,
Gdy nikczemnik ster prowadzi.

2.

Biada pątnikowi! biada!
Gdy Syryjski skwar się wjada,
W mózg mu, w łono, a niebiosy
Nie zeszlą zbawiennéj rosy!
Ale gorzéj nieszczęsnemu,
Gdy Koft przewodniczy jemu.

3.

Biada jeszcze rycerzowi,
Gdy śród walki, miecz w połowie
Pęka mu, gdy pod nim padnie
Postrzelony rumak zdradnie!
Ale smutniéj popamięta,
Kogo dziéwcząt czar opęta.

X.

— Śmieszże oskarżać, szalony człowiecze,
Piękną Metelill? zdumion Harold rzecze.
— Piękna, przyznaje, odparł paź wykrętnie,
O struny arfy trącając namiętnie.
Piękna! a jednak, dodał zapłoniony,
Zmieniając nagle rytm pieśni, wzruszony:

1.

Piękna! lecz mimo ócz jéj przezroczy,
Brwi od hebanu czarniéjszych,
I aksamitnych, kruczych warkoczy,
Tysiąc na świecie piękniejszych!
Lecz gdybym ja był rycerzem głośnym,
I jak ty hołdów się dożył,
Nigdy bym pewnie, w szale miłośnym,
Ich cudzoziemce nie złożył.

2.

Lubię północny kraj przodków święty,
Północne dęby omszone,
Skały o które Baltyk nasz wzdęty,
Rozbija fale spienione!
I słońce kocha naszą ziemicę,
Bo wieczór zwalniając kroki,
Wyzłaca morza sinego lice,
By nocne rozjaśnić mroki.

3.

Ale Norwegska nasza dziewica,
Z takim szafirém, z łzą w oku,
Z tak śnieżną bielą smętnego lica,
Więcéj ma dla mnie uroku!
Wiotka jak sosna, włosy złociste

Lśnią, jako ócz jéj lazury;
A jéj serduszko tak wzniosłe, czyste,
I tak niezmiennéj natury.

4.

I ona lubi lotne gonitwy,
I jéj dłoń naszym szermierzom
Przypina krwawy oręż do bitwy,
I splata wawrzyn rycerzom.
Wracającego z walk bohatéra,
Uwieńcza, a gdy legł w grobie,
Z kochankiem społem chętnie umiera;
Córo Północy! cześć tobie!...

XI.

— Paziu, rzekł Harold, w tak piękne sukienki
Stroisz twe bóstwo, i ponętne wdzięki,
Iż prawie żal mi, żem, wyznaję tobie,
Na panią myśli mych, nie obrał sobie
Jaką dziewczynę o płowym warkoczu,
O szafirowych ócz lśniącém przezroczu,
Z duszą podniosłą... Ho! przymiotów tyle!...
Jednak oskarżasz o co Metelillę?
— Zarzucam słusznie, odrzekł paź, jedynie
Niecne rzemiosło ojca, téj dziewczynie...
Ohydne wieści, którym każdy wierzy,

I o jéj matce powszechny głos szerzy,
A wyraz ócz jéj, choć go nikt nie bada,
Wskazuje jaka w duszy jéj szkarada.
Dwakroć już byłeś w téj przeklętéj chacie,
I powiał dwakroć tak wściekły szał na cię,
Żeś co krok zginąć mógł, pod jego wpływy,
Dokonywając nie pojęte dziwy.

XII.

— Mylisz się paziu; ta Jutta tak wściekła,
Wielce rozumnie przecież mi odrzekła:
Że rycerz winien żeniąc się, zaradzić
Gdzieby mógł żonę godnie zaprowadzić.
A przeto, dzielnic z zamkiem ojca mego.
Dochodzę z prawa mi przynależnego.
— Właśnie tu, panie, Gunnar odpowiada,
Nader widoczna czarownicy zdrada.
Chcę ona abyś, Duńczyk i poganin,
Wystąpił z prawem śród takich gmatwanin,
Niecnych tych mnichów; co nie zapomnieli
Jak przed Haroldem niedawno truchleli.
Jak im wazali tylu, śród pogromu,
Pomordowałeś niegdyś w własnym domu.
Harold na pazia oburżon śmiertelnie:
— Kłamiesz zuchwalcze! o! kłamiesz bezczelnie!
Ryknał jak piorun; oczy mu iskrzyły,

— Ziemia ta z zamkiem mego ojca były;
Wzniósł go Witykind, jego to siedlisko!
Tygrys, lew, bronią swoje legowisko,
Broni swe gniazdo każdy ptaszek lichy!
A ja mam cofnąć się przed témi mnichy?
Nie! jedźmy! jedźmy! Dzwon ten, nie ma rady,
Zwołuje księży na jakieś obrady.
I mnie tam ujrzą; niech się przecie dowiém,
Co odpowiedzą na to co im powiém.
Jeśli odmówią, biada kościołowi,
Braciszkom, mnichom, i ich Biskupowi!
Więc czytelniku, i my jego torem,
Chodźmy się poznać bliżéj z tym klasztorem.

HAROLD NIEUSTRASZONY.

PIEŚŃ CZWARTA.

I.

Mnodzy poeci wzniosłego natchnienia,
Sławili katedr Gotyckich sklepienia,
Ich uroczystą ciszę, ich sczerniałe
Pod baldakimem ołtarze wspaniałe;
Bogate rzeźby grobowców, kielichy,
I wszystkie dawnych kościołów przepychy,
Któremi, dzisia tak skarłowaciała
Pobożność, niegdyś je przyozdabiała.
Lecz wedle legend, rozpusta i zbytki,
Wnikały często w święte te przybytki,
Jak niegdyś kapłan Baala bałwana,
Wkraczał w świątynię Najwyższego Pana.

Miło mi jednak, że gdy nieproszonym
Sąsiadom naszym, w zapędzie szalonym,
Przyszła myśl, kraj nasz śród tego odmętu,
Z łachmanów Rzymskich oczyścić do szczętu,
Przekleństwem świątyń naszych nie dotknęli,
Jakie na własne szaleństwem ściągnęli.
Dank im, że groby naszych męczenników,
Acz obleczone w cuda katolików,
Pooszczędzali, że dźwięki organu,
Brżmią dotąd na cześć przedwiecznemu Panu.
Nie sądźcie wszakże, że jeśli obecnie
Przedstawiam obraz Prałata, co niecnie
Poniewierając wzniosłe powołanie,
Ohydził siebie i swe panowanie,
Iż ci co mitrę Biskupią nosili,
Wszyscy do niego podobnémi byli.
W czasach obecnych, jak i najdawniéjszych,
Zdobiła ona i czoła zacniéjszych,
Których wysoko chrześcijańskie przymioty,
Ich poprzedników gładziły niecnoty.
Dosyć przypomnieć Matthewsa, Mortona,
I czcigodnego ojca Baringtona!

II.

Lecz muszę wracać do przedmiotu mego,
Opisać zwyczaj życia klasztornego.

Ów ład, porządek, aby bez mitręgi
Znaleść czy świętych relikwje, czy księgi.
Olbrzymie tomy, spięte potężnémi
Z obudwu krańców, klamry miedzianémi,
Które opasłych mnichów ręka biała,
W rzadkich wypadkach jeno wertowała.
Na wyrzeźbionym pulpicie, z wystawą,
Lśniły bogatą w safiany oprawą.
Po nad ich głowy, Gotyckich naw esy,
Zdobiły tarcze, napisy, floresy.
Pod baldakimem, na Biskupów tronie,
Aldingar zasiadł groźnie; jego skronie
Wieńczy infuła; nigdy pastorału
Nie nosił Prałat z pychą taką, mszału
Nie tykał dumnie tak; tuż kanonicy,
Opat, Dziekani, różni dostojnicy
Kościoła, niżéj, krzesła rzędem długim
Zajęli, jeden siadając przy drugim;
Wszyscy milczeli w stalach swych dębowych,
Nakształt posągów w framugach grobowych.
Wskazywał tylko wzrok ich mdło ponury,
Że to postacie ludzkie, nie marmury.

III.

Biskup sposobił się zagaić mowę;
Każdy z poszaną Prałat zwiesił głowę,

Lecz nim rzekł słówko, jakiś zgiełk z oddali,
Zdumienia, trwogi zgiełk, odbił się w sali.
Taki to rozgwar tłok uliczny szerzy,
Gdy go pożaru blask nagle uderzy.
Jeszcze nie ucichł on, gdy ktoś jak młotem
Grzmotnąwszy o drzwi, wyparł je z łoskotem,
I zanim bractwo księży przerażone,
Wezwało świętych na swoją obronę,
Złowrogi Harold, nie skłoniwszy czoła,
Śród zdumionego stanął hardo koła.

IV.

— Jam Witykinda syn; oto go macie!
Wrzasnął na całe gardło; więc Prałacie,
I wy w kapturach pyszni Kanonicy,
Drżyjcie przed zemstą Harolda prawicy.
Przybyłem, byście mi ziemię zwrócili,
Które przodkowie moi tu nabyli!
Biskup w około powiódł mętném okiem;
Chciał mu odmówić wręcz, nie śmiał, widokiem
Przerażon jego; nie było kapłana
Od najniższego z mnichów do Dziekana,
Który by z tydzień, najchętniéj nie pościł,
Byle-b on dłużéj w klasztorze nie gościł.
Wreszcie ochłonion Biskup, rzekł zuchwale:
— Z roszczeń twych, śmiałku, nie będzie nic wcale.

Pasterz nie daje ziem poganinowi;
Ojciec twój przyjął chrzest, i kościołowi
Przekazał mądrze całe swoje mienie,
By mu wymodlił grzechów odpuszczenie.
Przeto dzielnice jego wszystkie zgoła,
Wróciły znowu na łono kościoła,
Który dwóm mężom: Conyers Antoniemu,
I Albertowi Ver, jak on zacnemu,
Powierzył dobra te, by pod sztandary
Naszémi walcząc dla spokoju wiary,
Ilekroć wkroczą tu północne woje,
Pouskramiali niecne ich rozboje.
Nie nudź nas zatém więcéj, radzę tobie,
I skądeś przybył, wracaj z Bogiem sobie.

V.

Poganin spojrzał na niego szyderczo:
— Jak Ver, tak Conyers, wierz mi, przeniewierczo
Nie dotrzymują ci danego słowa.
Trzy łokcie ziemi, płyta marmurowa,
Oto cię proszą dziś te męże sławne.
Paziu! dowody pokaż na to jawne.—
Rzekł, i ucięte świeżo dłoń i głowę,
Cisnął mu w oczy. Milczenie grobowe
Zapanowało; księża osłupiali,
Z podełba na się z przestrachem patrzali.

Poznali oni siwy włos Conyera,
I skaleczoną niegdyś rękę Vera.
Wszyscy pobledli, i modląc się szczerze,
„Pod twą obronę” szeptali pacierze.

VI.

Harold drwiąc spytał:
— Taż to dłoń sztandary
Miała rozwijać, broniąc waszéj wiary?
Głoważ ta miała, któżby mógł uwierzyć!
W pysznym szyszaku za kościół szermierzyć!
Tacyż to moi spadkobiercy nynie?
Znajdź mi jednego męża w Wearze, w Tynie,
Któryby zdołał tą grubą i długą,
Choć chwilkę, jak ja, wywijać maczugą,
Lub wróć mi grabież, to ci Harold powié,
Że choć troszeczkę masz oleju w głowie.—
I tą maczugą, krwią jeszcze broczącą,
Zamachnął z siłą tak zdumiewającą,
Że gwizd jéj straszny echami odbity,
Złowrogo sklepień odtrąciły szczyty.
Potém spuszczając ją piorunnym zwrotém,
Na posąg króla Osrika, jak młotem
Roztrzaskał w szczęty go, aż w krąg kawały,
Pogruchotane w krąg się rozleciały.
— I cóż ty na to? jak podziałał na cię

Ten świst maczugi, wielebny Prałacie?
Zawołał groźnie; — myślisz więc że łatwo
Poradzisz ze mną, jak z niesforną dziatwą,
Że mię przepędzisz, jakbym nie był mężem,
Władnącym takim, jak piórkiem, orężem?...
Odpowiedz!... ale rozważ dobrze wprzódy;
Zostawię-ć chwilkę dla większéj swobody,
Niech święty Cuthbert natchnie cię mądrością,
Jeżeli święty Cuthbert jest świętością.
Odchodzę na bok, wkrótce jednak wrócę,
Więc do widzenia, bo nie bałamucę!

VII.

Odszedł, drzwi za nim z łoskotem się zwarły,
Kroków tenteny w oddali zamarły.
Zaledwie z hukiem straszne to widziadło,
Uchodząc nagle, za progiem przepadło,
Biskup podnosząc oczy przerażone,
I dumne czoło na łono zwieszone:
— Święci Ojcowie, rzekł, objawcie zdanie,
Co czynić? wielkie rzucam wam pytanie.
Żaden z Biskupów, wyznaję otwarcie,
Nie czekał, strwożon, na wasze poparcie.
Jeśli-b djabłowi kiedy się zachciało,
Przywdziać kształt ludzki i człowiecze ciało,
Wybrałby pewnie twarz tę, wzrok krwiożerczy,

I ten piekielny uśmiech tak szyderczy.
Znajdziemyż w naszych dzierżawach gdzie męża,
Coby na niego śmiał dobyć oręża?
Co robić? mówcie! co? mamyż niegodnie,
Zwracając mienie mu, popełnić zbrodnię?
Czy go zbywając należną odmową,
Nałożyć, jako męczennicy, głową?

VIII.

Winsauf, piwniczy, który już od świtu
Podchmielił sobie Małmazją do sytu:
— Czekajmy jutra, odparł, jutro snadnie,
Coś odpowiémy mu mądrze, gromadnie.
Zaprośmy śmiałka na ucztę, jeżeli
Grzecznym jest mężem, z nami ją podzieli.
Nie szczędźmy wina, skoro go rozłechce,
Spije się; wówczas zrobię z nim co zechcę.
Na ręce, nogi, kajdany, powrozy,
Potém na wieki, bratku, marsz do kozy!—
Święty księżulo uśmiał się serdecznie...
Lecz nie ufajcie mu, radzę, zbytecznie.
Winsauf nie gardził Bachicznym nektarem,
Lubił zjeść smacznie, bawiąc się puharem...
Któryż smakował wieszcz, jako ja, wielce,
W cąbrze sarniny, lub wina butelce?
Ale wolałbym placek z szklanką wody,

W izdebce ciemnéj wypić dla ochłody,
Niż najwspanialéj zasiąść kiedy społem,
Obok Winsaufa, tuż za jednym stołem,
Gdy biesiadników częstują źwierzyną,
Lub dają z Bordeaux sprowadzone wino.

IX.

Walwajn przemówił po nim; lekarz wielki,
Wszystkie rośliny znał, zioła, kwiat wszelki,
Które rozwija ze słońcem pospołu,
Rosa, na szczytach gór i u ich dołu.
Ale najwięcéj znał rośliny owe,
Wyrabiające jady truciznowe,
Których wpływ na krew i na mózg działając,
Zabija zwolna, życie rozprzęgając.
Wieśniak spotkawszy go rwącego trawy,
Gdy na niebiosach lśni księżyc bladawy,
Widząc wychudłe to jak szczapa ciało,
Wyżółkłe lice, głowę wyłysiałą,
Mniemałby że to upiór po omroczy,
Wypchnięty z grobu, tajemniczo kroczy.
— Winsaufie, rzekł on, więzień naszych ściany
Mocne i wino mocne, i kajdany;
Lecz trzy kropelek z téj małéj flaszeczki,
Od kajdan, więzień, win, lepsze troszeczki.
One uraczą zachodem nie długim,

Harolda kozą, czy więzieniem drugiém,
W którém mu będzie ciaśniéj, głębiéj, ciemniéj,
Gdy go po sznurach spuścim doń tajemnie.
Niech jako wsciekły pies, rozbójnik ginie,
Wówczas odetchniem rzéźwiéj, poganinie!
Ja także nie raz, gorączką palony,
Leżałem w łożu śmiertelném złożony.
Także schorzały umysł wytężałem,
Gdy na lekarza, rozdrażnion, czekałem,
Jakby obecność sama jego mogła
Zwalić chorobę mą, co mię tak zmogła
Bo go słuchając dusza szczęściem drgała,
Jakby wyrocznia do mnie przemawiała.
Widziałem wreszcie, błogosławiąc nieba,
Że mi rad jego więcéj nie potrzeba,
Przetom go żegnał z wdzięczném serca biciem,
Jak zbawcę, co tchnął nowém we mnie życiem.
Ale wolałbym, złamany niemocą,
Umrzeć, bolejąc ciężko dniem i nocą,
Niż wzywać cierpiąc, jak Walwajn lekarzy,
Niech ich Epidaur, jak chce, wiedzą darzy.

X.

— Środek twój, Biskup rzekł, tając obawę,
Przebaczy Kościół, uwzględniając sprawę,
Byle nikomu ani słówka o tém.

Ale go nieco odłóżmy na potém...
Anzelmie Jarrow, jakie twoje zdanie?
Mądryś, mam w tobie wielkie zaufanie.
Głęboka wiedza, mistyczne twe życie,
Natchną cię zbawczą myślą należycie.
Powiedz nadziejo ma, jak to załadzić,
Sam Papież mógłby ciebie się poradzić.

XI.

Ksiądz Przeor odrzekł:
— Ha! rzecz to nie zdrożna,
Odwlekać, czemu zapobiedz nie można.
Nim Harold sprawę te wielce nie miłą,
Poprze, a gotów, jak widzimy siłą;
Wynajdźmy zręcznie mu niebezpieczeństwa,
Godne wściekłego, jako jego, męztwa,
Ujrzym, czy olbrzym ten dziki, złowrogi,
Wkroczy zuchwale w państwa zgrozy, trwogi.
Podda się, ręczę, twemu wyrokowi.
Takich prób, rycerz jak on, nie odmówi.
Gdyby Guj, lub ów Bevis, strasznéj siły,
Mogli zmartwychwstać z zapadłéj mogiły,
Ziemie twe nawet i dla ich ramienia,
O! dostarczyły-b przygód, bez wątpienia,
Zamek *Tarcz Siedmiu*, ho! ho!...
Cst!... Podwoje

Nagle się z trzaskiem rozpadły na dwoje,
Syn Witykinda stanął na ich progu.
Czekają, duszę polecając Bogu.
Wszedł; na nim skóra niedźwiedzia kudłata,
Na barkach znana maczuga sękata,
Usta mu pienią, oko złością pała,
Bo go już zwykła wściekłość opętała.
— Prałacie! wrzasnął, cóż będzie z mém mieniem,
Chcesz bym je wydarł ci, krwią i płomieniem?

XII.

— Haroldzie, Biskup rzekł, za nim odpowiém,
Wysłuchaj wzajem bacznie co ci powiém:
Oddamy wówczas tobie wszystkie włości,
Gdy złożysz dowód twojéj waleczności.
Nie żebym wątpił o niéj; gdzie tam! ale
Tak chce mieć prawo.
— Myślisz więc zuchwale,
Odparł mu Harold, że prawnuk Ericków,
Jest bawidełkiem trzody zakonników?
Mów co mam czynić?... chcesz bym dłonią twardą,
Trumnę świętego Cuthberta, z pogardą,
Acz ołowiana, cisnął z całéj mocy,
By wyleciała jako kamień z procy?...
— Nie oto idzie; pocóż ta zniewaga!
Przerwał piwniczy; co prawo wymaga,

Powiedzą tobie na ucztach pieśniarze,
Gdy ci podamy wino w złotéj czarze.
Wówczas Haroldzie, przyznasz, jak Bóg w niebie,
Żę ci wskazujem czyny godne ciebie.

XIII.

Z biesiadnéj izby słychać gwar hulanki,
Śród głośnych śmiechów dzwonią głośniéj szklanki.
Lecz groźny Harold wdzięczniéj się przymila,
Do dzikiéj pieśni Huga Mennevilla.
Hardą tę duszę zawsze śpiew minstrela,
Oczarowując, tęskno rozwesela.
Wlepiwszy w barda wielkie, czarne oczy,
Taki go Zachwyt opętał uroczy,
Że o puharze zapomniał i winie,
Błądząc myślami po marzeń krainie.
Więc na Winsaufa Biskup zmarszczył lice,
Że mu na próżno wysuszał piwnicę.

XIV.

ZAMEK TARCZ SIEDMIU.

BALLADA.

1.

Druid Urjen miał siedm córek,
A każda z nich czarownica,

Na ziemię, gdy chciały, z chmurek
Sprowadzały krąg księżyca.
A o wielkiéj ich piękności,
Tak się wszędy rozgłosiło,
Że aż siedmiu Książąt w gości,
Na zaloty doń przybyło.

2.

Mador i Rhys, oba króle,
Jeden z Pawes, Gallów drugi;
Głowy mieli jako ule,
I włos rozczochrany, długi.
Przybył także na te gody,
Z Strath-Clwyd, Ewain kuternoga
Przybył Donald rudo-brody,
Z Gallowaj, acz straszna droga.

3.

Król Lodonu był garbaty,
Zda się nawet z urodzenia.
Dumajl z Cambrji szczerbaty,
Nie miał zębów, podniebienia.
Ale przybył z niémi społem,
I z Nothumberland Królewic,
Z sercém młodem i wesołem,
Adolf, ulubieniec dziewic.

4.

Zazdrość jątrzy siostry wzajem,
Bo by każda z nich wolała,
Aby zwykłym obyczajem,
Piękniejszego męża miała.
Już jedna na drugą wpada,
Tak je pali zawiść wściekła.
A w tem ziemia się rozpada,
I wyskoczył mocarz piekła.

5.

— Po co? na co wszczynać zwadę?
Rzekł, ja wnet was zadowolę.
Więc mu na to siostry rade,
Że wypełnią jego wolę.
Przeto każdej po wrzecionie,
I kądziółce dał do ręki,
— A teraz rozjaśńcie skronie,
I słuchajcie mnie panienki:

6.

Wrzecionami z tych kądzieli,
Prząść będziecie o północy.
A z pod ziemi wnet wystrzeli,
Siedem wież niezmiernej mocy.

W nich się dziwo dziwów stanie;
Bo pospołu zamieszkacie,
Chociaż tam zła panowanie,
Z tym którego tak kochacie.

7.

I usiadły na dolinie
Śpiéwając pieśń; — w krąg odludno
Księżyc po niebiosach płynie,
Lecz powtórzyć pieśń tę trudno.
Poraniły sobie łona,
Tak iż wełny przędza cała
Była krwią zaczerwieniona,
Co z ich piersi w nią wsiąkała.

8.

Podczas gdy palcy śnieżnémi,
Wrzecionami wiją zręcznie,
Pyszny zamek tuż przed niémi,
Istnym cudem stanął wdzięcznie.
Siedem wieżyc widno z boków,
Most zwodzony jak na dłoni,
A o kilka daléj kroków,
Siedm doń rowów przystęp broni.

9.

W tym to strasznym tak kastelu,
Siedmiu królów śluby wzięło;
Lecz nazajutrz po weselu,
Sześciu z nich w mękach zginęło.
Siedem dziewic jako lwice,
Trzęsąc okrwawione noże,
Wlepiło w Adolfa lice,
Wzrok, obległszy jego łoże.

10.

— Sześć głów ukoronowanych,
Sprzątnęłyśmy, rzekły, ranem,
W spadku więc po nich, zabranych,
Sześciu Królestw jesteś panem.
Podziel serce swe wesoło,
Na siedm żon; wdzięk nasz uroczy,
Albo i twe siódme czoło,
Jak tych sześciu, krew obroczy.

11.

Szczęściem w wigilją dnia tego,
Spiesząc książe na małżeństwo,
Kapelana pobożnego,
Prosił o błogosławieństwo.

A więc wyskoczywszy z łoża
Silnym rzutém, z wielkim pędem,
Imając wielkiego noża,
Porżnął wszystkie siedem rzędem.

12.

Zamek zamknął; lecz poprzednio,
Każde drzwi na cztery strony,
Ze zręcznością nie powszednią,
Ubrał w tarcze i korony.
Tak mu zbiegł dzień do wieczoru,
Potém marszcząc piękne lice,
Poszedł smutny do klasztoru,
Przywdziać szorstką włosiennicę.

13.

Siedmiu Królów tych kléjnoty,
Jak i skarby, w zamku leżą.
Strzegą je szatanów roty,
I dotąd ich nie łupieżą.
Lecz kto mimo djablej straży,
Dobrze siły swe obliczy,
I tam sam się wéjść odważy,
Bogactwa te odziedziczy.

14.

Ale w miarę jak starzeje
Świat, i męże tracą ducha.
Powiém, niech się kto chce śmieje,
W całéj Anglji nie ma zucha,
Coby nocą, sam, zuchwale,
Wkroczywszy w te mury grube,
Przebiegł ich sklepione sale,
Narażając się na zgubę.

15.

Cheviotu twarde szczyty,
Drgną wpiérw jako wątła trzcina,
Nim Northumberland obfity,
Opuści rycerz Albina.
I kamienne Bambru skały,
Roztopią się snadniéj w słońcu,
Zanim skarb ten tak wspaniały,
Dostanie się komu w końcu.

XVI.

— A więc mi taką próbę nastręczacie?
Rzekł dziki Harold w groźnym majestacie.
— Idę się przespać wnet sercém ochotném,
Na którémkolwiek tam łożu samotném.

Dobranoc Księża! dobranoc Biskupie!
Idę, nie trwożą mię te strachy głupie.
Zamek Tarcz siedmiu, od jutra kapłanie,
Prawną własnością Harolda się stanie.

HAROLD NIEUSTRASZONY.

PIEŚŃ PIĄTA.

I.

Mądry ów dworak, co Księciu Duńskiemu
Nie przecząc wcale, jako panu swemu,
Że raz w obłokach, wznosząc wzrok ku górze,
Dostrzegli społem wieloryba w chmurze,
Nie wiedział, że to była prawda szczéra.
Bo wyobraźnia, jak powódź gdy wzbiéra,
Na tle przyrody, gdy ją coś olśniewa,
Własnych przywidzeń potopy rozléwa.
Przeróżne barwy burzliwych wieczorów,
Przepyszny pryzmat przedświtu kolorów,
Mgliska, w swém łonie kryjące pioruny,
Alabastrowe śnieżnych zasp całuny,

Są tylko kanwą, tłém dla wyobraźni,
Na których, gdy się czémś wzruszy, rozdrażni,
Nie przebranémi bogactw swoich skarby,
Maluje cuda tęczowémi farby.
I swego pędzla szalonym rozpędem,
Rzeczywistości zlewając z obłędem,
Tworzy obrazy, których wdzięk uroczy,
Łudząc nas, chwyta śmiertelnika oczy.
Ląd nasz, i góry co się na nim jeżą,
Do wyobraźni państw także należą.
Bo do mamideł swych, nie tylko ona
Ściąga barw z nieba, powietrza, z mórz łona,
Lecz swoje zamki wznosi i na ziémi,
Na którą spływa skrzydły powiewnémi.
Tak! czarodziéjka ta na każdym kroku,
Upiększa wszystko zdumionemu oku.

II.

Harold wprost zmierzał manowcem ochoczo,
Tak go ów Zamek pociągał uroczo.
Gunnar, paź wierny, przyspieszając kroku,
Kroczył jak zawsze, tuż przy jego boku.
Spotkali w drodze spory głaz granitu,
Strącon piorunem z sąsiednich skał szczytu.
Brzózka zwieszając nad nim liść w około,

Otrząsa z pyłu mu biodra i czoło,
A spodem wciska w każdą rozpadlinę,
Drobne korzonki żywiące krzewinę.

Głaz ten i drzewko to, jak nocna mara,
Gnębiły ciężko tęskną myśl Gunnara;
Aż lśniąca łezka wbiegła mu na oko;
Zagadł więc pana wzruszony głęboko:

— Coby oznaczał ten odłam kamienia,
I drzewko, co go w krąg tak ozielenia?

— Głaz ten, rzekł Harold, może wyobraża
Hełm poległego jakiegoś mocarza
A te gałązki, to rycerska kita,
Dłonią kochanki do boju uwita.

— Nie! nie! paź odrzekł, ja tu widzę raczéj,
Symbol nieszczęsnéj dziewczyny, co płacze,
Że pokochała tak zapamiętale
Męża, co uczuć jéj nie dzieli wcale.
Wątłe te prątki smutnie tak wiszące,
Żywią czas jakiś dészcze spadające,
Nim kiedyś piorun śród nawałnic, z głazem
I wątłe drzewko zdruzgoce zarazem.
Tak i dziewica, gdy kocha młodziana
Namiętną duszą, wzajém nie kochana,
Łzami jedynie cierpienia swe koi,
Aż je grób wreszcie całkiem uspokoi.

III.

— Co ci mój paziu — rzekł Harold, co tobie?
Dziwaczysz, i to w najlepszym sposobie.
Marzysz i mówisz mi wciąż o miłości,
A tak uciekasz od wszystkich piękności?
Bitew unikasz zawsze z przerażeniem,
A jednak smutném twojém przeznaczeniem,
Z groźnym rycerzem sprzęgłeś życie twoje,
Którego całém szczęściem rzeź i boje
Z tém wszystkiém, wyznać szczerą prawdę muszę,
Że acz tak wątły, tknąłeś moją duszę.
I prędzéj Harold. ów Harold zuchwały,
Z pochodnią w ręku spaliłby świat cały,
Niżby miał ścierpieć, niech mię Odyn broni!
By ci Gunnarze spadł włosek ze skroni.

IV.

Wdzięczny paź milczał, lecz krzyżując ręce,
Wzrok wzniósł ku niebu, jakby chciał w podzięce
Wyrzec: „włóczęgę mą i ciężkie znoje,
Sowicie płaci takie słowo twoje.“
Potém udając wesołość, nieznacznie
Przemyślał, jak on znów rozmowę zacznie.

Aż wreszcie duch się w nim silniéj ocucił,
I taką piosnkę półgłosem zanucił:

V.

PIEŚŃ.

Jeśli duszą mą zbolałą,
W boju z tobą się nie mierzę,
Któż Haroldzie, twoją chwałą,
Jak Gunnar, cieszy się szczérze?
Nad królewskie łoże, złoto,
Gunnar woli twe posłanie;
Bo przy tobie śpię z ochotą,
Na niedźwiedziéj skórze, Panie.

VI.

— Cst! nagle Harold zawołał zdumiony,
A może nieco nawet przerażony.
— Cst! nie jesteśmy sami; widzisz? kroczy
Znowu pielgrzyma widmo na uboczy!
To kaptur jego i szaty zszarzałe;
Dwakroć już brednie prawił mi zuchwałe.
Patrz! patrz Gunnarze! z czołem pochylonem,
Mknie pod tém drzewem piorunem spalonem.
Tyś go nie widział, gdy raz niespodzianie
Niegdyś doliną sunął przy Jordanie,

Ani śród owych Cefalonji wzgórzy,
Poprzedzan rykiem tak straszliwej burzy.
Teraz go widzisz?
Paź zaczerwieniały,
— Ja widzę jeno cień — odrzekł struchlały,
Który padając z dębu na grunt suchy,
Gałęzi jego naśladuje ruchy,
I to się zwija, to się wciąż wydyma,
Jako rozmiotan wichrem pled pielgrzyma.

VII.

Harold pień drzewa mierząc bystrym wzrokiem,
Krzyknął stanowczo:
— Nie ruszę ztąd krokiem,
Co bądź się stanie, straszliwe widziadło!
Niebo, ni piekło, bogdajeś przepadło!
Nie, nie powiedzą, niech się jak chcą srożą,
Że jakimś cieniem Harolda zatrwożą.
I im na przekor, przemówię doń jeszcze,
Acz na głos jego wstrząsają mię dreszcze,
Które gmin zwykle nazywa obawą.
Ja ją przemogę!
I wstępując żwawo
W sam cień:
— Mów! słucham—zawował, śród łona
Splatając z dumą żelazne ramiona.

VIII.

Głos więc przemówił:
— Dziki wojowniku,
Kiedyż nakoniec, po zbrodniach bez liku,
Wściekłość twą zmiękczy żal? długoż twe kroki,
Zamącać będą zmarłych sen głęboki?...
Tak! każdy krok twój trupa budzi w grobie.
A szatan mordu na cześć pomst, i tobie
Hymn tryumfalny złowrogo zawodzi.
Niech się twa dusza z Bogiem już pogodzi;
Życie niedługie i prędko ucieka,
A wnet po śmierci straszliwy sąd czeka.

IX.

Prawnuk Odyna odrzekł zawahany,
Podżegan pychą, trwogą krępowany:
— Próżno wilkowi wymiatałbyś w oczy,
Że się posoką bydląt dziko broczy;
Albo opokom, że zakamieniały
W łonach im serca, na wieki jak skały....
Podobnym do nich! W Witykinda synie,
Krew jak u jego ojców lawą płynie.
Powiedz mi, czy w widm powietrznych krainach,
Już zapomniano o Ericka czynach?
O Witykindzie, któremu nadano,

Takie rozgłośne, niszczyciela, miano?
Który gdzie jeno pchnął swoje okręty,
Wszystko niweczył i druzgotał w szczęty?
On jest mym ojcem, a przeto syn butny,
Jak on być winien dziki i okrutny!...
Precz więc! i nie nudź mnie abym się korzył,
Jam takim, jakim Witykind mię stworzył!

X.

Widziadło jękło.... na ten jęk ponury,
Drgnęły doliny, podskoczyły góry,
Drzewa zatrzęsły liści wachlarzami,
Jakby im przemknął wicher nad głowami.
— Prawda!—duch odrzekł, lecz nie mów wszelako,
Że winowajca wielki ten jednako,
Tak nienawistnie, wszędy, od kolebki
Do grobu, szerzył rzeź, zwodził załebki.
Prawda! rozjuszon, świątynie i grody
Palił on, grabił, łupieżył w zawody,
Siejąc po ziemi, od końca do końca,
Pożary, jako pochodnia płonąca.
Ale się skruchą otrząsł z téj szkarady...
Może te śliczne tak ojca przykłady,
Naśladowane przez potomka godnie,
Najsroższą karą są za jego zbrodnie!...
Lecz ty, gdy wściekłość rospęta się w tobie,

Potężną wolą zaduś ją wnet w sobie,
Ocknij się synu mój! jeśli przemogą,
Tak nurtujące cię złości złowrogo,
Toś przepadł; bo ci, słuchaj! z woli Bożéj,
Podwojów żalu nic już nie otworzy.

XI.

— Znikł! widząc jeno cień dębu właściwy,
Zawołał Harold;—znikł już duch straszliwy!
Obecność jego tłoczy mię, jam chory,
Czy to ohydnych snów wstrętne potwory?
Serce mi bije jak u zbiega, czoło
Pot zléwa zimną wilgocią w około....
Gunnarze, gdzie ta od mnicha butelka,
Któréj, jak mówił, drobniutka kropelka
Jakiegoś płynu, dana rycerzowi,
Konającego nawet wnet uzdrowi?
Po raz to piérwszy, Harold sokiem ziela
Krzepi swe siły, umysł rozwesela.
Giermek mu podał flaszkę napełnioną
Trucizną, świeżo przez księdza zwarzoną.
Jad jéj tak straszny był, że sprowadzała
Kroplą szaleństwo, dwoma, zabijała.
Harold przytyka ją do ust, gdy dźwięki
Grzmiącego chóru godowéj piosenki,
Drgnęły mu w uchu; pogląda zdumiały;

I widzi orszak weselny wspaniały,
I słyszy zwrotek życzenia gorące,
Na cześć ślubowin Metelilli brzmiące.

XII.

Przykryty dębu konarów obsłoną,
Harold rozpoznał łatwo całe grono.
Jedni na dzielnych koniach, drudzy pieszo,
Obok małżonków, uroczystą rzeszą,
Obrzędnéj pieśni, stąpając w takt, kroczą.
Wszyscy śpiewają serdecznie, ochoczo,
A echo zda się, wtórząc im radośnie,
Pieśń tę roznosi w około donośnie,
I coraz dźwięczniéj, po górach, dolinie,
Wdal, harmonijno-dziki chorał płynie.

XIII.

Śród ogólnego tak wszystkich zapału,
Poznasz jednakże, mimo tego szału,
Jak całym tłumem tym namiętność, rdzennie,
Wstrząsa z przeróżnych pobudek odmiennie.
Nakształt ogniska, co jednakim rzutem
Wybucha, jędrnym karmem, czy nadpsutym
Żywione silnie, radość, jak źwierciadło,

Odbija wiernie co w duszę zapadło.
Szczéra w młodzieńcu; u oblubienicy
Walcząc tajemnie z obawą dziewicy,
Mimo tych szermów, lśniła w łzach skromności,
Ozdabiających tak lica piękności,
Jak dészczyk drobny wdzięk róży podnosi,
Gdy perełkami swémi ją porosi.
W twarzy Wulfstana znów nader widome,
Zadowolenie chciwości kryjome.
A w oczach żony jego, zacnéj Jutty,
Tryumf wściekłości i piekielnéj buty.
Zła czarownica wié w jakie kabały,
Niebacznie wplątał się Harold zuchwały.
A więc cieszyła się, że tym sposobem
Szaleństwa jego zakończą się grobem.
Szatan ukradkiem szepnął jéj dziś z rana:
— Jeśli Willjama, jego ukochana
Nazwie małżonkiem za nim noc zapadnie,
To się na zawsze zbędziesz łotra snadnie.
Stara odrzekła:
— Harold niebezpieczny,
Legł już podobno, na spoczynek wieczny.
Niech mu nad grobem rosną mandragory,
W którym, mogilnych snów wstrętne potwory,
Przerażającą obsiadłszy go zgrają,
Niech mu i chwilkę wytchnienia nie dają.

A przy ocknięciu, w ostatnim dniu świata,
Niechaj najdzikszy przestrach go przygniata.

XIV.

Lecz mędrzec mówi: jak na pośmiewisko,
Że przy radości kroczy smutek blizko.
Weseli, drwimy z niebezpieczeństw, z trwogi,
Acz nas okrąża łańcuch ich złowrogi,
Bo się wciskają one jak wąż, chętnie
W trawnik, ukwiecon pierwiosnkiem ponętnie.
Tak i ten orszak trafem wypadkowym,
Spotkał Harolda w pochodzie godowym.
Wojownik wrzasnął; wściekły krzyk ten zmroził
Każdego, jakby mu wnet śmiercią groził.
Śmiercią im wszystkim, im, co do téj chwili
W zachwycie szczęścia, o niém tylko śnili.
Nikt z nich nie dostrzegł źrenic jego lśniących,
Błyskawicami w około siejących,
Tych konwulsyjnie rysów wykurczonych,
Bladości twarzy, ni warg zapienionych
Jako ryj dzika, gdy go psiarnia zjadła,
Obsaczonego pogonią opadła.
Lecz każdy widząc jak za jednym razem,
Wyrwanym z boku skały, sporym głazem,

Zamachnął siłą groźnego ramienia,
Pierzcha, szukając w ucieczce zbawienia.

XV.

Wszyscy uciekli; dwóch wrogów wszelako,
Zostało hardo, walecznych jednako.
Lord Willjam z dumą dobył swój miecz dzielny,
Wulfstan przyrządzał chyżo łuk śmiertelny,
Lecz nim obwisłą cięciwę naprężył,
Harold żelazną prawicę wytężył,
I odłam skały w powietrzu wzniesiony,
Jakby ogniami Hekli wyrzucony,
Spadając z świstem na myśliwca czoło,
Zmiażdżył je, strzaskał, aż prysł mózg w około.
I z kształtów ludzkich przed chwilą, zostało
Pogruchotane jeno jakieś ciało,
Które granitu zakrwawiona bryła,
Niby mogiła w połowie przykryła.

VI.

Jak spadający kulą orzeł z chmury,
Rozjuszon Harold zbiegł w dolinę z góry;
Jak mnogich ptasząt świegocąca rzesza
Gdy się w powietrzu nad nią tuż zawiesza
Zbójca skrzydlaty, pierzcha przerażona,

Tak każdy blednąc, z weselnego grona,
Gnany postrachem, co prędzéj umyka,
Widząc groźnego ziemi rozbójnika.
Tylko z całego tłumu co ucieka,
Jeden Lord Willjam obojętnie czeka,
Jak dzielny sokoł, co się pragnie zmierzyć,
Z zdumionym orłem chcącym nań uderzyć.
Ciężka maczuga dzikiego Duńczyka,
Już zdruzgotała w dłoni miecz Anglika,
Który z nim na wznak runął téjże chwili.
Boże! ty jeden możesz Metelilli
Męża ocalić, bo nim piérwsza minie
Godzina jego ślubowin, Lord zginie.

XVII.

Harold szatańską złością opętany,
Rzuca oczyma w krąg jak obłąkany,
Marszczy, rozmarszcza brew, zębami zgrzyta,
Skurczoną dłonią wciąż niby coś chwyta,
Ustami pieni, i już się gotuje
Willjama dobić, bo on nie żartuje.
W tém odwracając śmiertelny cios pana,
Ukląkłszy, Gunnar ima za kolana,
I przerażony, błagalnie doń rzecze:
— Zlituj się, panie! ulituj człowiecze!

Pomnij Haroldzie, pomnij, jak widziadło
Groziło tobie, zanim gdzieś przepadło!
Wróżoną próbę ta chwila oznaczy,
Litości, panie! lub bój się rozpaczy!...

Głos ten tak słodko do Harolda gada,
Lecz mu wzniesiona ręka nie opada.
Jak kat pogląda; poznać w nim od razu,
Że na mord czeka jedynie rozkazu.
Paź ciągle błagał:
— Przeżegnaj się panie,
Módl się, o! módl się, jak modlą chrześcjanie;
Oprzéj się djabłu, bo już tak spragniony,
Porwać cię rychléj w szatańskie swe szpony!

Harold rozrżewnion, nie pojmując czemu,
Żegna się kornie; i natychmiast jemu
Czoło rozmarszcza się, wzrok rozpogadza.
Nadprzyrodzona jakaś, wyższa władza,
Maczugę jego wiesza mu u boku;
Wreszcie odchodzi, przyspieszając kroku.
Wszelako, jako biesiadnik znaglony
Porzucić bankiet wnet nie dokończony,
Spoziérał nie raz na powalonego,
Jakby żałował zwycięztwa marnego.
Jednak złość przemógł, pychę swą uniżył,
Więc się ku niebu o stopę przybliżył.

XVIII.

Płyn w flakoniku zbawczéj pewnie treści.
Jest to elixir na wszystkie boleści.
Jutta probuje wpiérw, aby bezpiecznie
Podać go córce kochanéj serdecznie.
O! nie powstydzi się mistrz swego dzieła!
Zaledwie stara kropelkę przełknęła,
Wrzasła.... złowieszcze ptastwo dzikim wtórem
Odpowiedziało jéj na wrzask ten, chórem.
Kruki krakały, puhacz grubodzioby,
Zwierzchołka dębu szerzył jęk żałoby.
Na krzyk ten straszny czaple się zbudziły,
Lisy i wilki po jarach zawyły,
Bo jeszcze wówczas Cheviotu skały
Mnogie gromady wilków wylęgały.
Dogasający wciąż głos czarownicy,
Niosły powiewy gór po okolicy,
Lecz nim ostatnie echo go odbiło,
Skonała w mękach. Jutty już nie było.

XIX.

Taką to straszną zakończył się chwilą,
Ślub twój Willjamie z piękną Metelillą.
Często widujem w przedświtach poranku,
Wschodzące słońce w tumannym mgieł wianku;

Przyćmiona jego tarcz czerwoną chmurą,
Błyszcząc posępnie, wznosi się ponuro,
Lecz wkrótce, wkrótce, gdy dobrze rozdnieje,
Król światła w całym blasku znów jaśnieje.
Tak młoda paro w przyszłości i tobie,
Gorąca miłość, po ciężkiéj żałobie,
Ciągłą pociechą darząc cię obficie,
Ozłoci szczęściem do mogiły życie.

HAROLD NIEUSTRASZONY.

PIEŚŃ SZÓSTA.

I.

Żaden z turystów, jestem pewien, grona,
Gdy moja powieść będzie już skończona,
W tilburym, konno, powozem, lub pieszo,
Z ciekawą, jak on, towarzyszy rzeszą,
Nie przywędruje, choć to podróż blizka,
Zamku Wież Siedmiu oglądać zwaliska.
Dziś gmach ten, znikły po nim tak i ślady,
Różni się wielce od Huga ballady.
Dzika ta ustroń nie ma innych wieży,
Krom tych, jakiémi myśl twa ją najeży;
A prócz okopu z którego wystrzéla
Tu, to tam, szczypta nieznanego ziela,

Nigdzie głaz, ani jaka bądź ruina,
Zamczyska Siedmiu-Wież nie przypomina.
A jednak nader poważni pisarze,
Suszyli głowy swe i kałamarze
Nad wywodami, dowodząc wymownie,
Że czarnoksiężką tę, straszną warownię,
Dźwignęły Rzymskie kiedyś tam legjony,
By Kaledonów powściągać zagony.
Mógłbym przytoczyć Horsla, Hutchinsona,
Camdena; ale, acz nie tak uczona,
Wolę legendę ludu zawsze, która
Gdy dzieje ruder chłonie noc ponura
Wieków zamierzchłych, za budowniczego
Dają im djabła, z piekła wysłanego.

II.

W takie to gmachu magiczne wieżyce,
Lord Harold wlepił zdumione źrenice,
W zmierzchu wieczornym kwiatki, trawki, wrzosy,
Połyskiwały perlistémi rosy.
Blade światełko niknącego słońca,
Niby korona czoła gór wieńcząca,
Opromieniało i zamkowe szczyty,
Zanim zapadło w ciemne wód błękity.
Duńczyk wpatruje się w siedm tarcz błyszczących
Siedem podwoi warowni zdobiących,

I w ich bogate symbola rzeźbione,
Które przepysznie były wyzłocone.
Tarcz Księcia Walji ozdabia wilk srogi:
Rhysa Powisa, jeleń wielkorogi;
Króla Strath-Clwydu, łódka o krawędzie
Skał roztrzaskana; Donalda, koń w pędzie;
Króla Lodonu, kłos, jest on zarazem
I urodzajów ziem jego obrazem;
Dumnajla pierścień; w Adolfa paiży
Potężna skała, w krąg niéj, nieco niżéj,
Ocean tłucze boki jéj z granitu,
A krzyż migoce złotem u jéj szczytu.
Takie to Książąt godła rozmaite,
Na siedmiu tarczach tych były wyryte.

III.

Harold podchodzi k'drzwiom, których potężne
Rdza zgryzła w niwecz wrzeciądze mosiężne;
Jednak by nie śmiał mąż najtęższéj dłoni,
Przekroczyć próg ten, acz go nic nie broni.
Stokroć silniéjsze niż mieczów tysiące,
Broniąc go, trwogi uczucie mrożące,
Groźniéjsze śmielcom stawiało zapory,
Niż jego kute z żelaza zawory.
Zabobon strachem tak go wyposażył,
Że najzuchwalszy wéjść doń się nie ważył.

Dziś czar pękł; Harold pięścią jakby młotem,
Podwoje gmachu wysadza z łoskotem,
Wkracza do wnętrza; gwałtowne podwianie
Rwistego wichru, wiszące na ścianie
Wstrząsa trofea, aż odwieczne mury,
Odbiły echem jego świst ponury.
Jęk ten w tém miéjscu strętwiłby każdego,
Okrom Harolda Nieustraszonego.
A Witykinda syna, przemknął tylko
Ów bohatérski dreszcz, ulotną chwilką,
Który przed groźną rozprawą przenika,
Czekającego na nią wojownika.

IV.

A jednak Duńczyk, ani giermek jego,
Nie dostrzegają nigdzie nic strasznego.
Dziedzińce, jako i do nich wiodące
Krużganki, ciche, samotne, milczące.
Siedm Wież obeszli; każdéj sprzęt bogaty,
Odznacza wykwint Królewskiéj komnaty.
W każdéj z nich łoża pod pyszną obsłoną.
Jakby je wczora na noc zaścielono.
Jakby wigiliją, składając im wiano,
Siedmiu księżniczkom wiarę ślubowano.
Stoły biesiadne jaśniały w przybory,
Najwyszukańszej zastawy splendory.

A jednak dwieście lat podanie kładzie
Tym ślubowinom i owéj biesiadzie.
Harold podziwia kredensu robotę,
Talerze złote, wazy szczérozłote,
Przyćmione nieco dwóch wieków pyłami.
Daléj znów trony pod baldakimami,
Przybrane jeszcze na dzień tak godowy,
Najkosztowniéjsze kryły złotogłowy.
Wreszcie obicia ścian niedocieczone,
Straszliwie molem wszędy pogryzione,
Tak cieniutkiemi strzępkami wisiały,
Jakby włókienka ich pająki tkały.

V

W każdéj komnacie firanki czerwone,
Niby żałobna krepa zawieszone,
Kryły alkowę, w któréj strupieszałe
Leżały kości na łożach zbutwiałe.
W około stroje jakieś niezbadane,
Haftami pysznie w okrąg bramowane.
Tu naszyjniki bogate w kléjnoty,
Tam dyjademy misternéj roboty,
Jakie przed wieki królowie nosili.
Ale tych głowy, co niémi zdobili
Czoła swe, przykrył, jak i ich korony,
Kurz dwustoletni warstwami złożony.

Były to resztki mocarzy tych właśnie,
Którzy, jak twierdzą podaniowe baśnie,
Dwa wieki temu, rozkoszą zużyci,
Na oblubienic łonach, jak zabici
Spali, nim wściekłe te oblubienice,
Poprzetwarzały się nagle w tygrzyce.
Szczęście z niedolą tak się dziwnie splata
W pasmie dni naszych, że nim zakołata
Śmierć nam do serca, i nieuniknioną
Wątek ten zerwie, przeznaczenia szponą,
Nikt nie odgadnie, niech się nie zacieka,
Wnosząc ze wczora, co go jutro czeka!

VI.

Lecz najokropniéj z izb tych wyglądała
Siódma z kolei, bo się rozpętała
W niéj najstraszliwiéj, z dramatu całego,
Rozpaczna wściekłość dnia tego krwawego.
Tam to Król Adolf po szermierce długiéj,
Siedm pomordował sióstr, jedną po drugiéj.
W niéj to szkielety czarownic gromadnie,
Jak poginęły, leżały bezładnie.
Jedna na miéjscu padła, ani drgnęła;
Druga walczyła widno, nim runęła.
Trzecia zaciska jeszcze sztylet w dłoni,
Niby zagraża komuś, czy się broni.

Ta na piszczelach klęcząc bezcielesnych,
W kornéj postawie, w cierpieniach boleśnych,
O litość błaga zda się; tamta skronią
Oparta o próg, jakby przed pogonią
Uciekającą, śmierć przy drzwiach dognała,
I najokrutniéj tam zamordowała.
Harold spójrzawszy na trupy te chwilę,
Uobecniając sobie Metelillę,
Parsknął w głos śmiechem:
— Wielcem — krzyknął, rady,
Że was kobiéty, za wasze szkarady,
Wiotkie istoty, jak powietrze zmienne,
Lekkie jak ranków lotne mgły wiosenne,
Szkarady! mówię, jakim nikt nie sprosta,
Pomsty straszliwéj tak dosięgła chłosta!
Mnichy dowodzą, że za pośrednictwem
Niewiasty, djabła świat stał się dziedzictwem.
Wymień mi, paziu, mimo twéj miłości
Dla wiarołomnych nędznic tych piękności,
Choć jedną, coby strzegąc serca dzielnie,
Wciąż przechowywała je, nieskazitelnie.

VII.

Paź się uśmiechnął, westchnął jednocześnie,
I ocierając łzę, co mu boleśnie

Spadła na licę, rzekł:
— Nie mam ochoty,
Anibym zdołał, tak święte przymioty
Określić godnie; chyba pieśń ma dźwięknie
Ostatnim jękiem, zanim serce pęknie.
Bo wedle Skaldów, gdy Bard dogorywa,
Arfa Północna najsilniéj porywa.
Tak! mógłbym wskazać ci dziewicy serce,
Która kochając, w ciągłéj poniewierce,
Nie dbała o trud, głód, niebezpieczeństwa,
I o śmierć samą, na chwałę panieństwa!
Lecz jak dyjament, świetna, nieskażona,
Chociaż nie była nigdy oceniona,
Bo jéj uczucie nawet płomieniste,
Jéj tylko jedno znało serce czyste,
Jako cień krocząc wieczorem i rankiem,
Za lodowatym tak dla niéj kochankiem,
Przebyła społem z nim dalekie światy,
Wszystkie nieszczęścia, i wszystkie klimaty.
Cóż w zamian za to pragnęła?... nic a nic!...
Cóż pragnąć mogła, za ten szał bez granic,
Prócz nagrobnego głazu i mogiły,
Co tajemnicę jéj wreszcie wykryły?!
Więc nie urągaj Haroldzie kobiecie!...
Lecz Ejwir było to Północy dziecię.

XVIII.

— Wielce, jak widzę, mój drogi chłopczyno,
Wielceś się zajął tą Duńską dziewczyna,
Rzekł Harold;—wyznam ci wszelako chętnie,
Że można było kochać ją namiętnie.
Ale Ejwira w grobie już podobno.
Gdzież znaleść drugą dziś do niéj podobną?
Jakaż kochanka swemu kochankowi,
Dotrwała-b wiernie, jak ty Haroldowi?...
Lecz już wypocznij paziu ulubiony,
Co raz ciemnieje, a tyś tak znużony.!
Nie trwoż się trupów leżących przy tobie,
I one były tém, czém my w téj dobie.
A gdy dnie nasze będą policzone,
My znów zostaniem tém czém dzisia one.
Kładnij się przy mnie, tu, przy moim boku,
Nie obawiając się strachów widoku.
I spiąc w okropnym tym zamku noc całą,
Przetarli oczy gdy już rozwidniało.

IX.

Ocknięty Harold, gdy oczy otworzył,
Do niepoznania się przez noc przetworzył:
Wzrok miał zmącony, czoło wskazywało
Jakieś zdumienie, i trwogę nie małą.

— Wstań, paziu, chodźmy!
Gdy wyszli z zamczyska,
Zaledwie blady, przemówił doń z bliska:
— Dzikie me czyny upiory zbudziły,
Bo święty spokój grobów naruszyły.
Śniłem téj nocy, żem nagle wzniesiony
Na szczyt krateru Hekli wystrzępiony,
Z wyżyny jego śnieżnéj, niespodzianie
Przeglądał głębin piekielnych otchłanie.
Obok mnie, zewsząd, zasępione spieszą
Dusze pomarłych, niezliczoną rzeszą,
Które szatany w podskokach w około,
Gnały w tę przepaść zaguby wesoło.
Wzrok mi się zaćmił, głowa obłąkała,
Widząc jak djabłów tłuszcza rozszalała,
Skacząc radośnie, wyjąc przeraźliwie,
Na wieczne męki pędziła krzykliwie
Tych potępieńców, którzy kiedyś byli
Jako my ludźmi, gdy na ziemi żyli.

X.

— Poznałem Juttę po jéj obłąkanym
Wzroku, warkoczu wstrętnie roztarganym,
Obok niéj także poznałem Wulfstana,
Jeszcze broczyła krwią ogromna rana.

Widziałbym więcej, gdyby nie śnieżnica,
Którą uragan zasypał mi lica.
Słyszałem niby tentent kopyt konia,
Czwałującego pod jeźdźcem przez błonia,
I trzech rycerzy, rumaka karego
Przywiodło całkiem okulbaczonego.
Oczy ich, iskry z pod hełmów sypały,
Pierwszy rzekł:
— Witaj Haroldzie zuchwały!
Drugi rzekł:
— Brawo! Witykinda dziécię,
Nieustraszony Harold, nasz! widzicie?
Trzeci mi kazał w imię Zernebocka,
Dosiąść bieguna, i tak rzekł z wysoka:
— Nam-eś to winien twą dzikość zaciekłą;
Wazalu piekła, czyń coć każe piekło!
Czart prawdę mówił; dusza ma powoli
Słuchając głosu tego, mimowoli
Wpływowi jego coraz ulegała,
Bo go, zdawało się jéj, poznawała.
Jako przeczuwa zbrodzień dźwięki spiża,
Zwiastującego mu, że się przybliża
Chwila gdy rzuci więzienną ciemnicę,
Zkąd go powiodą wprost na szubienicę.
Czułem, nie oparłbym się mu, daremnie!
Dłoń ma imała grzywę już nikczemnie,

Miałem wsiąść na koń, gdy ku mnie przypadło
Owo tajemne pielgrzyma widziadło.
Czarci pierzchnęli, wyjąc jako burza
Przelotna, gdy się widnokrąg rozchmurza.

XI.

— W tył odrzucony wichrem kaptur silnie,
Odsłonił twarz mi którą krył tak pilnie.
Był to mój ojciec! on to, jak i teraz,
Gromiąc, powściągał szaleństwa me nieraz.
Witykind, skazan za swe i me winy,
W ciągłém tułactwie nie wytchnąć godziny,
Pokąd nawrócon k'niebu z całéj duszy,
Syn nie wyzwoli ojca z téj katuszy.
Niecnieby było, drogie me pachole,
Aby cień starca, na tym łez padole,
Błąkał się dłużéj; zmiękczę moje serce,
Odłogujące w takiéj poniewierce.
Niechaj przebacza, daje się przebłagać,
A ty mi, paziu mój, będziesz pomagać.
Tak rzekło widmo; i dodało jeszcze,
Że twoja matka mając dary wieszcze,
Jak prorokini, wywróżyła skrycie,
Że nić dni twoich wprzędzie się w me życie.

Potém mi widmo. przenośnią zawiłą,
Coś o przebraniu jakiémeś prawiło,
Przez Emengardę sztucznie wymyśloném,
Dla najbystrzéjszych ócz nie przeniknioném,
Które połączy nasze przeznaczenia.
Lecz nie pojąłem nic słów tych znaczenia.
Gdy mówił, jednak zagadka ta cała,
Jaśniéjszą jakoś mi się wydawała.
Teraz tak wszystko znów mgli się przedemną,
Że nie rozwiąże tę enigmę ciemną. —
Harold chcąc otrzeć potem zlane lice,
Postrzegł że w zamku zgubił rękawicę.

XII.

Gunnar słuchając snu tego dziwnego,
Drżał jak liść, zbladły mu policzki jego.
Lecz na ostatnie słowa, wątłe dziécię
Poczerwieniało jak róża w rozkwicie.
Rad że przed panem swym niepostrzeżenie,
Ukryje duszy gwałtowne wzruszenie,
Zawrócił nazad z twarzą rozognioną,
By rękawicę odszukać straconą.
Lecz wkrótce, na krzyk jego przerażony,
Poleciał Harold k'niemu jak szalony.

XIII.

Cóż spotkał Hrabia w zamku tym straszliwym,
Który wzdłuż przebiegł krokiem niecierpliwym?
Djabła, w postaci Skandynawów boga.
To Odyn! skóra niedźwiedzia, jak toga
Spada mu z barków, jak kita straszliwa,
Lśniący meteor nad głową mu pływa;
Lecz tego ognia rażące promienie,
Gaszą ócz jego błyskawic płomienie.
Niezmiernym wzrostem przenosi o wiele,
Olbrzymi posąg w Upsalskim kościele,
Śnieżysta broda do pasa mu zwisa;
W ręku wycięta z całéj sosny spisa.
Puklerz przysłania go, a głos ponury,
Grżmi jako pomruk niedalekiéj chmury.
Zwraca swą mowę do księcia Duńskiego,
Lecz nie wypuszcza z rąk pazia pięknego.

XIV.

— Jakiż to szał cię opętał tak wstrętny,
Że na twych ojców wiarę nie pamiętny,
I bohaterów chcesz zaprzeć się Boga?
Ze mnie to płyną odwaga i trwoga;
Jam jest rozdawcą chwały i sromoty!

W bojach, skinieniem walę całe roty,
Podżegam zapał walczących rycerzy;
W kniejach, przewodzę na łowach młodzieży.
Wyrzekasz że się i uczty z zakałą,
W której twych przodków tylu zasiadało?
Erick, Thorarin, olbrzymie ich czyny,
Setnych pokoleń nie zapomną syny.
Ja to udzielam te wielkie nagrody,
Dla których żyją wojowników rody,
Zwycięztwo!... zemstę!... ma to dłoń ich darzy
Ową pociechą, dla której odważy
Się na śmierć chętnie, każdy rycerz dzielny.
W mym to pałacu, napój nieśmiertelny,
Podają w czaszkach zabitego wroga.
Tyś mój, Haroldzie! uczcij twego Boga!
Ta rękawica w zakład mi oddana,
Hołdu wazala dla swojego pana.

XV.

— Szatanie! Harold odpowiedział dumnie;
Precz ztąd uciekaj! radzę ci rozumnie,
Bo kim bądź jesteś, wyzywam cię śmiało,
Poskramiam w sobie gniew na tak zuchwała
Pychę twą; cóż to? o! niemyśl daremnie!
Nie wydrzesz nigdy mi, chyba drwisz ze mnie!
Ni rękawicy, ni tarczy; co tobie?.

Oddaj mi pazia, i wynoś się sobie!
— Ejwira moja! jam to dla pamięci,
Jeszcze w pieluchach, stęplem méj pieczęci,
Naznaczył czoło jéj, rzekło widziadło.
Mniemasz że wszystko to marnie przepadło;
Że ksiądz kropidłem, przybranie imienia,
Płeć, Boże prawo niweczy lub zmienia.
Harold osłupiał na taką przemowę,
Twarz wykrzywiły mu kurcze nerwowe,
Zgrzytnął zębami, bo duch nowéj wiary,
Nie przemógł jeszcze w nim porywy staréj.
— Wyzywam-ć! krzyknął, w imię wznioślejszego
Pojęcia Bóstwa, w imię godniéjszego
Nieba cnót wszelkich, świętszego wyznania,
Które szczytniéjsze prawdy mi odsłania,
Objawionego teraz mi! i długą,
Straszliwą walkę, zwiódł z djabłem maczugą.

XVI.

Niebo w krąg dymu powlekły całuny,
Ziemia się trzęsła, lecz ani pioruny,
Ni ognie piekieł, ni tak podrzucany
Zamek w podstawach, aż drżały w nim ściany,
Wszystko to, wcale Lorda nie trwożyło,
Party zajadle potężniejszą siłą.

Czart pierzchnął, z burzą uleciał precz społem.
A mąż Północy, z podniesioném czołem,
Z otchłani zgrozy téj, omdlałe dziecię
Uniósł co rychléj, by wrócić mu życie.

XVII.

Złożył Ejwirę na trawniku mszystym,
Po nad mruczącym ruczajem srébrzystym.
Jakieś uczucia dziwne w nim się rodzą,
Mącą mu duszę, prosto w serce godzą,
Podczas gdy klęcząc, pochylon nieśmiało,
Skrapiał bezwładne, niegdyś pazia, ciało,
Pokąd rumieńca coraz żywsze kwiaty,
Nie przyoblekły lica jéj w szkarłaty.
— Jakżem w ślepocie, rzekł, ducha i oczu,
Mógł ją nie poznać po takim warkoczu,
Jakże przebranie giermka wyszarzałe
Mogło to łono ukryć jak śnieg białe?
Głupi! latałem gdzieś po śmierć i mordy,
Brnąc przez pustynie, morza, dzikie hordy,
Mając przy sobie wszędy, tuż pod bokiem,
Takiego pazia, z taką twarzą, okiem!

XVIII.

Potém przéjrzawszy się w zwierciadle wody,
Przeraża nieład go czupryny, brody,

Tak był podobny do jakiéjś szkarady.
Obmył z krwi boju ostatniego ślady,
I ten wojownik groźny, bez litości,
Poczuł nakoniec ukłucia miłości.
Cóż Ejwir na to?... wróciła do życia,
Zaledwie jednak śmié spojrzéć z ukrycia.
Miło zapewne jéj śledzić w milczeniu,
Pierwsze objawy serca, po ocknieniu
Niezwyczajnego, jak jéj oblubieńca,
Świadczą wyraźnie to barwy rumieńca.

XIX.

Napróżno Harold szuka słów wymowy,
Jakby określić ten stan tak dlań nowy,
Ust jego dotąd straszliwa wymowa,
Rzucała tylko klątw i groźby słowa.
Podniósł z mchów drżącą Ejwirę, i oto
Tak rzecz zagaił z rycerską prostotą:
— Ponieważ długo tak, przez życia ciernie,
Kroczyłaś za mną ślad w ślad, zawsze wiernie;
Słuszna, byś odtąd dalszą drogą jego,
Wiodła za sobą Harolda dzikiego.
Jutro świętego Cuthberta, niech przeto
Ujrzy, jak szczytną uniesion podnietą,
Chrześcjanin, kornie u jego ołtarzy,
Z Chrześcjanką, ślubem świętym się skojarzy.

A świat rozgłosi, że w jednym dniu chrzczony,
Syn Witykinda był i ożeniony.
Dziewice! oby wasi kochankowie,
Wam oświadczali się w tak szczérém słowie!

EPILOG.

Czegoż się Nudo jeszcze zasmucasz?
Oczy zaspane, usta otwarte.
Wszakże kart moich już nie przerzucasz
Ziewając, jakby z ołowiu kartę.
Nie masz potrzeby tom ten na stronę,
Albo do jutra odkładać gniewnie,
Bo ja twe żądze nie odgadnione,
Nie zadowolę, o! niczém pewnie!
Ciesz się, skończyłem; nie myślę wcale,
Spleenie mój, gdy cię wszystko tak nuży,
Z Bartholiniego wziętą zuchwale,
Jakąś legendą podnudzać dłużéj.
Przebacz! wszak za to, co się nie zdarza,
Masz aż sześć pieśni, bez komentarza.

ZARĘCZYNY TRIERMAINA

CZYLI

DOLINA ŚWIĘTO-JAŃSKA

POWIEŚĆ KOCHANKA.

Poemat

WALTER-SCOTTA

W TRZECH PIEŚNIACH.

Ja kocham Elfów Królowę,
Więc mi Panie bądźcie zdrowe.
Żadna z was o! nie! daremnie!
Małżonka nie znajdzie we mnie.
Żoną moją Wieszczka będzie,
Więc ją pójdę szukać wszędzie.

Ballada (Sir Topasa).

PRZEDMOWA.

Trzy fragmenty, naśladujące spółczesnych poetów, ogłoszono w *Edinburgh Annual Register*, w roku 1809. Nader to jasne, że w ustępach tych, nie przedrzeźniających wcale znamienitym owym autorom, podano tylko wypracowane, acz wielce niedołężne próbki, stylów, właściwych tym pisarzom. Próbki te, obudziwszy zajęcie, jakiego autor ich nie spodziéwał się nigdy, skłoniły go do wykończenia jednéj z nich ostatecznie, którą wydał w oddzielnéj całości.

Nie tu miéjsce roztrząsać dzieła wielkiego mistrza, którego za wzór obrał on sobie; wybór sam naśladowcy wymownie przekonywa, że dzieli on pochwały wszystkich. Lecz natura przedmiotu, zniewala go do wynurzenia kilku uwag, odnoszących się do tak zwanéj, *Poezji Romantycznéj*, która obecnie tyle nabyła rozgłosu, pod szczęśliwą wróżbą, i niezrównaném dotąd powodzeniem przewodniéj jéj gwiazdy.

Pierwiastkowym celem poezji były: religja, lub historja, albo obie zarazem, jak często się zdarza. Poemata Homera, dzisiéjszemu czytelnikowi, przypominają wielce romanse; lecz bardzo być może, że w oczach spółczesnych mu, główną zaletą ich była, domniemana prawda historyczna. Można w ogóle to samo powiedzieć, o poezji wieków pierwotnych. Cuda, i przeróżne dziwy, które poeta wplatał w swoje pieśnie, nie przechodziły liczbą, ani nadzwyczajnością, fikcji historycznych owéj epoki; i w istocie, różnicę między poezją i prozą, co do prawd historycznych, oznaczono dopiéro w późniéjszéj dobie. Poeci, pod mianém bardów, skaldów, trubadurów, minnesigerów, minstreli, i t. d. są pierwotnymi historykami wszystkich ludów. Celem ich było opiewać widziane wypadki, lub podania skrżętnie zebrane, a używali rymu jedynie dla nadania im większéj powagi, i by łatwiéj uwięzły w pamięci. Lecz ponieważ historyk-poeta barwi swe przedmioty, ścisła rzeczywistość ich przeto, nadwątla się niewątpliwie. Uwydatnia on chętniéj szczegóły, harmonizujące więcéj z jego wyobraźnią, a przeświadczon o obojętności czytelnika, co do prawdy nagiéj poematu, dzieje pod jego piórem, przetwarzają się w romans stopniowo.

Taki początek owych epopei, uważanych powszechnie za wzory; i dziwna! że nowocześni, nazwali szczytem doskonałości poezji powieściowéj, istotne okoliczności, które dawni autorowie wprowadzali jeno dla tego, że sztuka nakazywała im być je-

dnocześnie historykami i poetami. Nie można rzec naprzykład, że Homer uznał oblężenie Troi za jedyny przedmiot do poematu; chciał on opisać pierwotne dzieje swego kraju, a przedmiot obrany, acz nie zbyt urozmaicony, i niekoniecznie właściwy do poezji, wiążąc się wszelako z podaniami tradycjonalnémi i genealogicznémi, zajmywał niewypowiedzianie spółczesnych, i na tych wstawkach to właśnie, wycisnął on piętno genjuszu, któremu jeśli dorównał kto kiedy, nie prześcignął nikt najpewniéj. W epoce dopiéro, porównawczo świéżej, prawdziwość i cel poematów jego zaczęto roztrząsać. Δοκεῖ πρῶτος ὁ Ἀναξαγόρας (καθα φησι Φαβορῖνος ἐν παντοδαπῃ Ιστορια) την Ομήρου ποίησιν αποφήνασθαι εἶναι περὶ ἀρετῆς καὶ δικαιοσύνης [1]). Lecz jakie bądź teorje wynajdywali krytycy systematycznie, dzieło jego historycznem jest, nie allegorycznem. Ἐναυτίλλετο μετα τοῦ Μεντεῶ, καὶ ὅπου ἑκασοτε ἀφίκοιτο, πάντα τά επιχώρια διερωτᾶτο, καὶ ἱστορέων επυνθάνετο εἰκὸς δὲ μὲν ἦν καὶ μνημόσυνα πάντων γραφεσθαι [2]).

[1]) *Diogenes Laertins.* Ks. 1, k. 8. *Anaxogaras*, zda się piérwszy, (jak mówi *Favorinus*, w *Historji swéj Powszechnéj*), mniemał, że Poezje Homera cechuje prawda absolutna.

[2]) *Homeri Vita*, *Herod.* (Henr. Steph.) 1570, k. 356. Podróżował on z *Menteem*, i gdziebądź zatrzymywał się, zbiérał wiadomości o kraju wybadując uczonych, nie dziw przeto że opisał wszystkie pomniki.

Można się więc było spodziewać, że znawcy miasto zalecania przedmiotu podobnego Homerycznemu, skłaniać raczéj będą poetów późniéjszych do poszukiwań, lub wymyślań, zresztą, kanw przydatniéjszych do haftów poetycznych, któreby równoważyły, mniéj więcéj, niższość ich talentów; lecz prawie wszyscy, mówiąc o epopei, radzili przeciwnie. Gdzie zawiodły te rady, los mnogich naśladowców Homera, dostatecznie nas naucza. *Ultimum suplicium*, krytyka wychłostała śmielca, co obrał przedmiot, który go pozbawiając wszelkiéj oryginalności, nastręczał go, w dodatku, jeśli nie na współzawodnictwo rzeczywiste, na niebezpieczne. przynajmniéj, porównanie z olbrzymem, na jego własnym gruncie. czego właśnie należało mu najbardziéj unikać. Sławna recepta na poemat epiczny. ogłoszona w *Opiekunie*, pierwsza zdrowo wskazuje jak wziąść się do podobnego utworu; i w istocie. rozważając kwestję w rzeczywistém jéj świetle, przekonamy się, że zamknąć poezję opowiadawczą w ścisłych jeno granicach wielkich wypadków dziejowych, znaczyłoby to odjąć jéj właściwe zajęcie, które wszakże może tak obudzać.

Poeci współcześni przeto, mogą szukać przedmiotów mniéj skomplikowanych. a bardziéj pociągających w stosunku do ich prostoty. Dwie, lub trzy postacie, szczęśliwie ugrupowane, przydadzą się lepiéj artyście, niż mnogi tłum, jakiebądź powody by go skupiły. Z tegoż samego względu, widownia wypadków przedstawionych jasno, dostępnych wszyst-

kim, nadaje się łacniéj do poezji, acz dotycze jeno przeznaczeń jednéj, lub dwóch istot; niż owe boje polityczne, stanowiące o całych państw losach. Piérwszą odczują wszyscy, a jeśli jeszcze zarysowana silnie, rzadko nie pociągnie ogół. Druga, szczytniéjsza może, lecz że odleglejsza, nie wyraźnie określona, mniéj zatém zrozumiana, nie może tak wzruszać, co głównym celem poezji być winno. Uogólnianie, osłabia zawsze wrażenie. W obrazie bitwy naprzykład, zajmuje nas więcéj los pojedyńczego żołnierza, niż wypadek akcji ogólnej; szczęście dwojga kochanków, zdobywających sobie spokój nie zmącony niczém, po bolesnych próbach rozrzewnia bardziéj, niż powodzenie całego ludu. A czemu dzieje się tak, niewątpliwie, to inne pytanie, czysto już metafizyczne, niech je jeśli zdoła, filozof rozwiąże. Lecz zanim zwalim fakt ten na ohydne samolubstwo, dobrzeby sobie przypomnieć, że pokąd ludzkość nie sięgnie po za horyzont ograniczony jéj pojęć; pokąd skłonności jéj i czyny, nie ku powszechnemu dobru zmierzać będą, lecz jedynie osobistemu, i tych co najbliżéj ją otaczają, w szrankach zakreślonych każdemu, obraz życia jednostek, zaciekawi zawsze najsilniéj wszystkich. A może moglibyśmy jeszcze dodać, że ów przedmiot tak drobny, dogodniéjszym jest zarazem dla poety, bo przykład jego łatwiéj naśladować.

Wedle pojęcia przeto autora, poezja romantyczna tak się wyróżnia od epopei: piérwsza, opowiada coś idealnego, stwarza, snując pasmo wypadków dowol-

ne, zaczynając i kończąc, gdy uzna tego potrzebę, przeplatając utwór niekiedy cudami, nie skrępowana prawidłową techniką epopei, posłuszna jeno prawu, które jéj zdrowy zmysł, smak i moralność narzucają, z czego żadnéj poezji, bez wyjątku, wyłamać się nie wolno. Data jéj może sięgać czasów odległych, lub wziętą być z wieku obecnego: może opowiadać przygody książęcia, lub wieśniaka. Słowem, autor panem jest wszechwładnym, jakich sam zechce dzielnic, jak zarazem, i ich mieszkańców. Wszystko mu dozwolono, prócz ociężałości i nudów, co przy tak bezwzględnéj swobodzie, byłoby nie darowaném. Takie są rysy wybitne tego rodzaju utworów, i za nim podzielim oburzenie pedantów, przeciw złemu smakowi, który wedle nich, zachęca do nich, i je podtrzymuje, słuszna zbadać przyczyny powodujące te ich krzyki. Jeśli żal nam oblężeń, bitw, wielkich ruchów bojowych, przyznajmy, że wojny i bohatérowie dzisiejsi tak szczegółowo są znani, że i myślić nawet o żadnych fikcjach nie można; jeśli znowu gniew ich smaga nieudolność obecnych poetów, składajmy im hołd raczéj w takim razie, za skromność, że ograniczają się jedynie na przedmiotach, które, acz ladajako odrobione, pociągające przynajmniéj wdziękiem nowości, zabezpieczają autorów od drzémiączki ich czytelników, i innych niezadowoleń dotkliwszych jeszcze.

WSTĘP.

Chodź moja Łucjo! ranek tak świeży,
Przejdźmy strumyczek co gajem bieży;
Zanim się słońce wysoko wzniesie,
Skryjem się w topol tych gęstym lesie.
Tam rosa jeszcze odwilża zioła,
Choć już trawniki poschły do koła.
Po głazach, w rzeczce leżących rzędem,
Jak po grobelce przelecim pędem.
Patrz! jak te fale uciekające,
Wkrąg te wysepki obiegające,
Na próżno walcząc z kamieniem wstrętnym,
Szemrzą ze złości szmerem niechętnym.
Więc, gdy je z miejsca ruszyć nie mogą,
Przemkniem na drugi brzeg suchą nogą.

Czegoż się wahasz? czegoż się boisz?
Czegoż, w prąd patrząc, jak wryta stoisz?
Stopka twa, jako Tytanji nóżka,

Nie zamoczyła b nawet paluszka,
Ani jedwabnych, lśniących trzewiczków,
Spiętych klamrami, nakształt guziczków,
Gdy po tych głazach muskając w biegu,
Jużby na tamtym stanęła brzegu.
Albo się powierz przyjacielowi,
Jak jego sercu, tak ramieniowi,
Które, odlane jakby ze stali,
Dźwignie i dęba, gdy się powali.
Więc nie nadwątli mu pewnie siły,
Ciężar tak wiotki i taki miły.
Brawo! a widzisz! no! spójrz za siebie,
Rada, że w takiéj walnéj potrzebie,
Twe bohatérskie, Lucynko, męztwo,
Złamało takie niebezpieczeństwo.

Wkrótce już w ową ustroń wkroczymy,
Którą oboje dawno lubimy,
W ustroń, zamkniętą zewsząd skałami,
I ocienioną topól liściami,
Gdzie szmér najlżéjszy nigdy nie spłoszy,
Wrzących wylewów serca rozkoszy;
Gdzie słyszysz tylko brzęki strumyka,
Albo przelotny podmuch wietrzyka.
Chodź! siadaj! oto, patrz! twój omszony
W morzu zieleni, głaz ulubiony.
I gdzież swobodniéj, z swą ukochaną,

Jak za tych kłąbów ukryć się ścianą?
Przez te rozsiadłe drzewa szeroko,
Nie przejrzy nigdy złośnika oko,
By mógł zazdroszcząc, potém rozgadać
Że dumna Łucja chodzi tu siadać.
Łucja, dziedziczka rozległych włości,
Nie słuchająca Lordów miłości,
Aby schowana za bujnym lasem,
Ze swym Arturem poszeptać czasem.

Ty się rumienisz, smutek cię tłoczy;
Czemuż odemnie odwracasz oczy?
Jakąż się dręczysz troską tajemną,
Którą się nie chcesz podzielić ze mną?
Oko kochanka głębiéj przenika,
Niż wzrok jakiego chcesz śmiertelnika;
I z wnętrza duszy na jaw dobywa,
Co bądź kochanka przed niém ukrywa.
W rumieńcu twoim, plotą się społem
Jakiś żal, jakieś coś; z czémś wesołém.
Duma, to tak cię boleścią mroczy,
Jak miłość znowu roziskrza oczy.
Wdzięcznaś mi że cię kocham nad życie,
Lecz wstyd ci, żeś mi wzajemna skrycie,
I by nie zdradzić twą tajemnicę,
Chłodząc twarz niby, odwracasz lice.
Słuchaj mnie Łucjo, słuchaj uważnie,

Miłość niekiedy mówi poważnie.
Nie raz już oko me niespokojne,
Dostrzegło w tobie tajemną wojnę.
Rodowéj pychy to oburzenia,
Obawiającéj się poniżenia!
Nie jednokrotnie w komnatach lśniących,
W wytwornéın gronie biesiadujących,
Gwiazda serc wszystkich, ma przyjaciółka,
Obiegłszy wzrokiem taneczne kółka,
Darzy Artura spójrzeniem krótkiém,
Z taką skrą w oku i takim smutkiem.
Za skarby świata wiem byś nie dała
Tego, coś wdziękiem tak opętała,
Nie zamieniła mnie, i téj ławki,
Jak niepotrzebne jakie zabawki,
Nawet za Króla w złotéj koronie,
Coby posadził cię na swym tronie.
Pocóż te żale i te westchnienia,
Że świetniéjszego nie mam imienia?
Wielkich obszarów, herbowych znaków.
Galonowéj służby orszaków,
Gdy mi prócz serca, dano w zamianie,
Miecz, pieśń i lutnię na zawołanie?

Mój miecz!... niech sobie w spokoju drzémie.
Lecz gdy wymieni rycerz me imie,
Nie trwoż się Łucjo! przyjdź bez obawy,

Przyjdź! nie obrucze mię srom niesławy.
Serce me!... któryż z tych wielkich panów,
Wiodących rody swe od Hetmanów,
Poświęci wszystko w szczytnym zapale,
Jak ja, na oślep! miłości, chwale?
Połysk brylantów twych ich zdumiewa,
Mnie tylko oko twoje olśniewa.
Chwalą w twych włosach djadem złoty,
Ja złote twego warkocza sploty.
Mówią o starych twych protoplastach,
O twoich włościach, i twoich miastach,
Gdy ja o tobie marząc, w rozpaczy,
Ani domyślam się co to znaczy.
A jednak, choćby Bóg tak był zdarzył,
Żeby i mnie los jak ich obdarzył,
Zawsze gardziłbym niémi najszczérzéj,
Widząc jak wszyscy, w najlepszéj wierze,
Wzięli-b, za serce twoje, twe złoto,
Jak za twe wdzięki, posag z ochotą.

Lutnia ma!... o! gdy nastroję lutnię,
Struna jéj echem oddźwięcza smutnie,
Jak Kolumbijski ptaszek maleńki, [1]
Skąd bądź usłyszy tęskne piosenki.
Ale jéj nigdy jęczące tony,
Nie opiewały zdrój poświęcony,
Ani hymnami Pogranicznémi,

Święciły hołdy wodzom téj ziemi.
Pieśń jéj nie wskrzesza u bitnych klanów.
Owych feudalnych sławnych Koganów,
Więc nie przyklasnął jéj z uniesieniem
Żaden, podrażnion ojców wspomnieniem.
Nie słyszał nigdy pewnie nikt o niéj,
Ni w Kaledonji, ni w Albionie.
Ani nagroda co rozwesela
Nad wszystkie inne, serce minstrela,
Nigdy się w darze jéj nie dostała,
Z pięknych usteczek, szczera pochwała.
Dźwięków jéj tylko, ta ustroń głucha,
Jeno ten strumyk, i Łucja słucha.

Lecz jeśli każesz, struny jéj drżące,
Wnet ci wysypią pieśni tysiące,
O błędnych wojach, ich zalecankach,
I ich rycerskich, sławnych kochankach.
Lub ci powiedzą jakiémi czary,
Opętał niegdyś czarownik stary
Pewną dziewicę, trochę za hardą,
Dawszy nauczkę jéj nieco twardą.
Dla złagodzenia słów téj powieści,
Pieśń ci harmonją ucho rozpieści.
Łucja jak Collins...... imienia tego (2),
Boję się zawsze, jak wróżby złego,
Bo on za rymy swe i zawody,

Choć się doczekał wreszcie nagrody,
Lecz ona, miasto wieńczyć mu skronie,
Zdobiła jego pomnik po skonie.
Łucja, jak Collins, lubi czasami
W krainy cudów wzlatać myślami;
Jak Collins, gdy ją coś, czémś podrażni,
Tonąc w otchłaniach państw wyobraźni,
Przeglądać zamki złotem błyszczące,
Lub Elizéjskich rzék fale lśniące.
Taka to piosnka Łucję przynęca,
Więc i poeta rym jéj poświęca.

ZARĘCZYNY TRIERMAINA.

PIEŚŃ PIERWSZA.

I.

Gdzież takie dziewcze, coby godne było,
Zostać Barona z Triermainu żoną? (1)
Któraż z nich jest tak tkliwą, stałą, miłą,
Skromną, wesołą, cichą, nieskażoną,
Przystępną, szczodrą, rodziny znaczącéj?
Tkliwą, jak pieśni minstrela miłosne,
Stałą, jak gołąb za parą tęskniący.
Miłą, jak promyk słoneczny na wiosnę,
Skromną, jak pacierz rozbolałéj duszy,
Lub nie dzielonych uczuć, żal niewieści;
Wesołą, jak liść, gdy go podmuch wzruszy;
Cichą, jak wietrzyk co po nim szeleści;

A nieskażoną, jako zdrój z pod skały,
Którego nie tknął nawet brzask zarania;
Przystępną, jako Monarcha wspaniały,
Cały dzień piérwszy swego panowania;
Szczodrą, jak dészczyk majowy; z imienia
Plantagenetów sięgając epoki.
Ta tylko może zostać, bez wątpienia,
Żoną mu, choć ród jego tak wysoki.

II.

Sir Roland de Vaux, leży, zrzucił zbroję,
Krew miał wzburzoną, oddech utrudzony:
Z Kaledonami zwodził krwawe boje,
Kraj ich plądrując strasznémi zagony.
Hełm, puklerz i miecz jego zgruchotany,
Świadczyły jasno o walkach zwodzonych:
Wszyscy wokoło milczą niby ściany,
Okrom minstreli kilku ulubionych,
Których znajome mu, miłe piosenki,
Jak zapach rosy na wzgórzach uroczy,
Monotonnémi, posępnémi dźwięki,
Sen sprowadzały mu wnet klejąc oczy.

III.

Był to prześliczny jesienny poranek;
Świt złocił tuman mgieł wysoko wzbity,

Który jak turban z krepy, albo wianek,
Obwijał w dali skał Skiddawu szczyty,
Pomalowanych okien szereg mnogi,
Oświecał izbę połyskiem przyćmionym,
Gdy nagle Baron zerwał się na nogi,
Wołając dworzan głosem przytłumionym:

IV.

Słuchajcie, bardy! który to z was w lutnię
Brząkał, przed chwilą, tak rzewnémi tony,
Że rzekłbyś, tęskny anioł stękał smutnie,
Nad konającym świętym pochylony?
A wy, wazale, mówcie co się stało,
Z ową dziewicą z płomienistém okiem,
Nad którą orle pióro powiewało,
Gdy przez komnatę szła powolnym krokiem?

V.

Ryszard de Bretrille, — był to bard naczelny
Skaldów Barona, odrzekł mu z poszaną:
— W twym od-północy zamku, wodzu dzielny,
Nic nie widziano, i nic nie słyszano.
Zasnąłem lekko, wnet ukołysany
Brzękiem bardonu, jak szmerem strumienia,
A jeśli-b nawet zmącił, niespodziany
Dźwięk, uroczystą tak chwilę milczenia,

Baczne me ucho w lot by go schwytało,
Aczby tak nikły był, jako westchnienie
Skromnéj dziewicy, któréjby się zdało,
Że ją kochanek zszedł niepostrzeżenie.
Filip de Fasthwaite, wzrostu olbrzymiego,
By coś rzec także, języka nie skąpił:
— Od wczora, prawił, strzegę progu tego,
Lecz go nikt zdradnie, ręczę, nie przestąpił.
Słyszałbym krok ten, choćby dotknął ziemi
Miękko, jak wątły liść strącony z drzewa,
Który zwarzony mrozami silnémi,
Spada na trawki, a wiatr go nie zwiewa.

VI.

Baron przywołał pazia:
— Chodź Henryku!
Pamiętasz dzień ów, kiedym cię z zamczyska
Gorejącego, z pośród rzezi, krzyku,
Uniósł na barkach, z paszcz pogorzeliska?
Płonące wieże, odblaskiem purpury,
Gdy najmężniéjsi z przestrachu trętwieli,
Zaczerwieniły Nine-Stanu góry,
Dusząc dymami, co się w nich zamknęli.
Wierny mój sługo! weź mego rumaka,
Wybierz, powtarzam ci, najdzielniéjszego,

I spiesz do wieży Lyulpha, lotem ptaka,
Pozdrowić mędrca w imię pana twego.
Wiedzie on ród swój od Druidów dawnych,
Co niegdyś, w czasach zamierzchłych wiekami,
Czyny Arturów, Dunmailów sławnych, (2)
Upamiętnili swémi rapsodami.
Wiedzion praojców nauką wysoką,
Może on pisma runiczne wyczytać,
Ryte na skałach Helollynu głęboko,
O które innych nie ma co i pytać.
Zna okrom tego, hieroglify ciemne,
I snami, biegiem gwiazd, przepowié snadnie,
Jak twéj przyszłości zagadki tajemne,
Tak i z państw które dźwignie się, lub padnie.
Lyulph nam obwieści, czy to dziéwcze cudne,
Jest córą ziemi, czy z niebios zjawiskiem,
Które snu tylko marzenia ułudne,
Rzucając w oczy mi z urągowiskiem,
Odlały z tęczy lśniących barw, i z blasku
Konającego słońca na zachodzie,
By mi w wcielonym anioła obrazku,
Pokazać piękność w anielskiéj urodzie.
Bo, na Chrystusa przysięgam! jeżeli
Cacko to śliczne w żyjących jest rzędzie,
Inna kobiéta, choćbyście się śmieli,
Żoną Barona z Triermain nie będzie!

VII.

Wierny paź żwawo rumaka dosiada,
Pędzi na oślep, i nie szczędząc konia,
Wkrótce na łąki Kirkaswaldu wpada,
I na Irthinga urodzajne błonia.
Daremnie Eden pęd jego szalony,
Chciał wstrzymać tamą prądu wezbranego,
Minął Stół-Krągły Penrithu, wsławiony ([3]).
Strasznémi harcy rycerstwa dawnego.
Obiegł Majburgha kamienne zapory,
Czarem druidów usłane szeregiem,
Okrążył spiesznie Exmontu góry,
Aż nad jeziora Ulfo stanął brzegiem ([4]).

VIII.

I pomknął znowu drożyną, dzielącą
Jezioro od gór, a wtem, po nad fale,
Dostrzegł druidy głowę bielejącą;
Na obalonéj siedząc dumał skale.
Mech był poduszką mu, a osiczyna
Baldakim listny nad nim roztoczyła.
Paź go pozdrowił, i śmiała chłopczyna,
Wręcz obwieściła mu po co przybyła.
Starzec myślami utonął głęboko,
W zalewających go wspomnieniach mgliście!

A w tém się ocknął, rozpogodził oko,
I tak paziowi odrzekł uroczyście:

IX.

— Dziewica owa, jest jak my, ziemianką;
I może rycerz którego olśniła,
Nazwać małżonką ją, albo kochanką,
Choć pięćset lat już jak się urodziła.
Ale gdzież taki, coby się odważył
Na Święto-Jańskiéj doliny przygody?
Słuchaj mnie chłopcze, i trza byś rozważył
To co ci powiém, dobrze, acześ młody;
Lecz się legendzie nie dziw osłupiały,
Gdy wskaże-ć gruzy wieków zbyt odległych.
Tak!.... od Merlina czasów przechowały
Podania o niéj, klechdy bardów biegłych.

X.

LEGENDA LYULPHA

Król Artur, Carlisle opuścił wesoły,
Wnet po Zielonych-Świątkach, i ochotnie
Jak rycerz błędny, przez góry i doły
Złocone słońcem, przelatywał lotnie.
Po nad samotną ścieżą, w mgłach, wysoko,
Szczyt poszczérbiony stérczał Glaramary (5).

W sztorcu tym ściętym, rozdarta széroko,
Czerniała przepaść bezdennéj pieczary.
Dzienny blask czasem w otwór ten wnikając,
Rozjaśniał blado mrok cieni odwieczny.
Lecz nigdy, żaden, wnątrz jéj oświetlając,
Nie tknął jeziora, promyczek słoneczny;
Jeziora, w taką głąb jéj zaklęsłego,
Przysłoniętego tak straszliwą nocą,
Że odstrzelone zwierciadłem wód jego,
Nawet w południe gwiazdy w niém migocą.
Dzielny monarcha kroczył pod tą górą,
Przedstawiającą widok tak wspaniały.
Skały na skałach, piętrząc się ponuro,
Jedne z za drugich zda się wybiegały.
A z ich rozpadlin wylane strumienie,
W podskokach biegły do rzéczki w dolinie,
Szumiącéj spodem tak niepostrzeżenie,
Że nikt nie dojrzałby którędy płynie.
I Mocarz dumał, wzruszon niewymownie,
Jak w tém pustkowiu okolicę całą,
Przed wieki, Fatum, na straszną widownię,
Straszliwszych jeszcze widowisk, obrało.

XI.

Król Artur wołał pancerz, dzielne konie,
Opoki, góry, doliny i lasy,

Niż pańskie nudy w koronie na tronie,
I gronostaje, złotogłów, atłasy.
Wolał świst włóczni wroga śmiertelnego,
Na jego twardym puklerzu skruszonéj,
Niż szept pochwały pochlebcy niecnego,
Jedwabném słówkiém w ucho mu cedzonéj.
Wolał szczęk miecza grzmocącego dźwięcznie
W zbroję, w stalowy hełm nieprzyjacieli,
Niż wszystkie hymny, składane tak zręcznie,
Na cześć mu, wszystkich z Regedu minstreli.
Stokrotnie wolał spoczynek w dąbrowie,
Lub nad ruczajem, w ustroniu nieznaném,
Niż w lśniącéj złotém Guenewry alkowie,
Na łożu puchem łabędzim wysłaném.
Więc zostawiwszy żonę, w świat wędrował
Za przygodami, nie wiedząc, że w domu
Lancelot, aby czasu nie marnował,
Przyprawiał rogi panu pokryjomu.

XII.

Nagle noc czarna dolinę zaległa;
I chociaż jeszcze szczyt potężnéj góry,
Co tak wysoko pod niebo wybiegła,
Pławił się w falach zachodniéj purpury,
U spodu potok, i skała po skale,
Nikły koleją w gęstniejącym mroku.

Bohatér przez las włókł się ociężale,
I coraz, coraz, więcéj zwalniał kroku.
Wtém Święto-Jańska dolina ukośnie
Przetnie mu drogę; Mocarz rzucił okiem;
Słońce żegnało ją zda się, żałośnie,
Pojąc się wdzięków jéj cudnym widokiem.
Rad z jego światła, chciał przéjrzeć uroczy,
W okół krajobraz przed nim rozesłany,
I przysłoniwszy rękawicą oczy,
Ściągając cugle, stanął jak wkopany.
Długo wpatrywał się w widnokrąg miły,
Powodzie światła rozlane po stali,
Na jego zbroi tak jaskrawo lśniły,
Że błyszczał jak stos płonący w oddali.

XIII.

Strasznym łańcuchem opok okrążona,
Dolina dziwną ciszą zdumiewała.
Środkiem jéj biegła rzeczułką spieniona,
Nad rzéczka groźna twierdza panowała.
Twierdzę zdobiły powietrzne iglice,
W około po niéj misternie rozsiane,
I gigantyczne, potworne wieżyce,
Jakby Cyklopów ręką budowane.
Rzekłbyś, że niegdyś bryły gmachu tego,
Wzniósł jakiś olbrzym, by się zabezpieczyć

W nich od napaści Nemroda wściekłego,
Zapędy jego, szydząc zeń, niweczyć.
Nad rowem wisiał wielki most zwodzony,
Jakby się bano jakiéjś niespodzianki;
Wrzeciądze, drągi, furta nakształt brony,
Zbrojna zębami, palissady, blanki,
Wszędy zawady wprost nie do przebycia.
Lecz żadna flaga z wież nie powiewała,
Na ich krużgankach nigdzie śladu życia,
Nie widno straży, coby obwieszczała
Że się podkrada ktoś do zamku zdradą;
Ni owych łuków, mieczów, dzid, kołczanów,
Pozawieszanych zwykle pod arkadą,
Gockich, wchodowych bram, u wielkich panów.

XIV

Król Artur trzykroć warownię ponurą
Okrążył zwolna, — nigdzie żywéj duszy.
Napróżno szukał i dołem i górą,
Czy gdzie się postać ludzka nie poruszy.
Krzyk tylko czasem z jakiéjś baszty, sowy
Ockniętéj ze snu, a może z zadumy,
Odbity tęsknem echem skał, dąbrowy,
Zléwał się z rzéki posępnémi szumy.
Zsiadł z konia; rumak puszczony dowolnie,
Gryzł trawki; a on wijącą się ścieżą,

Stromo pod górę drapał się powolnie,
Krocząc ku bramie pod wchodową wieżą.
Stanąwszy pod jéj łukiem ostro ściętym,
Miał już zatrąbić w róg z kości słoniowéj,
By zbudzić śpiącą, jakimś snem zaklętym,
Straż niewidzialną baszty téj grobowéj;
Która, jak mniemał, musi być siedliskiem
Czarnoksiężnika, a może tyrana,
Panującego nad tém uroczyskiem,
Z nieuskromioną dzikością szatana.

XV.

Do ust bohatér róg przytknął dwukrotnie,
I dwakroć ramię mu zwolna opadło.
Ale nie myślcie, aby się sromotnie
Bał spotkać choćby piekielne widziadło!
Na jego zbroi czernił się krzyż święty,
Jeśli-b pogański miecz na niego godził,
Zwiódłby śmiertelny z nim bój wnet zacięty,
Jak nieraz może i straszliwsze zwodził.
Jednak téj ciszy mogilnéj w około,
Tęskne wrażenia na sercu mu legły.
Lecz skoro zagrzmiał róg jego wesoło,
Zwarte podwoje bramy się rozbiegły,
Wrzeciądze spadły z trzaskiem, most zwodzony
Przykrył potężny rów, i Artur śmiało,

Wszedł, Caliburnem owym uzbrojony, (6)
Którym obalał wszystko z taką chwałą.

XVI.

Nagle rażące blaski stu kagańców,
Mroki ponurych murów rozjaśniły,
I Artur ujrzał warowni mieszkańców,
Co go niż światło bardziéj oślepiły.
Bo to nie byli jacyś okrutnicy,
Lub jakichś dzikich postaci poganie,
Ni ciemne duchy, ni czaroksiężnicy,
Którychby piekieł wypchnęły otchłanie.
Lecz te pochodnie wonie roznoszące,
Takich dziéwcząték pochód oświecały,
Że ich uroki, wdzięki czarujące,
Najwyszukańsze przeszły ideały.
Biegły, jak srébrne oceanu fale,
W lekkich podskokach spieszące ku brzegu.
Stem głosów dźwięcznych, ustek stu korale,
Witały gościa, wdzięcząc się z szeregu.
Sto dłoni śnieżnych objęło rycerza,
I na wyścigi, drobnémi rączęty,
Stalowe klamry i sprzączki puklerza,
Porozpinały, gdzie tylko był spięty.
Jedna mu trefi włos, druga coś poda,

Trzecia zakrapia twarz drogą wonnością;
Nigdy nie była żadna panna młoda,
Usługiwana z taką wesołością!

XVII.

A wszystkie razem śmiały się serdecznie;
Próżno je pytał, nadaremnie badał,
Ich odpowiedzią był ten sam śmiéch wiecznie,
O co bądź prosił, co bądź do nich gadał.
Potém udały że go okręcają
Jakimś łańcuchem, lecz był on spleciony
Z najrzadszych kwiatów, co tak ubarwiają
Łąk i ogrodów majowe gazony.
Jedne się prężąc siłami wspólnémi,
Gdzieś go prowadzić gwałtem, zda się, chciały,
Drugie trącając bukiety wonnémi
Z róż, niby popchnąć go usiłowały.
Cztéry z nich niosło dzidę Tintadgela, (7)
Dwie Escalibar, ledwie go dźwigając,
Śród powszechnego rówiennic wesela.
Jedna z chichotem, rycersko stąpając,
Wdziawszy na skroń swą hełm, parsknęła śmiechem
Czując że nagle zsunął się na oczy,
Aż go odbiły łuki sklepień echem.
Tak pląsał rój ów aniołków uroczy.

XVIII.

Monarchę jeńca, z półśmiechem, z półkrzykiem,
Orszak wiódł rzędem izb przybranych świetnie.
Wreszcie stanęli przed pysznym portykiem.
Najstarsze z dziewcząt, ośmnastoletnie,
Podnosząc rękę, uroczyście, zwolna,
Szepnęło: cicho! sza! krótkiémi słowy,
I oniemiała wnet rzesza swawolna,
Na powitanie dziwów tych Królowéj.
Ale ukradkiem patrząc na przybysza
Osłupiałego, szalone dziewice,
Acz z nich śmiech każda, jak może ucisza,
Zdradzały dołki go lic, i źrenice.

XIX.

Rapsodów owych bohatérskich czasy,
Żyją już jeno w legendach minstrela.
Przyroda dawne zużywszy zapasy,
Dziś nam, jak niegdyś, nic już nie udziela.
Siła rycerzy była tytaniczna,
Wściekłość odwagi ich, cuda tworzyła;
A piękność dziewic, tak anielsko śliczna,
Jak wyobraźnia żadna ani śniła.
Wiedza wkraczała w nad obłoczne szlaki.
Lecz nawet w owych wiekach wiar, zapału,

Jakiż śmiertelnik, czy czarodziéj jaki,
Znalazł gdzie, kiedy, tyle ideału
W postaci żywéj, jak uroki owe,
Co osłupiały mocarza zdumieniem,
Gdy w gronie paziów i dziewic, Królowę
Zamczyska tego, ujrzał z odurzeniem?
Ona z przysionka idąc do komnaty,
Wlepiła w niego płomienne źrenice;
Im wpatrywała się dłużéj, szkarłaty
Coraz czerwieńsze, krasiły jéj lice.
Ognisty wzrok ten piekł go tak okrutnie,
Że mu nareszcie nie zdołał podołać.
Mógłby doń wówczas mędrzec z boku smutnie
Widząc tę walkę wewnętrzą, zawołać:
— Mocarzu! strzeż się! walcz z tygrysem sobie,
Z lwem się potykaj, boje zwódź ze smokiem,
Ale ci mówię, wierz mi, biada tobie!
Jeśli-ć dziewica opęta urokiem!

XX.

Królowa burzę uciszając snadnie,
Łatwo z monarchą wielkim sobie radzi;
Bo każdy, każdy najtęższy mąż padnie,
Gdy go zniewolić piękność się usadzi.
Więc pozdrowiwszy rycerza serdecznie,
Przeprasza wielce za dziewice trzpioty,

Które zamknięte jak w klasztorze, wiecznie,
Mogły ubliżyć mu swémi pustoty,
Miasto przyjęcia go z poszaną, godnie.
Potém prosiła nader. gościa swego,
By przenocował w zamku jéj wygodnie,
I nie odmówił jéj zaszczytu tego.
Król podziękował za uprzéjmość szczérze,
Bo on jak z męztwa, i z grzeczności słynął.
Na rozkaz pani podano wieczerzę,
I rychło wieczór wesoło upłynął.

XXI.

Królowa siedząc przy Artura boku,
Z kolei, także czemuś zposępniała;
Jakiś niepokój odbił się w jéj oku,
Szeptania jego, zda się nie słuchała.
Postać jéj była skromna i niewinna,
Ale oblicza mrok jasno powiada,
Że ją ciemięży troska nie dziecinna,
I że ją ukryć przed wszystkiemi rada.
Ledwie zaczętą rozmowę urywa,
A zapytania, miasto odpowiedzi,
Tłumiąc westchnienia, półsłówkami zbywa,
Które, spuszczając oczy, zwolna cedzi.
No! to się zdarza; lecz jak pasterz wprawny,
Z mgieł rannych, żary południa odgadnie,

I z ócz Królowéj, Mocarz ten przesławny,
Co się w jéj sercu działo, przeczuł snadnie.
Przeto im częściéj puhary krążyły,
Im szczebiot dziewic brżmiał co raz gwarliwiéj,
Im pieśni bardów więcéj go drażniły,
Poczynał sobie coraz natarczywiéj.
Zwykłe te dzieje, pocóż nieoględnie
Odsłaniać całkiem? każdy zna je, czuje,
Bo gdy kobiéta podda się bezwzględnie,
Mężczyzna nad nią dowolnie panuje.
Na cóż wskazywać, jak z dziecinnych fraszek,
Namiętność w sercu nagle się rozwija;
Jak z początkowych, swawoli, igraszek,
Rozpłomieniona, często je zabija?
Wiémy, jak nieraz zalotna pustota,
Śmiertelnym żalem spokój tak naruszy,
Że z jéj nasionek wylęgła tęsknota,
Kończy się wreszcie suchotami duszy.

ZARĘCZYNY TRIERMAINA.

PIEŚŃ DRUGA.

I.

LEGENDA LYULPHA.

(Ciąg dalszy).

Minął dzień jeden, drugi, trzeci minął;
Plądrują Albjon okrutne Saksony;
I groźny Duńczyk chorągiew rozwinął,
Pustosząc srożéj kraj już spustoszony.
Król Artur, ów kwiat zastępów Chrześcijańskich,
W zamku kochanki wiódł żywot rozkoszy;
Miecz jego karków nie zmiata pogańskich,
A róg jelenie tylko w lasach płoszy.
Caliburn, chwała Angielskich rycerzy,

Jak niepotrzebny grat się poniewiéra,
Bo już zwycięzko z wrogiem nie szermierzy,
W rozkochanego dłoni bohatéra.

II.

Minął dzień czwarty, piąty, szósty minął;
Na łonie pieszczot, w odurzenia szale,
Dla Okrągłego-Stołu Artur zginął,
O którym nawet i nie myślał wcale.
A tak smakują mu te zalecanki,
Że wywietrzała mu z pamięci żona.
Woli kwiat uszczknąć z warkocza kochanki,
Niż zerwać szyszak ze skroni Saxona.
Woli wpleść pióro czapli w włos jéj czarny,
Czapli, rozdartéj białozora szpony,
Niż na ołtarzu Chrystusa, ofiarny
Zawiesić sztandar krwią pogan zbroczony.
I tak dzień po dniu, częstowan nektarem
Wszelkich rozkoszy, pił go bez wytchnienia.
Lecz ta, co tak go opętała czarem,
Drżała na samą myśl jego ocknienia.

III.

Często w obłędne manowce nas wiodą,
Wdziękami swémi zwykłe śmiertelnice;

Lecz Guendolena nie ziemską urodą
I najpiękniéjsze gasiła dziewice.
Matkę jéj uwiódł kiedyś Duch Przyrody,
Szerzący miłość między Bretonami,
Któremu niegdyś, z korną czcią, w zawody
Składano hołdy, pieśnią i tańcami.
Lecz gdy krzyż wszędy wyciągnął ramiona,
Po nad błonjami krainy prastaréj,
Wiara w to bóstwo była obalona,
Objawieniami świętéj nowéj wiary.
Wówczas to ojciec Guendoleny, zawiść
Unosząc w dzikie Wastdalu samotnie,
Przekazał córce swéj, swoją nienawiść,
I by rycerzy chrześcjańskich, sromotnie
Uwodząc wszystkiém, ponętą, czy zdradą,
I sprowadzając czém bądź, ze ścieżcnoty,
Rzuciła potém, zbrukanych szkaradą,
Na najzjadliwsze sumienia zgryzoty.
To téż umiała, wszystko przyrzekając,
Nie dotrzymując nic w stosunkach dalszych.
Łudzić, pozorem jakimś ubarwiając,
Najbojaźliwszych, jak i najzuchwalszych.
Bo téż jak dziatwa, co dom ojców rzuca,
Gdy ją pociąga tęczy widowisko,
Często czcza mara młodź obałamuca,
I tak naraża ją na pośmiewisko.

IV.

Geundolen ojca pełniła przestrogi,
Aż do przybycia do niéj bohatéra.
Lecz odkąd zajrzał król Artur w jéj progi,
I dla niéj nowa era się otwiera.
Nagle matczyna krew w niéj zakipiała;
A więc ojcowskich nauk niepamiętna,
Przed chwilą jeszcze Królowa wspaniała,
Dziś, niewolnica, stroskana, namiętna;
Bo przeczuwała rozpacznie, jak próżno
Dłużéj kochanka łudzić, lub olśniewać,
Gdy gotowością skarbion zbyt usłużną,
Nie ma się czego więcéj już spodziéwać.
Widzi jak Artur potężném ramieniem,
Opasujący go łańcuch rozrywa;
Więc ostateczném żalu naprężeniem,
Rozlatujące się chce sprządz ogniwa.
To ściąga stanik, to włos w pierścień skręca,
Urozmaica zabawy bez końca;
Dnie na turnieje i uczty poświęca,
Na śpiew i pląsy, noc do wschodu słońca.
Zasobna w skarby mądrości, pamięci,
Snuje powiastki mu zachwycające,
Może z nich która zbiega znów przynęci,
Może rozgrzeje serce już stygnące.

Wzniesiona wiedzą nad ziemskie siostrzyce
Lecz słaba, jako cały ród niewieści,
To go poskramia, marszcząc niby lice,
To z uniesieniem, poddając się, pieści.
Słowem, co tylko miłość jéj wskazała,
Aby uwięzić kochanka tajemnie,
Wszystko zużyła, wszystko wyczerpała,
Wszystko napróżno, wszystko nadaremnie.

V.

Tak gdy w obrębach pysznego ogrodu,
Opasanego mury gotyckiémi,
Mistrz, wielkość jego chcąc ukryć obwodu,
Urozmaica go wdzięki wszelkiémi;
Wyciąga proste i kręte aleje,
Zasadza drzewa i kląby rozrzuca;
Tam barwi kwiatem, tu trawniki sieje,
I czémś wciąż nowém wzrok obałamuca.
Wszystko to czyni nadzieją łudzony,
Że przybyłego w ustroń tę pielgrzyma,
Gdy się rozpatrzy w cudach jéj zdumiony,
Może na dłużéj, na zawsze zatrzyma.
Daremna praca! niech się nią nie mami!
Do ogrodowéj dotarłszy zagrody,
Pielgrzym unudzon sztucznémi kląbami,
Zapragnie borów wspanialszéj przyrody.

VI.

Od trzech miesięcy, Król zakłopotany,
Pierwszy raz mówiąc o wazalach, tronie,
Dodał, że pobyt jego niespodziany,
Zbyt się przeciąga w odległéj téj stronie,
Że obowiązki monarsze tak trudne,
Uobecniając mu jego powinność,
Każą porzucić ustronie to cudne,
I podziękować jéj, za jéj gościnność.
Ona słuchała go, marząc głęboko,
Usta jéj gorzki uśmiech przelatywał,
Wlepiając w niego płomieniste oko
Tak, że rozmowę co chwila urywał.
Lecz tu niepokój jasnym jest dowodem,
Jak go coś dręczy, i nie bez przyczyny.
Więc znów przeważnym jakim-eś powodem,
Usprawiedliwić pragnie swe przewiny.
Umilkł; Guendolen nie odrzekła słowa,
Spójrzała w niebo, boleść jéj się wzmogła;
Na twarz stoczyła się łza brylantowa,
Którą jéj duma powściągnąć nie mogła.
I jedną ręką oczy przysłaniając,
Otarłszy łezkę co ich blaski ćmiła.
Drugą, po fałdach szaty swéj muskając,
Na ściskającéj ją, szarfie zwiesiła,

VII.

Wzrok jéj wyrzucał mu coś, jakby zbrodnię;
Pojął to Mocarz i nagle zawołał:
— Nie pani! nie myśl o mnie tak niegodnie,
Nie myśl, bym miłość twą zapomnieć zdołał.
Przysięgam na tron, na wszystko na świecie,
Na cześć Królewską! jeśli to syn będzie,
To pierworodne Guendoleny dziecię,
W spuściźnie po mnie koronę posiędzie!
A jeśli nam się dziewczyna narodzi,
To znajdę dla niéj godnego jéj męża!
Bo najdzielniejsi z Albiońskiej młodzi,
W zapartych szrankach, dobywszy oręża,
Jako na całym świecie piérwsze woje,
Który z nich, wszystkich z kolei pokona,
Staczając dla niéj całodzienne boje,
Takiemu jeno dostanie się ona,
Ten tylko córkę poślubi Artura!
Spoziérał dumnie, dumna była mowa.
Guendlen słuchała go jak noc ponura,
Lecz nie raczyła odrzec ani słowa.

VIII.

Świtem, nim jeszcze jaki piewca lasu
Ranną piosenkę jutrzence zadzwonił,

Zanim ocknięty z nocleżnego wczasu,
Wstrząsłszy skrzydełkiem, rosę zeń uronił.
Nim promyk słońca przemknął mgły obsłony,
Przykrywające Zamku filigrany,
Skrzypnęła brama, opadł most zwodzony,
I król przekroczył mur zaczarowany.
Lśni na nim perska przepyszna tkanina,
Od stóp do głowy opancerzon, zbrojny,
Libijski rumak rżąc pod nim się wspina,
Jakby go cieszył ciężar tak dostojny.
Bohatér westchnął, cóż go tak zasmuca?
Wyrzut sumienia, czy żal za kochanką,
Którą zapewne na zawsze już rzuca?
Nagle osłupiał, zdumion niespodzianką!

IX.

Tuż obok niego Guendolena stała:
Z sandałów śnieżne stopki przeglądały,
Z orlich piór kita nad czołem pływała,
Płaszcz ją łowiecki obsłaniał wspaniały.
W postawie godność niewypowiedziana;
Spokojnym wzrokiem w około wodziła,
A wonnym płynem po brzegi nalana,
W dłoni jéj czara szczerozłota lśniła.
— Rzucasz mnie—rzekła; o! z jakimż mozołem
Nie opóźniałam odjazd twój daremnie!

Wszystko napróżno; i już nigdy społem,
Nie pocieszymy się w smutku wzajemnie.
Ale ma dusza o tém już nie roi;
Widzę że chcesz mnie opuścić koniecznie;
Więc pożegnajmy się, jak nam przystoi,
Godnie nas! gdy się rozłączamy wiecznie.
Wskazała czarę:
— Nie jest to płyn, panie,
Tłoczon z winogron ziemskich z takim znojem.
Nektar Genjuszów to, więc na rozstanie,
Wychylmy toast Genjuszów napojem!

I do połowy chciwie go wypiła.
Wnet, zalewając czarowne jéj lice,
Śmiertelna barwa twarz jéj posiniła,
Zgasły, przed chwilą płonące źrenice.

X.

Król podniósł czarę; a w tém kropla lśniąca,
Na jéj krawędzi drgając, nagle ściekła
Na smukłą szyję konia, i paląca
Jako ognista, płynna lawa, piekła,
Z takim zjadliwym wżarła się w nią bólem,
Że przerażony rumak się zatoczył,
I przerzucony straszliwém półkolem,
O stóp dwadzieścia na stronę odskoczył.

Rolnik dziś jeszcze, gdy go kto zapyta,
Wskaże, w bruzdami głazie pożłobionym,
Głębokie ślady owego kopyta,
Którém go porył w tym skoku szalonym.
Z rąk zdumiałego Króla wyleciała
Bryzgając płynem w krąg, czara przeklęta; (1)
Koń pomknął chyżéj jak najszybsza strzała,
Najtęższą dłonią z cięciwy wypchnięta.
Wędzidło, cugle, powściągnąć nie mogły,
Dzikiéj gonitwy téj wściekłego lotu.
Wpadł na urwisko, siły mu się zmogły,
Tchu mu zabrakło, kląkł, dostał zawrotu,
Runął i ani drgnął!

Król osłupiały,
Spójrzał na twierdzę; znikła jak widziadło.
Wieże, wieżyczki, blanki, zamek cały,
Wszystko zarazem, bez śladu przepadło. (2)
Tylko na szczycie samotnego wzgórza,
Opasanego szumiącym strumieniem,
Nawał skał groźnych horyzont zachmurza,
Czerniąc dolinę w krąg ponurym cieniem.
Bohatér marząc, jakby w odurzeniu,
Wrócił do swego pięknego Carlilu,
I tam zapomniał o straszném zdarzeniu,
Śród różnorodnych prac monarszych tylu.

XI.

Już lat piętnaście wkrótce dobiegało;
W dwunastu bojach Król Saxonów pobił; ([3])
Każdy rok nową rozsławił go chwałą,
I czoło nową koroną ozdobił.
Zgniótłszy Rythona krwawego tyrana,
Kraj, ze zdziéranych dlań, wyzwolił danin,
I przed nim kornie ugięli kolana,
Pikt, Gillamorus, i Lucjus Rzymianin.
Sława Krągłego-Stołu świat obiegła;
A bohatérska młódź, spiesząc w zawody,
Na dwór Artura zewsząd tłumem biegła,
Szukać rozgłośnéj rycerskiéj przygody.
Każdy pokrzywdzon, wyznając otwarcie,
Jak go nikczemnik jakiś uciemięża,
Znalazł u Króla ochocze poparcie,
Bo nie oszczędzał siebie ni oręża.

XII.

Podczas Zielonych-Świąt, do swéj stolicy
Król zjazd nakazał — i wnet, świetną rzeszą,
Wielcy panowie, książęta, lennicy,
I uciśnieni gromadami spieszą,
Mocarz w epokach owych, dla młodzieży
Wyprawiał uczty, gonitwy, turnieje.

I z cudzoziemskich nie jeden szermierzy,
Przybywał chętnie doń, mając nadzieję
Że krusząc kopije w zapasach rycersko,
W szrankach, przesławnych tak, i w takiéj dobie,
Może zdobytym w boju bohatérsko
Listkiém wawrzynu, skroń ozdobić sobie,
Z Króla witezi, dla jakich bądź względów,
Żaden-by, znając Artura zwyczaje,
Tak uroczystych nie minął obrzędów,
Chyba zabłąkan gdzieś w dalekie kraje.
Bardowie! ileż to do waszych pieśni,
Mieliście w ówczas natchnień, bez mozołu,
Gdy zapalali was tak, wam rówieśni,
Bohatérowie Okrągłego-Stołu.
Pięciowiekowe to powtarzam dzieje;
Lecz ziemia piérwéj zapadnie się z trzaskiem,
Nim Albionu tron znów zajaśnieje,
Olśniewającym tak świat cały blaskiem.

XIII.

Miéjscowość na tak świetne widowiska,
Wpiérw przez heroldów światu ogłaszano.
Bywały zwykle wielkie te igrzyska
W Camlot; czasem je w Carlisle wyprawiano.
Tym razem jednak, w Penricie wytknięto
Na ten harc szańce, i młodzież przybyła,

Z odległych krain na tak wielkie święto,
W dolinie Eamont namioty rozbiła.
Byli tam: Galad ramieniem potężny,
Chociaż jak anioł piękny, dobrotliwy;
Morolt z żelazną maczugą, i mężny,
Lecz tak w miłości sławnie nieszczęśliwy
Tristram; Bevider, Mordred zezooki;
Dzielny Dinadam bystrego spójrzenia;
Z zaczarowaną dzidą Lanvaloki,
Brunar, i któż ich wszystkich powymienia?
Wspomnieć że jeszcze mam, o Cayu, Borze,
Hektorze Mares, Banierze, Gavainie,
O Carodacu i o Pellinorze; (4)
O zakochanym nakoniec szalenie,
Stale w Królowéj, owym Lancelocie,
Który ścigając ją oczyma wszędzie,
Przekonał że jest kochankiem, w istocie
Jakich nie było, niéma i nie będzie?! (5)

XIV.

W chwili gdy wino strumieniem się lało,
Pieśni minstreli brzmiały najweseléj,
Kilka donośnych trąb dźwięcznie zagrzmiało,
I heroldowie szranki uprzątnęli.
Cudna dziewczyna, na czele orszaku
Dziewic jak ona, przepysznie odziana,

Wkroczywszy zwolna na białym rumaku,
Przed Królem kornie ugięła kolana.
Artur wzruszony patrzał na dziewicę,
Na jéj łowiecki strój, pas złotem tkany,
Na przysłonione welonem jéj lice,
Postać acz dumną, lecz pełną poszany;
Na łuk, na orle pióro, pływające
Po nad warkoczem kruczym, na sandały,
Z których pół nagie, drobne stopki lśniące,
Jak plamki śniegu, błyszcząc przeglądały.
Wtém ona nagle kwef w tył odrzuciła,
I Mocarz drgnąwszy, mało nie zawołał:
Co! Guendolena?—ale twarz ta była
Mniéj piękną, a więc powściągnąć się zdołał.
Lice to śliczne, jednak wyrażało
Coś pośredniego; co? oznaczyć trudno;
Coś między dzieckiem, i między dojrzałą
Dziewicą całkiem już, lecz zawsze cudną.
A choć nie było w niéj nic nadziemskiego
Z uroków wieszczek, tak różnych naturą;
Łatwo odgadnąć z czoła jéj pysznego,
Że jest Królewską Pendragonów córą.

XV.

I głosem dźwięcznym, w postawie modlącéj,
Rzekła:
— Mocarzu! z krainy dalekiéj,

W imię méj matki dawno nieżyjącéj,
Przychodzę błagać ojcowskiéj opieki,
Którąś sierocie, niegdyś tak gorąco
Na Święto-Jańskiéj zaprzysiągł dolinie.
Król Artur podniósł natychmiast klęczącą,
I pochylając się ku ślicznéj dziewczynie,
W twarz pocałował ją szczérze, ogniście;
A patrząc w lice lekko zapłonione,
Chwaląc jéj piękność, przyrzekł uroczyście,
Że jéj życzenia będą wypełnione,
Nim konające słońce spadnie w morze.
A potém spojrzał na żonę; — z wéjrzenia
Tego tkliwego, mniemałbyś, w pokorze,
Za dawny błąd ją, żebrze przebaczenia!
Ale Guenewra odrzekła wspaniale:
Że taka słabość ludzka nie jest grzechem;
I znowu daléj, nie zmieszana wcale,
Lancelotowi szepce coś z uśmiechem.

XVI.

— Nuże! rycerze! dobądźcie oręży;
Kto z was w turniejach chwałę dziś zdobędzie,
Współzawodników w zapasach zwycięży,
Pięknéj Gynethy méj małżonkiem będzie.
Córa ma, godna wielkiego jéj rodu,
Obdarzy męża posagiem nie małym;

Bo krom Regedu i Strath-Clydu grodu,
Da mu i Carlisle z zamkiem okazałym.
  Wówczas zerwawszy się tłumnie szermierze,
Krzyknęli społem:
                — Giermki! dajcie zbroje,
Wybierzcie rychło najtęższe puklerze,
Bo nie codzienne zwiedziem wkrótce boje.
Nie zawsze, jak dziś, Królewskie dziewice
Będą nagrodą harców turniejowych!
  Wnet zajaśniały hełmy i przyłbice,
Rażą wzrok blaski pancerzy stalowych.
•Stroje odświętne rzucono precz wstrętnie;
Tu się złotogłów w pyle poniewiéra,
Tam lśnią klejnoty, które gawiedź skrzętnie,
A resztą, kto chce, jak swoje zabiéra.

XVII.

Na piérwsze trąby wojennéj wezwanie,
Krągłego-Stołu mężów pięćdziesięciu,
Prócz trzech, wybiegło na krwawe spotkanie,
Śniąc o nagrodzie jego, — o dziewczęciu.
Miłość, małżeństwo nawet, nie zdołało
Powściągnąć owych rycerzy zaloty;
Bo się u księży łatwo kupowało
Odpust, pokutą, lub za worek złoty.
Napróżno żony, kochanki zdradzone,

Zaczerwienione wstydem, złością blade
Patrząc na żądze małżonków szalone,
Wręcz wymiatały im czynu szkaradę.
Współzawodnicy w szale uniesienia,
Zajęci jeno tarczą, lub ostrogą,
Rwą się, nie dbając o ich łzy, westchnienia,
Zapamiętale, na walkę złowrogą.
Każdy z nich głowę odwraca co żywo,
A pycha skrycie szepce mu te słowa:
— Jeśli szermierzysz pod gwiazdą szczęśliwą,
Żoną twą będzie prześliczna Królowa,
Wniesie ci ona, oprócz wdzięków tylu,
Strath-Clide, Regedu niezmierzone błonia,
I pyszny zamek pięknego Carlislu.
Więc każdy bieży, wskok dopada konia.

XVIII.

Od stóp do głowy zbrojni zapaśnicy,
Cisną się w szranki turniejowe tłumnie.
Trzech tylko nie chce walczyć dla dziewicy,
Hamując zapęd rycerski rozumnie.
To też za wierność każdy nagrodzony;
Doszły aż do nas sławne ich imiona:
Dwóch, kochankami były, krewnych żony,
Trzeciego więcéj własna nawet żona, (6).
Dwoma piérwszemi byli: Tristram mężny,

I ów Lancelot z Jeziora, tak sławny;
Trzecim z kolei, Carodac potężny,
Co wygrał puhar złoty bardzo dawny,
Zdumiewający robotą misterną,
Który mu wszyscy przyznali życzliwie,
Jako jednemu, co miał żonę wierną,
I z próby dziwnéj téj wyszedł szczęśliwie.
Daremnie potém złośliwie szeptano,
Że gdyby nie srom, i Carodac dzielny,
Dałby wraz z czarą żonę tak kochaną,
By za Królewnę mógł zwieść bój śmiertelny.
A że u tronu, w téj zepsucia dobie,
Jedyny rycerz się nie sprzeniewierzył,
Niech go obmawia zawiść jak chce sobie,
Ja w cnotę jego stale będę wierzył.

XIX.

Pyszne rumaki swobodnie hasają,
Kity, sztandary, kłonią się z wiatrami;
Rycerze szranki zwolna objeżdżają,
Jak meteory zdala lśniąc zbrojami.
Tęskno poglądał Artur na te szyki,
Na ten kwiat młodzi, pogromców pogaństwa,
Na te tak groźne wrogom wojowniki,
Na to przedmurze kraju i chrześcjaństwa.
Widzi zapóźno już, jakie nieszczęście

Bój ten sprowadzi, oczy mu się łzawią,
Bo wiedział dobrze że nie jedne pięście,
Współzawodnicząc, wstrętnie się zakrwawią.
A więc złorzecząc swojéj obietnicy,
Wzywa Gynethę, i rzewnie, poważnie,
Oddając berło Królewskiéj dziewicy,
— Słuchaj! zawołał, słuchaj mię uważnie:

XXI.

Widzisz, me dziécię, dotrzymałem słowa!
Wkrótce się zaczną turnieje, gonitwy.
Weź moje berło, i jako Królowa,
Bądź samowładną rozjemczynią bitwy.
Lecz słuchaj! piękność jest niezaprzeczenie,
Gwiazdą polarną dla wszystkich rycerzy;
Na lada słówko, lada jéj skinienie,
Każdy z nich za nią i na śmierć pobieży,
Za co uśmiechem płaci mu sowicie.
Ale niech Piękność, Dobroci siostrzyca,
Swych wielbicieli oszczędzając życie,
Rozterek między niemi nie podsyca.
Jéj oczy, jako gwiazdki bliźnie, lśniące,
Wygładzające oceanu wały,
Winne łagodzić żądze krwią dyszące.
Głos jéj, powściągać mordercze zapały.

Mówię-ć to córko, bo się wielce trwożę,
Aby ten turniéj, harc ten nieszczęśliwy,
Jak się rozpęta, co bardzo być może,
Nie przeistoczył się wnet w bój prawdziwy.
Niech na dźwięk trąby w arenę się rzucą,
Ale niech walczą tępémi żelazy;
Nie nowicjusze to! nie bałamucą,
Gdy się raz grzmotną śmiertelnémi razy!
Strzaskany szyszak, padły koń, wiém, czuję,
Fraszka to dla nich! a więc moje dziécię,
Ojciec cię błaga, Król ci rozkazuje,
Gdy będą godzić wściekle na swe życie,
Skiń berłem, powierz ojcu los twój dalszy,
Niech nie powiedzą, że Królewska córa,
Dla niecnéj pychy, świetny, najwspanialszy,
Wydarła kléjnot z korony Artura.

XXI.

Śnieżne Gynethy czoło zczerwieniało
Rumieńcem dumy, a może i bólu.
Z dłoni jéj berło złote wyleciało:
— Schowaj twe dary, odrzekła, o Królu!
Dla kobiét innych. nie mojego rodu!
Gdzież Baron, coby o swoją dziedziczkę,

Dbał, jako o mnie Pan Anglji, od młodu;
Acz biédak ledwie w ruinach wieżyczkę,
I nędzny odłam nieuprawnéj skały,
Zniecierpliwiony długiém jéj panieństwem,
Daje w posagu córce ogorzałéj,
Społem z ojcowskiém swém błogosławieństwem?
Król Artur niegdyś, na miecz, na koronę,
Poprzysiągł matce méj że w pełni lata,
Będą przez cały dzień walki zwodzone,
Przez najdzielniéjszych bohaterów świata!
Cofnij przysięgę, niech cię to nie trudzi,
Gynetha wróci na dolinę snadnie.
Lecz plama co twe czoło hańbą zbrudzi,
Na twoją córkę sromotą nie spadnie!
Nie myśl, o! nie myśl, że zostanę żoną,
Nie najpierwszego z najpiérwszych rycerza!
Raczéj śmierć! niż być temu poślubioną,
Co wysokości mojéj nie domierza!
Dziki szczęk mieczy, jęki konających,
Rżenie rumaków, widok krwi i skonu,
Świst dzid strzaskanych w kawały lecących,
Nie! nie przerażą córy Pendragonu!
Smutna Guendolen dobrze ją poznała
Z szalbierstwem mężczyzn, z całą ich niewiarą,
Aby jéj córka kiedy żałowała,
Gdy im dogryzie co, należną karą!

XXII.

Mocarz brwi marszcząc, rozdrażniony rzecze:
— Przyzwalam na to czego nie odmienię.
Niebezpieczeństwo, trwoga, ani miecze,
Mnie nie zniewolą złamać przyrzeczenie.
Tak! całą złość swą, twoja matka tkliwa,
Zcedziła w serce śliczne swéj dzieciny!
Nie klnę ją jednak, była nieszczęśliwa!
Lecz mająż inni cierpieć za me winy?
Rób więc z tém berłem co ci rozum wskaże;
Ale niech jeden mąż zginie przez ciebie,
Pamięć twą z serca mojego wymażę,
Lub ją w śmiecisku odrazy zagrzebię!
Odwrócił głowę, tak mu była wstrętną,
Gdy z twarzą dumną, lecz pełną spokoju,
Podnosząc berło, z gotowością chętną,
Siadła na tronie rozjemczyni boju!
Ani mógł patrzeć na swe wojowniki,
Którzy, co rychléj spuściwszy przyłbice,
Wyrównywając dwa przeciwne szyki,
Rwali się biedz już na śmierć za dziewicę.
Dźwięk trąb brżmiał w uchu mu jak dzwon pogrzebu;
I poraz piérwszy bohatér Bretonów,
Odwrócił oczy, i wznosząc je k'niebu,
Nie chciał być widzem tylu mężów skonów.

XXIII.

Ale Gynetha dźwięk tych trąb słuchała
Błogo, jak sokół jęk synogarlicy.
Nie potępiajcie ją! — nie! — bo wstrząsała
Miło pieśń boju zawsze pierś dziewicy!
A zresztą, oko najtkliwszéj kobiéty,
O! nie zdołało-b patrzeć bez zajęcia,
Na pływające te na hełmach kity,
Na te odbicia ciosów, na ich cięcia.
Szranki barwnémi pstrzyły się piórami,
Którémi wiatry dowolnie miotały.
Rycerze walczą, lecz jeszcze nie plami
Krew zbroic, które jak słońce jaśniały.
Rzekłbyś, że w końcu szermierka ta cała,
Kilka zaledwie pióropuszy złamie;
Lecz w miarę jak ich walka rozsrożała,
Im coraz wściekléj uderzało ramie,
Trąby chrapliwiéj grzmiały; ich donośny
Głos wrzawę głuszył, jako śpiew skowronka,
Tłumi kwietniowe wichry podczas wiosny,
Gdy się z piosenką w zenity zabłąka.

XXIV.

Wkrótce igrzyska przeszły w bój straszliwy:
Dzidy, brzeszczoty, krusząc się pękają;

Tu koń zabity, tam rycerz nieżywy.
Drgając, w zbroczonych pyłach się walają;
Turniejowego ani śladu szyku,
Strzaskane tarcze, puklerze zgniecione,
Zerwane hełmy zlatując bez liku
Z głów, odsłaniają czoła sposoczone.
Nie są to zwykłe zapasy szermiercze;
Nienawiść miota wścieczoną tą zgrają,
Walą na oślep zamachy mordercze,
Nie wiedząc nawet na kogo spadają.
Teraz grżmiał rogów i trąb ryk ponury,
Jak wrzask morskiego ptastwa w szumie burzy,
Które z przestrachu uciekając w chmury,
Krzykom rozbitków, pieśnią śmierci wtórzy.

XXV.

Zda się że w dniu tym strasznym, Przeznaczenie
Chciało uprzedzić klęskę Camelana,
I zabezpieczyć Mordreda sumienie,
By nań nie padła zbrodnia opłakana.
Dwudziestu mężów, pod wściekłémi ciosy,
Wybór rycerstwa, dawno już skonało.
Zrozpaczon Artur, rwie na głowie włosy,
Targa obłąkan, brodę pobielałą.
Nawet Gynetha nie mogąc zmódz wstrętu,
Drży mimowolnie, z litości i trwogi;

Ale jéj zdaje się, że śród zamętu
Tego, krążący matki cień złowrogi,
Karcąc ją ostro za łzę ćmiącą oko,
Wzbraniał jéj wstrzymać mord ten rozszalały.
Wówczas runęli, oblani posoką,
Brunar i Taulas, Mador, Heljas-Biały,
Lionel, i wielu przedniéjszych rycerzy.
Rochmont, Dinadam; i z Lasu-Czarnego
Ferrand, buchając krwią, bez ducha leży.
Vanoc, Merlina syn, przez potężnego
Morlotha party aż do stopni tronu,
Któremu ledwie wąsy się zasiały,
U stóp Gynethy legł, i czekał skonu,
Obryzgiwując krwią swą jéj sandały.
Wtém ziemia drgnęła, łono swe rozmyka,
Straszliwa chmura widnokrąg zaległa,
Piorun wystrzelił, i czarnoksiężnika
Merlina, postać na arenę wbiegła.

XXVI.

Spojrzał z odrazą na skrwawione szranki,
I wznosząc rękę, zawołał surowo:
— Zawieście głupcy ten bój dla kochanki!
A ty, wyroku słuchaj, białogłowo!
Długo i twardo zasną twoje oczy,
Które łzą jedną litość nie zrosiła.

Noc letargiczna duszę twą omroczy,
Bo ją na chwilkę boleść nie wzruszyła.
Jednak, że jesteś takiéj matki córa,
Że-ć truła serce tak niedoświadczone,
Że w tobie płynie krew Króla Artura,
Zbrodnie twe kiedyś będą przebaczone.
Wyrok ten spełnisz w znanéj ci dolinie,
Świętego-Jana, a twój sen trwać będzie,
Aż jakiś rycerz świetnie tak zasłynie,
Chwałę takiego rozgłosu zdobędzie,
Jak bohatéry Stołu-Okrągłego.
I pójdziesz sławna w potomność odległą,
Bo nie zapomni ci nieszczęść dnia tego,
W którym przez ciebie tylu mężów legło!

XXVII.

Gdy Merlin mówił, zwolna już się ćmiły
Oczy Gynethy, przed chwilą tak lśniące;
Gniew i obawa napróżno walczyły,
Aby ożywić blaski ich gasnące.
Darmo dziewica ociężałe dłonie
Przez skroń przeciąga, drgnąwszy z oburzenia.
Darmo, kołysząc się senna na tronie,
Pragnie się zerwać z groźnego siedzenia.
Merlin ją uśpił; syn jego pomszczony;
Jedwabne rzęsy oczy jéj sklejają,

Jak u wonnego fijołka korony,
Na noc listeczki z lekka się zwijają.
Berło wypada z rąk, powoli głowa
Coraz zniżając się, dosięga łona;
Pęka nad skronią siateczka perłowa,
I warkocz rozlał się na jéj ramiona.
Tak była śliczna, drzémiąc na siedzeniu
Z kości słoniowéj, że Król zapomniawszy
O swoim gniewie, błagał, w zachwyceniu,
Czarnoksiężnika o wyrok łaskawszy.
A i rycerze, patrząc na jéj lice,
Tak ich drażniła piękność jéj nie zwykła,
Że znowu zwarliby bój za dziewicę,
Ale Gynetha w obłokach już znikła.

XXVIII.

Córka Artura śpi dotąd samotnie,
W Świętego Jana Dolinie—czasami
Bohatérowi jakiemuś, ulotnie,
Blade widziadło jéj, jakby za mgłami,
Zarysowane niewyraźnie we śnie,
Zda się go błagać gorącémi słowy,
Aby wzruszony losem jéj boleśnie
Rozbił snu tego zaklęte okowy.
W pierwotnych czasach, tuż po téj przygodzie,
Mnodzy rycerze śpieszyli co prędzéj,

Chcąc, o nieszczęściu słysząc i urodzie,
Wybawić śpiącą Królewnę z téj nędzy.
Z Północy, Wschodu, Południa, Zachodu,
Z nad Liffy, Forthu i Tamizy brzegu, (8)
Ciągnęli męże przedniéjszego rodu,
W nieprzeliczonym zastępów szeregu.
Wielu z nich próżno przebiegło dolinę,
Nie widząc nawet zamku w głazów tłoku;
Bo, rzeczywiście, nie w każdą godzinę,
I nie każdemu widziany był oku.
Winien wpiérw zwalczyć pragnienie i głody,
Czuwać nocami, przemódz trudy dzienne,
Kto się w dolinę puszcza na przygody,
Pragnąc oglądać dziwo jéj kamienne.
Kilku wytrwalszych z rycerskiéj młodzieży,
I nie zrażonych niepodobieństwami,
Nagle cofnęło się już od bram wieży,
Czytając napis nad ich arkadami.
Ci, co za próg ich zuchwale wkroczyli,
Zginęli; nikt już ich nie widział z ludzi;
A pokutnica spać będzie do chwili,
Aż Archanioła trąba ją obudzi.

Koniec Legendy Lyulpha.

Zawieśmy teraz Gynethy dzieje,
Bo już południe. Wkrótce wyleje
Wspaniały zamek twój gości licznych,
Co się rozpłyną gdzieś po ulicznych
Chodnikach parku, krążyć gromadnie,
Aby co rychlej, czas zabić snadnie.
Biedacy! troszczą się i kłopocą,
Że się kłopotać nie mają o co,
Że nic nie robią, acz dobrze znają,
Że żadnej pracy nie podołają!
Już to ustronie nam nie przystoi,
I słusznie Łucja moja się boi,
Aby nas jakiś szkielet nadęty,
Którego nogi, od ud do pięty,
Istne wrzeciona! a broda ścięta,
W rogówkę chowa się jak zaklęta,
Z uśmiechem drwiącym, skądeś, z przełaju,
Nie zszedł znienacka sam na sam, w gaju.

A jażbym zdołał, prostak z prostaków,
Znieść wzgardę takich trupich junaków?
O! można, można by go żałować,
Jeśli-b zamarzył ze mnie żartować;
Z tego dębczaka laska sękata,
Opamiętała-b tego prałata!

Lub, jeśli wcześnie to jeszcze czasem,
Dla tych paniczów w butach z kutasem,
Jeżeli ptaszkom świetnym tym znane,
Drożyny jego wypiaskowane,
Moda niekiedy swoim czcicielom,
Daje pochopy ku wyższym celom.
Tworzy malarzy, którzy w swéj dumie,
Acz zgoła żaden nic nie rozumié,
Radzi-b przyrody wielkość ogromu,
Zamknąć w obrębach swego poziomu,
Skazując wszystko co ich otacza,
Jeżeli przestwór stopę przekracza,
Nieubłaganie, na potępienie,
Tak ich zrażają dalsze przestrzenie.
Więc może myślą że gdzieś, w tym lasku,
Przedmiot do swego znajdą obrazku.
Moda ma także i swych poetów,
Którzy przy blaskach świec i kienkietów,
Dzwoniąc łyżeczką, rymy swe głoszą,

Gdy po biesiadzie kawę roznoszą.
Może z nich który, śród drzew tych cienia,
Przyjdzie do pieśni szukać natchnienia.
A jeśli łowiec jaki ochoczy,
Poprzedzon wyżłem, nagle tu wkroczy;
Albo Julјetta jakaś, wesoło,
Amatorskiego teatru czoło,
Wpadnie tu wpląsach, z minką niesforną,
Powtórzyć rolę swoją wieczorną!
Malarz, czy łowiec, czy wiérszokleta,
Jak komedjantka również, Juljetta,
Wszystkich owadów tych tak pstro lśniących,
W powietrzokręgu mody krążących,
Motyl, czy osa, nie ma co wnikać,
Wszystkiego Łucjo, musim unikać,
Bo nam z nich każdy, własnym językiem,
Dojmie boleśnie jakimś przytykiem.

Ależ mi powiedz szczérze, ma droga,
Długoż nas dręczyć ma jeszcze trwoga?
Długoż, miotani wciąż niepokojem,
Mamy drżeć przed tych natrętów rojem,
I takie wzniosłe, święte, jak zbrodnię,
Taić uczucia nasze niegodnie?
Nie masz rodziców, by samowolnie
Mogli rozrządzać tobą dowolnie,

Lecz twoi zacni opiekunowie,
Robią co roi się im po głowie.
Kogoż ci wreszcie wybrali oni?...
Czy nie rycerza tego, co broni
Z rąk nie wypuszcza, acz jéj jednakże,
Nie widział nigdy żaden wróg wszakże.
Którego szabla, zwisając nisko,
Rozbija bruki na pośmiewisko.
A nóżki cienkie, jak tyki, toną
W botfortach, które je całkiem chłoną?
Istny Achilles!.., pierś odsłonięta,
Lecz za to stalą zakryta pięta.
Miasto wygodnéj, skromnéj odzieży,
Ozdabiającéj dawnych rycerzy,
Nosi on zwykle cacka błyszczące,
I ćwierćłokciowe ostrogi lśniące,
Niby tandeciarz, zewsząd upstrzony,
Piórami, futrem, szychem, galony.

A może paplacz ów zawołany,
Sławny polityk zapowiedziany,
Wciąż dowodzący, zdaje się, szczérze,
To o swobodzie, to dobréj wierze?
Nie raz on mownie tak się roztrzepał,
Jakby na pamięć lekcję wyklepał.
Chesterfield wzorem mu cnoty wszelkiéj,

Chełpi się z nauk, z logiki wielkiéj,
A cobądź plecie, to tak nadęcie,
Jakby rozprawiał coś w Parlamencie.
A niech o myszy rzecz kto poruszy,
Z jaką przesadą zaraz się puszy,
Jak prosi o głos, i do porządku,
Mówiąc, wnet wzywa wszystkich z początku.
Nazywa ciebie, moje kochanie,
Byś wzajem jego popiérał zdanie.

Ni ten, ni owy?... Któryż z tych smyków,
Przemógł dwóch takich współzawodników?...
O! czemuż, Łucjo, potrząsasz głową,
Mierząc oczyma mię tak surowo?
Przebacz mi! przebacz! tych słów natłoku,
Nie zniosę dłużéj takiego wzroku!
Godność Howarda, skarby Russela,
Dałbym natychmiast pełen wesela,
Byleby ciebie, Łucjo ma, wzruszyć,
I łezkę jedną z ócz twych osuszyć.
Ale nie mniemaj, bym myślał szczérze,
Że w twoje dla nich współczucie wierzę.
Lecz gdy bogactwo, tytuł zszarzany,
Nie raz zmieniają w złoto liczmany,
Mógłżebym nie drżéć, gdy urodzenie,
Dostojność, mądrość, piękność, znaczenie,

Dadzą pospołu, mówiąc otwarcie,
Rzeczywistemu złotu poparcie?
Bo są młodzieńcy, których przymioty
Uobecniają pradziadów cnoty,
Bo są czcigodni obywatele,
Co nawą kraju mogliby śmiele
Śród burz najsroższych stérować dzielnie,
Wsławiając imię swe nieśmiertelnie.
Są tacy ludzie, są tacy męże!...
A gdy z nich który także posięże
Po skarb Artura?—I cóż to znaczy?...
Artur ustąpi pełen rozpaczy,
I pójdzie z krwawą w duszy żałobą,
Zginąć gdzieś, tęskniąc, płacząc za tobą!

Co ci? — co widzisz? — czemuż twe skronie
Spoczęły nagle na mojém łonie?
Może znużyła cię tak ta góra,
Żeś się oparła o pierś Artura?
Nie! nie! nie widzę nic, ani słyszę;
Wiatr tylko szepcąc, listkiem kołysze,
A ten kobierzec trawki zielonéj,
Mógłby Królowéj zdobić salony.
Lekki twój uścisk miałże-b oznaczać,
Że Artur nie ma czego rozpaczać?...

Tak!... on go godnie, widzę, zaręczył,
By się marami więcéj nie dręczył!

Lecz jeśli pragniesz, by te szatany
Pierzchły odemnie, jak w dzień wiośniany
Mgła się rozwiewa, gdy światło ranne,
Przemknie jéj łona mroki tumanne.
Jest czar, którym je łatwo owładniesz,
Mamże wymienić?... czy sama zgadniesz?...
Nie snadno w rymy wprządz cztéry konie,
Coby z rydwanem, w całym przegonie,
Ile tchu w piersiach, mknęły jak z procy,
Wprost ku Północy! wprost ku Północy! ([9])
Wielki czarownik co tam cud stwarza,
W naszym klimacie jeno się zdarza.
Nie cofaj rączki!... Przy tym paluszku,
Zaokrąglonym tak, na łańcuszku
Winien zawieszon być szczéro-złoty
Jakiś amulet cudnéj roboty,
Który poświęcon kornémi modły,
Wszystkie cierpienia co duszę bodły,
Najboleśniéjsze serca obrazy,
Przetwarza nagle w szczęścia extazy!

Chodźmy ma Łucjo! chodź, moja miła!
Powieść Artura za długą była.

Czemu tak milczysz?—ja, co wiedziałem,
Wszystko już tobie opowiedziałem.
Nie raczyszże mnie, w nagrodę, wzajem
Jedném słóweczkiem, obdarzyć rajem?
Słóweczkiem jedném, zlaném tak słodko,
Z trzech głosek tylko: TAK! — ma pieszczotko!

WSTĘP

DO

PIEŚNI TRZECIEJ.

Ty, którą wielbiąc sercem mém całém,
Niegdyś, tak długo, próżno błagałem
O zmiłowanie nademną, — Żono!
Dziś, życia mego złota korono,
Czy ci ta dzika, groźna dolina,
Doliny naszéj nie przypomina?...
Może i tu gdzie kącik maleńki
Wskrzesi nam tamtéj pamiętne wdzięki?
Acz wdzięk ten będzie nie tak ponętny,
Bardziéj ponury, wydatniéj smętny;
Jak w męzkiéj twarzy kontur zbyt ostry,
W którym dostrzeżem coś z rysów siostry.

Góral, gospodarz nasz, dobrze radził,
Bym cię ostrożnie, pieszo prowadził
Po tych urwiskach, nim nasze cugi,
Okrążą zwolna Ben-Cruach długi. ([1])
Zacny gaduła, staruch poczciwy,
Pyszny tą górą, jak Szkot prawdziwy,
Sławi jéj piękność, choć tkliwém okiem
I za niewieścim strzéla urokiem.
Chociaż to taka wielka nędzota,
Umysł badawczy to, jak u Szkota.
Ani go dziwi orszak nasz liczny,
Zdumiewający motłoch uliczny.
A gdy ujęty naszémi dary,
Zaczął tłómaczyć nam Allan stary,
Z taką dwornością, acz i poszaną,
Beal-na-Paschu Celtyckie miano, ([2])
Kłoniąc się pani nader wymownie,
Dowiódł, że dla niéj, dla niéj to głównie,
Dziwną legendę swą opowiadał;
A tak jéj wrażeń wzrokiem wciąż badał,
Że go słuchała, drgając, ma żona,
Po same oczy zarumieniona.

Lecz dajmy pokój gospodarzowi.
Zanim spuścimy się ku dołowi,

I stracim z oczu widok wspaniały,
Obéjmujący horyzont cały,
Obróć się Łucjo ma, póki pora,
I spójrz na kryształ tego jeziora,
I jego brzegi w dali niknące,
Jak mgły w przestwory uciekające.
Patrz na te cienie!... Po falach szklannych
Płyną, jak duchy lekkie w snach rannych,
Które, acz śpimy, czujemy sami,
Że są marnémi złudzeń marami,
Tak na tém wodném zwierciadle jasném,
Wszystko odbija się w świetle własném:
Biodra skaliste gór, jar głęboki,
Lasy — w wyżynie sine obłoki.
Oko na tło to patrząc błyszczące,
Zliczy po niebie chmurki lecące,
I podziwiamy wszystkie te cuda,
Acz wiémy, że to tylko ułuda.
Tak i twój Artur rozkosznie marzył,
Gdy mu los szczęsny poznać cię zdarzył,
Ale snów słodkich nigdy nie miewał,
Bo się ziszczenia ich nie spodziéwał.

A teraz Łucjo, spójrz z téj wyżyny,
Na ten przepyszny obraz doliny,
Wiodącą do niéj ścieżkę magiczną,

Zdobi zieloność barwą prześliczną.
I wiszącémi krzewin listkami,
W około których, niżéj, dołami,
Przepysznych kwiatów klombiki rosną,
Porozwijane słońcem i wiosną.
Patrz jak ten mały, srébrny poniczek,
Wléwa się w większy nieco strumyczek,
Którego nurty podlane świeżo,
Mrucząc i pieniąc, w podskokach bieżą.
Słysząc te mruki, szmery i dźwięki,
Rzekłbyś: Najady jakiéjś piosenki,
Plotącéj sobie samotnie wianek,
Z ruty, konwalji i macierzanek.
Lecz dzisia Łucjo, to nie złudzenie,
Te kwiaty, ruczaj, opok tych cienie!
Odkąd cię żoną nazwać mi wolno,
Wszystko to naszą własnością wspólną;
I przyszłość moja błogim wężykiem,
Wić się wciąż będzie po nad strumykiem,
Śród ukwieconych cudnie gór stoków,
Dla upiększenia życia widoków.
Nie ma takiego wprawdzie człowieka,
By odgadł co go w przyszłości czeka,
Lecz co bądź znajdziem na naszéj ścieży,
Żadne drugiego już nie odbieży.

Chcesz wiedzieć teraz moje powody,
Dla czegom dwakroć nie mógł ci wprzódy
Na twoje prośby, nawet błagania,
Dokończyć mego opowiadania,
Choćby w skróconéj najzwięźléj treści,
O dzielnym de Vaux dziwnéj powieści?
Trochę zrażona mojém milczeniem,
Zapowiedziałaś mi z oburzeniem,
Że już mię pytać nie myślisz więcéj,
Aż sam cię kiedyś, jak najgoręcéj,
W wezbranéj werwie, zaklnę, niemylnie,
Abyś raczyła słuchać mię pilnie.
Lecz, gdyś raz piérwszy rzekła, żeś rada
Wiedzieć jak kończy się ta ballada,
Był to najmilszy dzień życia mego,
Bom cię mą żoną nazwał dnia tego!
Olśnion mém szczęściem, mą pomyślnością,
Przeszłość i przyszłość, wraz z obecnością
Zlały się w jedno — i w dniu tym całym,
Prócz ciebie saméj, nic nie widziałem!
Tak mi ów dzionek zmysły rozstroił,
I jakby gazem jakimś upoił.

Drugi raz znowu, nad Clidy brzegiem,
Jam ci odmówił jakimś wybiegiem.
Ma arfa, albo raczéj, wracając

Do nazw klasycznych, i nazywając
Muzą, jak niegdyś; bo arfy miano
W dzisiéjszych pieśniach zbyt wyszarzano!
Muza ma przeto, jeno się budzi
W cieniu dąbrowy, zdala od ludzi,
Albo na brzegu jeziora smętnym,
Gdy chce wstrząść serce śpiewem namiętnym.
Dzika to Nimfa, i nóżką bosą
Tylko po kwiatach oblanych rosą,
Tylko gazony, tymianki, róże,
Wiotkiemi stopy potrącać może.
A, by nie więdła z lilji korona,
Którą jéj śnieżna skroń uwieńczona,
Ucieka w lasy, i śród ich cienia,
Szuka do pieśni swoich natchnienia.

Patrz! patrz! przybywa! Strumyk ten głucho
Szemrząc, swym szmerem łechce jéj ucho.
Z szumem kaskady z gór spadającéj,
Zléwa piosenki swéj nuty brżmiące;
Dla umilenia tobie podróży,
Ona Ben-Crachu echom powtórzy
Jak się skończyła powieść nie lada,
Nad którą pani tak się rozpada,
Oczarowana, jakby urokiem,
Bohatérskiego kroju jéj tokiem.

Słuchaj! natchniona! — Ona ci powié,
Jak Roland de Vaux poszedł w pustkowie,
Bo mu obawa była nieznana,
Wprost na Dolinę Świętego-Jana.

ZARĘCZYNY TRIERMAINA.

PIEŚŃ TRZECIA.

I.

Niech teraz Bencastle warowni swéj broni,
A Hartléj-Burna łucznicy strzelają
Z wież tylko swoich; niech ze stajen koni
Speir-Adama, nie wyprowadzają.
Dziś Liddesdalu i Teviotu męże,
Przypną ostrogi do butów co prędzéj;
Tarrasu, Evsu, pochwycą oręże,
Eshdal, Cumberland przywiedzie do nędzy.
Dzisia mieszkańcy biedni pogranicza,
Już nie odeprą zbójeckich zagonów,
Bo im ramienia swego nie użycza,
De Vaux, mszcząc krwawo wydartych im plonów.

Potężny Roland, oddawna ochotnie
Szukając przygód, z wieczora do rana,
Krąży w około doliny samotnie,
Chociaż Dolina to Świętego-Jana!

II.

Gdy po raz piérwszy czuwał tam noc całą,
Dolinę, acz tak zapadłą głęboko,
Księżyca światło w około zalało,
Bo już w obłokach, w pełni, tkwił wysoko.
Leżąc pod krzewem, na urwisku wzgórza,
Badawczém okiem wszędy się wpatrywał;
Ale najczęściéj bystry wzrok zanurza,
W grupę skał, w któréj, jak prorok wskazywał,
W zaczarowanym zamku niewidomym,
Od tylu wieków sen więził dziewicę.
Księżyc tymczasem promyczkiem znikomym,
Srébrzył mu pancerz, tarczę i przyłbicę.
Czasem przyświécał połyskiem mierzchnącym,
To znów rozmroczon, zajaśniał jak wprzódy,
Lśniąc na stalowym puklerzu błyszczącym,
Jak na zwierciadle kryształowém wody.

III.

Ciągle tak czuwał. — Nie raz mu się zdało,
Gdy Księżyc kurhan zaklęty pobielał,

Że coś go w oczach, nagle przetwarzało,
Że coraz w inne kształty się przewcielał;
Że ciężkie głazy, szczerbate opoki,
Łagodząc, piękrząc groźne swe kontury,
Przeistaczały się w zamek wysoki,
W gmach niebotyczny, przepysznéj struktury.
Lecz, ledwie żywiéj serce mu zabiło,
Już wyobraźni płonącéj widziadło,
Wciąż przekształcając się, pozór mieniło,
Aż gdzieś w przestworach malejąc przepadło.
Była to złuda, jak owa, co mami,
Gdy w gorejących — w samotnéj komnacie,
Głowniach ogniska, widzimy czasami
Jakichś twierdz, wieżyc, zwodnicze postacie.
Złuda! — bo, nocą, w poświacie miesiąca,
Rankiem, w przedświtu tęczowych pryzmatach,
Dniem, w złotych blaskach palącego słońca,
Wieczorem, w cudnych zachodu szkarłatach,
W mgłach, w światłach, w słocie, czy w porach [pogodnych,
W zimie, na wiosnę, w lecie, czy w jesieni,
Nic tym opokom kształtów ich przyrodnych
Ani odmienia, ni kiedy odmieni.

IV.

Czasem wdrapywał się na sam szczyt wzgórza,
Choć ledwie znojom ciężkim tak podołał;

Niekiedy krążył w około podnóża,
Lecz nigdzie, nigdzie, dojrzeć nic nie zdołał.
Tylko, gdy na te poszarpane skały
Patrzał zdaleka, to sterczące wysoko,
Tak się pozornie w twierdzę przekształcały,
Że jak na jawie, widziało ją oko.
Wszelako rycerz badał ciągle, badał;
Nie sypiał; o sen nie troszczył się wcale,
Jak i o jadło, bo nie wiele jadał;
Pragnienie gasił w krynicznym krysztale.
Całémi dniami błądził po kurhanie,
A gdy powietrze wieczór zbyt oziębiał,
Nie na spoczynek, ale na czuwanie,
Nie raz się w grotę podziemną zagłębiał.
I jak pobożny pustelnik, żarliwie
Modlił się długo, by mu jaki święty,
Ubłagan prośbą, dopomógł szczęśliwie,
Rozbić dziewicy czar ten, czar przeklęty.

V.

Wtém księżyc twarz swą welonem zasłonił,
I jeszcze smutniéj po niebiosach kroczył;
Szalony wicher tabun chmur przygonił,
I je jak wachlarz, w półkole roztoczył.
Rozhukan strumień, ulewą gór wzdęty,

Pędzi po głazach, pioruny wciąż walą,
I nim na ziemi zdruzgocą co w szczęty,
Błyskawicami w obłokach się palą.
Roland się schronił do swojéj jaskini,
Bo nikt z śmiertelnych nie dotrwałby burzy.
I tam, samotny, w straszliwéj pustyni,
Gorżką zadumą orkanowi wtórzy.
Wreszcie, rozmarzon wodospadów szumem,
Pluskiem potoków, świstami wichury,
Miotan i własnych gorżkich myśli tłumem,
Zapadł powoli w jakiś sen ponury.

VI.

Wówczas usłyszał dźwięk, straszny, złowrogi,
Przerażający dźwięk, zwłaszcza w ustroni,
Z któréj, prócz wilków, ile starczą nogi,
Każdy ucieka, gdzie go trwoga goni.
Roland drgnął także, z posłania się zerwie,
Dźwięk ten raz wtóry w uchu mu zabrzęczał;
I tak dwanaście-kroć, w miarowéj przerwie,
Jak pogrzebowy dzwon, dziko zajęczał.
Jakież wrażenie piérwsze męża było,
Gdy go usłyszał? — nie czerniąc mu sławy,
Jako poeta, acz mi to nie miło,
Wyznaję prawdę: wrażenie obawy!

VII.

Jednak, wrażenie to, wkrótce, niegodne,
Pierzchło, zacniéjszém zwalczone uczuciem;
Podniósł więc dumnie czoło swe pogodne,
Bohatérskiego porywu poczuciem.
Rycerskość, miłość, nadzieja, odwaga,
Wszystko to w sercu zakipiawszy społem,
Tak się potężnie w niém co raz rozmaga,
Że wypadł z groty z obliczem wesołém,
Ale tak nagle, że jeszcze do koła
Knieje, wąwozy, opoki i góry,
Odbitém echem o twarde ich czoła,
Dźwięków tych grzmiały posępnémi chóry.
Bo niesłychany odgłos ten, falując
Z echami wkoło, aż ku Glaramarze,
Aż do Grisdalu wyżyn dolatując,
Skonał zaledwie w Derewentu jarze.

VIII.

Ogłuszon rycerz, nie ruszając kroku,
Wlepił wzrok w pomrok; burza już mijała,
Wiatr tylko swiszcząc, szalał po gór stoku,
Jeno rzeczułka w dolinie szalała.
Wówczas to nagle, coś, wprost ku północy,
Jakimeś czarem, niebo rozjaśniło,

I nad Legbertem, na całunie nocy,
Meteoryczną lampę zawiesiło.
Rzekłbyś, wóz jakiś czerwono-płomienny,
Na którym Szatan z dworca piekielnego
Wyjeżdża w podróż, na przegląd codzienny,
Gdzieby dokonać czynu djabelskiego.
Złowrogie światło kuli, jak kaskada
Rumieniąc góry, lasy i opoki,
Jaskrawą łuną, co raz niżéj spada,
Aż błysnął wąwóz doliny głęboki,
I wnet horyzont rozwidniał od razu.
Lecz jakże straszne zaszły w nim odmiany!...
Od wód przéjrzystych, do czarnego głazu,
Czerwieniał, jakby krwią zafarbowany.

IX.

Wigilją jeszcze, zachodzące słońce
Na szczytach opok wieszało promienie.
Skał tych zarysy w blaskach jego lśniące,
Na nurty rzéki rzucały swe cienie.
Cóż teraz De Vaux w świetle meteoru,
Bacznie wpatrując się, widzi zdumiały?...
Jakieś zamczysko groźnego pozoru,
Gmach jakiś dziwny, niezwykły, wspaniały,
Wieże, wieżyczki, okopy, krużganki;
Na jednych wieżach sztandary rozwite,

Na wieżach drugich ząbkowane blanki;
Wokół olbrzymie palisady wbite.
To już nie złuda!... płynąc po obłoku,
Meteor chwilkę nad gmachem zawisnął;
Wówczas on, męża zdumionemu oku,
Całym przepychem potęgi swej błysnął.
Lecz w miarę jak się meteor oddalał,
Pochodem wolnym, groźnym, uroczystym,
Zamek zmieniając kształty, coraz malał,
Wreszcie znikł całkiem gdzieś w tumanie mglistym.

X.

Roland z pieczary wyleciawszy pędem,
Gonił na oślep spreżystémi kroki.
Co bądź napotkał, przesadzając rzędem,
Krzaki, strumienie, łomy drzew, opoki.
Lecz jeszcze drogi nie ubiegł połowy,
Cudowne światło za górą się mroczy,
I nagle cienie, jakby kir grobowy,
Zaćmiły wszystko wkrąg, choć wykól oczy.
Zniewolon stanąć, śmiało w róg uderzył;
Donośny trąby dźwięk mu odpowiedział.
Może to rogu głos tak echo szerzył:
Nadstawił ucho, na pewno nie wiedział,
Choć mniemał że te metaliczne dźwięki,
Nad dziwnym zamkiem długo jeszcze drgały,

I że orężne straży nocnéj szczęki,
Z wałów go z niémi wraz dolatywały.
Dzielny Triermain zatrąbił raz wtóry,
Teraz już nic mu nie odpowiedziało.
Złaman ulewą i burzą natury,
Do wschodu słońca błąkał się noc całą.
Wówczas ów zamek kunsztownych rozmiarów,
Co tak olśniewał go, znikł gdzieś bez śladu,
Tylko na szczycie góry i śród jarów,
Stérczą skaliska rzucone bez ładu.

XI.

Jednak nie zachwian w swém postanowieniu,
Roland znów pilnie dolinę przebiega.
Lecz dniem i nocą jak i przy ocknieniu,
Nic prócz kurhanu i skał nie dostrzega.
Wreszcie gdy księżyc, na nowiu, w niebiosach,
Odmłodził czoło swoje takie smętne,
Gdy blask jutrzenki o złocistych włosach,
Gasi połyski jego tak ponętne,
Mgła jakaś ciężka w dolinie się zbiéra,
Kłębiąc się gęściéj u podstawy skały.
Nagle, jak przypływ morski kiedy wzbiera,
Tuman ten, srebrne swe podnosząc wały,
Kamienistego obwija olbrzyma.

Rzekłbyś, spojrzawszy na to widowisko,
Osłupiałémi z podziwu oczyma:
Guślarka krepą obsłania zamczysko!

XII.

Podmuch łagodny marszcząc rzéczki wody,
Zadąwszy silniéj, i gąszcz mgły rozwiewał.
Wówczas Triermain oglądał jak wprzódy,
Znów ten sam obraz co go tak zdumiewał.
Tuman ten wichrom zrazu się opiérał,
Lecz gdy wiatr szarpał fałdy płaszcza jego,
Przez każdą szmatę rozdartą, przeziérał
Gotycki zarys zamku cudownego.
Łuki, arkady wieżyczki, frontony,
Filigranami pod niebo strzélają.
Spiesz się, rycerzu! spiesz, nieustraszony!
Zanim te dziwa znów nie poznikają!
Zuchwały Roland chyży i ognisty,
Jak na donośny dźwięk trąbki myśliwskiéj
Dziarski koń łowczy, mimo stok urwisty,
Pomknął jak strzała po drożynie ślizkiéj.
Ale nim dopadł do opok podnóża,
Zamczysko znów się w głazy przetworzyło,
I coś, szyderczo drwiąc, z każdego wzgórza,
Z wytężeń męża, piekielnie zawyło!

XIII.

Roland się wścieka...
— Jestżem więc igraszką
Jakiéjś djablicy, dla większego sromu
Pomiatającéj mną, jak nędzną fraszką,
Obłąkiwując zdaleka od domu?
De Vaux maż stać się zdobyczą niegodną
Piekielnych duchów, lub szatańskiéj panny?...
Precz mi! precz! — gardzę tą klichą wyrodną!
Miał on na sobie topor czworogranny,
Którego pyszne, czarne toporzysko
Cięte z hebanu, nie raz się pławiło
W krwi wrażéj Szkotów, gdy w boju zbyt blisko
Uderzał na nich nieprzepartą siłą.
Rycerz się cofnął, mierzy skałę — potem
Imając topor, cisnął nim jak z kuszy,
Kant granitowy ugodzon jak grzmotem,
Pod tytanicznym razem tym się kruszy.
Może ten straszny cios, pospołu z głazem
Zerwał i jakiś czar z groźnéj opoki?
Bo nagle cypel odrąban żelazem,
Lecąc w płomiennym pyle w jar głęboki,
Obala krzewy, drzewa, ryje lądy,
Wreszcie, na szczęty bryłą swą rozbitą,

Gruzem jéj, rzéczki zawalając prądy,
Wody jéj w inne przerzucił koryto.

XIV.

Gdy łoskot ucichł, Triermain zdumiony,
Ujrzał że odłam strącon z głazu szczytu,
Odsłonił szereg schodów wyżłobiony
Ślimakiem, w skale potężnéj z granitu.
Stopnie ich wiodły, szarym mchem pokryte,
Na grzbiet opoki; Baron jednym skokiem
Wbiegł nań — czar prysnął! uroki rozbite!...
I rycerz dostrzegł osłupiałém okiem,
Roztaczającą się wokrąg Dolinę
Świętego-Jana, i na niéj zamczysko—
Nie były to już łudzące mgły sine,
Ni meteoru dziwne widowisko;
Ale warownia posępna, milcząca,
Lecz zamek Gocki pyszny, rzeczywisty,
Którego, w blaskach wschodzącego słońca,
Wystrzelił kontur nader wyrazisty.

XV.

Arkadę ciemną głównych drzwi wchodowych,
Zabezpieczonych dwoma bastjonami,
Pięknszyło kilka wież filigranowych,

Ząbkowanémi ozdobnych blankami.
Acz już sześć wieków z górą upłynęło,
Tarczy rzeźbionéj nad nią na marmurze,
Niewiadomego dłuta arcydzieło,
Sześciuset-letnie ani tknęły burze.
Tylko wieżyca wschodnia, wystrzelona
Nad nią, padając całym swym ogromem,
Ciosem toporu świeżo obalona,
Zatamowała nurt rzéki swym łomem.
A zresztą, z ludzi jak i nawałnicy,
Urągał zawsze gmach ten niepożyty.
Na marmurowéj nad bramą tablicy,
Następny, groźny napis, był wyryty:

XVI.

NAPIS.

„Cierpliwość czeka dnia oznaczonego
Przez Przeznaczenie; wola wszystko łamie.
Rycerzu! ducha nieustraszonego!
Czuwałeś długo, a twe dzielne ramie,
Jak i twa stałość, społem dokonały,
Że starożytnych czasów gmach ten, wreszcie,
Pomnik przeszłości ten, tak okazały,
Możesz swobodnie obejrzeć nareszcie.
Śmiertelna ręka planu nie kreśliła,

Olbrzyma tego niezmiernych rozmiarów.
Ziemia to z łona swego wyrzuciła,
Wieże, wieżyczki te, potęgą czarów!
Na ich zaklęcia to — znaki mistyczne,
Na tajemnicze ich, wszechmocne słowa,
Na ich niezłomne pieczęcie magiczne,
Wyrosła cudem groźna ta budowa!
A więc ją opatrz: zlicz gdy chcesz, bastjony,
Szkarpy, krużganki, wieżyczki i wieże,
Ale powściągaj zapęd zbyt szalony,
I nie przekraczaj progu, radzę szczérze.
Lekkomyślnością byłoby złowrogą,
Szydzić z przeznaczeń w jawnym tak sposobie;
Siła i męztwo nic tu nie pomogą.
Więc patrz... i skądeś przybył, wracaj sobie!"

XVII.

— Takbym uczynił! odparł rycerz śmiele,
Gdyby mi członki starość już złamała;
Gdyby krew w sercu mém i w całém ciele
Skrzepła, jak woda mrozami stężała.
Lecz pokąd w żyłach mych gorąca biegnie,
I mnie rozpala jak Francuzkie wino.
Pokąd w mém ręku każdy miecz się zegnie,
Na takie groźby odpowiadam — drwiną!

Rzekł, i wstrząsł furtą — wnet rygiel odskoczył,
Na ordzawionych zawiasach drzwi jękły.
Ale, zaledwie straszny próg przekroczył,
I spiesznie pomknął dalej nie ulękły,
Dłoń niewidzialna, podwoje z pośpiechem
Zwarła, z głuszącym trzaskiem, jakby grzmotem,
Który natychmiast wibrującém echem
Sklepienia bramy odbiły z łoskotem.
— Łapka zapadła! rzekł; wilk pojman, ale
Na Lanereosta krzyż, przysięgam, czuję,
Kto zedrzeć skórę zeń zechce zuchwale,
Niech się pilnuje — o! niech się pilnuje!
Tak mówiąc głośno, lub mrucząc pod nosem,
Po stromych schodach, oświeconych blado,
Roland, popychan nieprzepartym losem,
Spuszczał się co raz niżéj pod arkadą.

XVIII.

Brama otwarta, nie strzeżona wcale,
Wiodła go prosto na dziedziniec wielki:
I wnet wystrzelił cały gmach wspaniale,
Jak i wykwintny szczegół jego wszelki.
Tu widzisz poczet komnat różnorodnych,
Wieżyc rozmiary także rozmaite,
A wszystkie kształtów, powiewnych swobodnych,

Koronką rzeźby misternie pokryte.
Lecz go od zamku dzieli jeszcze rzéka
Nader głęboka, nigdzie łodzi, mostu;
Co robić? Roland daremnie nie czeka,
Tylko się żwawo rozbiera po prostu,
Ściąga stalowy pancerz, szyszak ciska,
Zrywa ostrogi, rzuca hełm na zbroję;
Cały rynsztunek na ziemi połyska,
Acz go krwawiły wieloliczne boje.
Wówczas to wszystkie kształty męzkie jego,
W całéj piękności świetle zajaśniały.
Z oka jedwabną rzęsą oćmionego,
Wciąż błyskawiczne iskry się sypały.
Włos kruczy bujnie zwisa mu na szyję,
Z broni została mu jedyna szpada.
Bawoli kaftan jeno serce kryje,
Który mu niżéj nieco bioder spada.
Na tym kaftanie, gdzie nie gdzie czarnieją,
Nakształt plam, piętna odcisków puklerza.
Tak Roland de Vaux, podżegan nadzieją,
Przebyć wpław rzékę co rychléj zamierza.

XIX.

Już porze fale — dotarł już do brzegu.
Wkracza w przedsionek, wchodzi do komnaty.

I widzi w długim obrazów szeregu,
Szermy rycerzy zgasłych, zbiór bogaty.
Tu się w arenie, zwarli bojem wstępnym;
Słyszysz dźwięk trąbek zda się; tam w pieczarze,
Albo w pustkowiu jakiémś niedostępném,
Walczą olbrzyma; daléj, w dzikim jarze,
Rwą się z gryfami, lub ze wściekłym smokiem.
Broń niesłychana ich, jako i twarze;
De Vaux osłupiał, zdumion ich widokiem...
Jakież to boje? cóż to za mocarze?
W licach ich, rysy bohaterów dawnych,
Zgasłéj epoki — nawet ich nazwiska,
Acz je głoszono niegdyś w pieśniach sławnych,
Nikt nie odgrzebie z wieków grobowiska.
Czyny ich jednak, nie znane na ziemi,
Poświęcano w téj skrytce zagłady,
Aby odstraszyć przykłady groźnémi,
Zapamiętalców co biegą w ich ślady.
Rycerz wpatrywał się w te dziwa długo,
Potém na drugi koniec przeszedł sali.
Tam, trzy szerokie schody pod framugą,
Wiodły do komnat położonych daléj.
W grubych drzwiach, lśniącą kratą powleczony,
Czernił się otwór, wycięty u góry.
Roland, przez okno to. zaciekawiony,
Spojrzał badawczo w tajemnicze mury.

XX.

Gdzież jego bronie? — O! żaden z rycerzy,
Nie miał potrzeby ich, takiéj naglącéj!
Jakaś galerja gdzieś w głąb muru bieży,
Cała z marmuru białości rażącéj.
Cóż to za kontrast?... z obódwu stron wchodu
Po cztéry dziewic, czarnych jak hebany,
Afrykańskiego, płomiennego rodu,
Stały poważnie oparte o ściany.
Każda trzymała z nich na smyczy cieńkiéj,
Jak włos méj Łucji co z jéj skroni zwisa,
Przymocowanéj do krwawéj paszczęki
Tunetańskiego, wielkiego tygrysa.
Strój Afrykański ich, nago odsłaniał
Czarne jak węgle, kolana ich, łona,
A turban śnieżny czoła im przysłaniał,
Jak śnieżna krepa; krągłe ich ramiona,
Złote pierścienie, kraju obyczajem,
Na cudnych nóżkach i rączkach jaśniały,
Dłoń ich Afryckim groziła zagajem,
Z za plec wyglądał łuk, kołczan i strzały.
Tak nieruchome były i milczące,
Że Roland mniemał iż to są posągi,
Poprzetwarzane, acz tak ujmujące.
Na postrach, czarem, w groźne dziwolągi.

Ale zaledwie okienko skrzypnęło,
Osiem tygrysów, przewracając ślepie,
Straszne pazury, miaucząc, wysunęło,
Boki, ogonem wywijając, trzepie.
Węszy nozdrzami, i krwawym językiem
Wodzi po wargach spienionych — współcześnie
Afryki córy, pół jękiem, pół krzykiem,
Pieśń Maurytańską zawiodły boleśnie.

XXI.

PIEŚŃ MURZYNEK.

— Śmiałku, wracaj w swoje strony,
Dahomaja straszne czary!
Wracaj, co prędzéj, szalony,
Strzeż się zaklęć cór Sahary!

— Gdy wiatr piaski z ziemi zmiata,
Zaczynamy nasze tany!
Pył pustyni w górę wzlata,
Pląsem naszym wyrzucany!
Blady księżyc czoło chmurzy,
Gwiazdy mroczy całun mglisty,
Lecz nam, Afrykańskiéj burzy,
Nam, Sirocca miłe świsty!

— Gdzie gruz kolumn rozsypany,
Była Kartago; gród śliczny!
Jeśli Santon zabłąkany, (1)
Widzi obrzęd nasz mistyczny,
Modląc się za zmarłych szczérze,
Wróżąc koniec świata, woła:
Muzułmanie! na pacierze!
Błysnął już miecz Archanioła!

— Nuże węże i skorpiony!
Hydry bagnisk! nuż! w zawody,
Wszystkie plagi niezliczone,
Ciemiężące ludzkie rody!
Nuże nocne szargi, gromy!
Niewidome dżum poczwary!
Strzeż się! strzeż czarów Dahomy!
Strzeż pustynnych cór Sahary!

XXII.

Dźwięki téj pieśni odbite sklepieniem,
Spotęgowane twardémi marmury,
Drgały tam długo jeszcze tęskném brzmieniem
Ech, odrzuconych to z dołu, to z góry.
Triermain myślał:
— Gdy postanowiłem

Próbować szczęścia, w sprawie téj nie lada.
Najuroczyściéj, na krzyż, przysięgałem
Wytrwać do końca, co bądź los mi nada.
Tak!... między dwiema ostatecznościami,
Jestem jak widzę. Mieczem nie dam radę
Wściekłym tygrysom, pospołu z duchami,
Sprzymierzonemi na moją zagładę.
Lecz jeśli cofnę się w zamku zaparty,
Zginę niechybnie, z głodu i rozpaczy...
Ha! kiedy wszędy grób dla mnie otwarty,
Wybrałem! gdy być nie może inaczéj.
Tu cześć, tam hańba i krzywoprzysięztwo!
Zdjął z haku sztandar, i dobywszy szabli,
Wołając groźnie: precz niebezpieczeństwo!
Wkroczył zuchwale w przybytek ten djabli.

XXIII.

Wnet z każdéj strony jedna Afrykanka,
Wrzeszcząc, czarnémi wywija ramiony.
I z każdéj strony, jeden, jak pisanka
Pstry tygrys, mrucząc, wysuwa z łap szpony.
Roland prawego godzi mieczem w oczy,
Lewemu ciska chorągiew na szyję.
Gdy łeb roztrzaskan piérwszego krwią broczy,
Drugi uwikłan w fałdy, rwąc się wyje.
Inne tygrysy, rycząc, się miotają,

Ale dziewice je, pajęczą smyczą,
Jak łańcuchami, łatwo powściągają,
I rycerz przemknął pomiędzy tą dziczą.
Przebiegł korytarz, przeleciał drzwi wtóre,
A gdy zatrzasnął za sobą podwoje,
Pomyślcie jakie to huki ponure,
Rozniosły echa w milczące pokoje!
Ryki tygrysów, Afrykanek krzyki,
Wtórzyły długo temu łoskotowi;
Lecz raczéj były krzyki te i ryki,
Tryumfalnemu podobne hymnowi.

XXIV.

HYMN AFRYKANEK.

— Hurra! hurra! precz ze strażą!
Ujrzym znowu świat zwrotnika.
Precz ze słońcem z bladą twarzą,
Europa nie Afryka!

— Pięćset lat już słońce bieży,
Krążąc wokół tego gmachu.
Lecz z najtęższych nikt rycerzy,
Nie wkroczył do izby-Strachu!

— Bohatérze! chwała tobie!
Wyzwalasz nas twojém męztwem!

Niech ci szczęści w innéj próbie,
I tam opór twém zwycięztwem!

— Lećmy z wichry gdzie palące
Piaski Zwengy — Atlas góra!
Pod Afryckie nasze słońce,
Do Sahary! — Hurra! hurra!

XXV.

Pieśń ta magiczna ginęła w oddali,
Jakby w powietrzu dźwięk się jéj rozwiewał.
Bohatér z sali przebiegał do sali,
Ale nie znalazł kogo się spodziewał.
Spiesząc więc daléj, wkroczył do komnaty
Która tak była królewsko bogata,
Że zda się, zewsząd wiekami przed laty,
Ściągano do niéj wszystkie skarby świata.
W wnętrznościach ziemi zamalgamowane
Złoto z namułem, połysk jego ćmiącym,
Tu leżąc w sztabach, albo piętnowane
Stemplem królewskim, lśni blaskiem rażącym.
Daléj, olbrzymie pysznych sreber góry,
Bladły przy stosach klejnotów bez miary,
Jak księżyc w brzaskach przedświtu purpury,
Gdy słońce wbiega na niebios obszary.

Roland śród skarbów tych ujrzał zdumiony,
Cztéry dziewice z odległych klimatów.
Płeć ich miedziana, jak obłok czerwony,
Kąpan w potoku zachodnich szkarłatów.
W rękach trzymały koszyki palmowe,
Jedwabna siatka spływa im z warkoczy;
Każda prześliczną pochyliła głowę,
Spuszczając czarne, zadumane oczy,
Zapłata pyszne na piersiach ramiona.
Klękły — i pieśnią namiętną, serdeczną,
Tuląc rączęta do krągłego łona,
Sławiły bogactw tych wartość bajeczną.

XXVI.

Chór.

— Patrz na Merlina pyszne te zbiory;
Godne to wiano Artura córy!
Kąp się w tych skarbów morzu bezdenném,
Nie śnionych nawet w marzeniu senném.

Pierwsza Dziewica.

— Patrz na te słupy złota błyszczące!
To samorodne złoto! — Tysiące
Lat, może wieków, przyrody siła,
Z gliny i mułu, w ziemi je myła.

Król by przed niémi ukląkł z pośpiechem,
Święty by dla nich zmazał się grzéchem.

Druga Dziewica.

— Perły te w morzu długo leżały;
Łzy to, co niegdyś Najady lały,
Które Trytony na głębiach fali,
W emaljowane konchy składali,
Gdzie z czasem w bryłki zatwardły lśniące,
Jak Amfitryty ząbki błyszczące.

Trzecia Dziewica.

— Może barw żywszych wolisz okazy?
Masz! oto pyszne, żółte topazy,
Oto rubinów cudne purpury,
A tam szafirów śliczne lazury.
Daléj chryzolit, nęcący oczy,
Co te kolory w sobie jednoczy.

Czwarta Dziewica.

— Porzuć kamyczki te, blasku mdłego,
A spójrz na moje.—To, co innego!
Lecz przysłoń dłonią oko ciekawe,
Bo dijamentów światło jaskrawe,
Jak słońce, kto się go wzrokiem czepia,
Karcąc zuchwalca śmiałość, oślepia.

Chór.

— Panie! w tych skarbach czerp garścią całą;
Oby ich nigdy Peru nie miało!
Peruwjanie by w takiéj oddali,
Niedoli kraju nie opłakali!

XXVII.

De Vaux, by czasu próżno nie marnował,
Wręcz im odmówił; o dar nie dbał wcale.
— Wstańcie! uprzéjmie chyląc się, zawołał,
Puścić mnie proszę, bo mi pilno daléj.
Niech te kléjnoty lśniące ozdabiają
Blaskiem swym, śliczne, jak wy, gołębice,
A wasze rzéki złota, zalewają
Nienasyconą Londynu dzielnicę.
Mnie tylko czasem nieodzowne złoto,
Na kupno miecza, kolczugi, rumaka,
Pokrycie zbroi, paiży, pozłotą,
Lub wyzłocenie ostróg i szyszaka.
Tak odrzekł smętnym Indjankom wykrętnie,
Rycerski Roland nieznający strachu;
I ukłoniwszy się im obojętnie,
Spiesznie na dalszy pobiegł przegląd gmachu.

XXVIII.

Słońce południa prawie już dobiega,
Roland spragniony, a bardziéj rozgrzany,
Słucha — szmer jakiś miły się rozlega,
Obwieszczający obecność fontany.
Wreszcie w dziedziniec wkroczył kwadratowy,
Pośród którego, sprężyście, wysoko,
Pyszny wodotrysk, snop wód kryształowy
Wyrzucał w górę, jak sięgało oko.
Na lewo, prawo, patrząc przez portyki,
Ujrzał wspaniałe aleje, uliczki,
Miljony kwiatów, cieniste gaiki,
A wprost przed sobą, Gockie, niskie drzwiczki,
W stylu poważnym, wiodące, jak mniemał,
Do spokojnego umarłych siedliska,
W którém trup jakiś może wieki drzémał,
Zatraconego dla świata nazwiska.

XXIX.

Roland odpoczął chwilkę dla ochłody,
Zgasił pragnienie, obmył twarz płonącą.
Potém wpatrywał się w lśniący pył wody,
Zawieszon nad nim tęczą latającą.
I uległ zwolna owemu wpływowi,

Co chwyta duszę, gdy w tęsknéj zadumie,
Zbyt przysłuchując się długo szmerowi
Liści i wichrów, utonie w ich szumie.

XXX.

Często w marzeniach, pół zwarta źrenica,
Dostrzega jakieś widziadła mistyczne.
Zda się, Ondyny w poświacie księżyca,
Wiodą z Dryady pląsy eteryczne.
Tworyż to jeno wrzącéj wyobraźni,
Owe dziewice, czy też Nimfy leśne?
Które Triermain widzi najwyraźniéj,
Acz tak powietrzne, niby nie cielesne?
Idą, stanęły trwożliwie — znów chyżéj,
Splótłszy, jak siostry ramiona, podskokiem
Wybiegły z gaju, przystępują bliżéj,
Ku zdumionemu de Vaux ich widokiem.
Znów zatrzymały się, niepewne siebie;
Jakże w obawie ich coś ponętnego!
Zdają się szeptać: „Pragniem ująć ciebie,
Ale nas naucz jak dokonać tego.“
Płeć ich wygrzaną Kandaharu słońcem,
Nikły rumieniec czerwienił czasami,
Kibić ich gibka — kruczy warkocz lśniącym
Rantuchem zwisa ponad ich stopami.
Złocisty *hennach*, obyczajem Wschodu,

Barwi paznokcie rąk zaokrąglone;
Sumah, natęża blaski ócz, od młodu
Farbując brwi ich, jak sierp zakrzywione.
Welon gazowy białości śnieżystéj,
Przykrywa lekko krągłe ich ramiona;
Wstydliwość rzekłaby, że mniéj przéjrzystéj
Przezroczystości, winna być zasłona;
Bo choć i tak już wyjawia zbyt wiele,
Dotknięcia wdzięków tych, drażniąc pragnienie,
Zda się przyrzekać, zaręczając śmiele
Dać jeszcze więcéj, więcéj nieskończenie!

XXXI.

— Cny rycerzu! rzekły społem,
Spocznij w trudzie! niech uderzy
Każda z nas przed tobą czołem,
Bo ci słusznie to należy!
Miłość wsparła twą prawicę,
Że przemogłeś Strach w téj próbie.
Słuchaj! — my jéj niewolnice,
Ale my sprzyjamy tobie!

— My nie mamy stosów złota,
By cię, kląkłszy, darzyć niémi.
Nie dźwigniemy *javelota*,
Ni *zagai*, dłońmi mdłémi. (2)

Lecz jak mówią, za to mamy
Z pereł zęby, szafir w oku;
Mówią, że i zabijamy,
Najstraszliwszą bronią wzroku!

— Spocznij z nami, zostań z nami,
Wielki gościu i kochany!
Obsypiemy cię kwiatami,
Zaprowadzim do altany,
I zaprosim na biesiadę,
I popłynie wino strugą,
I potańczym tobie rade,
Do północy, długo! długo!

— Wówczas któraś z nas wybrana,
Zawiedzie cię do pościeli,
I zostanie aż do rana,
Aby budzić cię nie śmieli.
A gdy chętka jakaś zbierze,
I do czegoś więcéj, panie,
To wyznasz jéj tylko szczérze,
A wnet ziści twe żądanie.

XXXII.

Nie potępiajcie, proszę, zbyt surowo
Junaka mego; wszakże on nie święty.

Nie mógł więc sercem, ani nawet głową,
Odepchnąć wstrętnie wszystkie te ponęty.
Okrążon zewsząd Syreny takiémi,
Tę w twarz całuje, tamtym gładzi łona,
Nader uprzéjmie gwarzy ze wszystkiemi,
A wymykając się zręcznie z ich grona
— Cudne piękności! rzekł, bądźcie mi zdrowe.
Żegnam was! — ale biedz muszę w swą drogę.
Przebaczcie mi więc łaskawie, odmowę,
Bo zwami dłużéj pozostać nie mogę.
I znikł im z oczu, lecz słyszał zdaleka
Miłe, wzajemne dziewic pożegnanie:
— Bądź zdrów rycerzu! i spiesz, gdzie cię czeka
Godna nagroda za takie kochanie.

XXXIII.

Roland znów wkroczył pod jakieś sklepienie
Na pół zapadłe — droga kręta, ślizka;
Wkrąg rozpostarły się tak gęste cienie,
Że nie mógł dojrzeć nic a nic i zblizka.
Miasto słonecznych promieni rzeźwiących,
I ożywczego balsamu powietrza,
Mgła, rozpływając się w falach cuchnących,
W około niego wszystko zapowietrza.
A te wyziewy złowrogo błyszczące,

Krwawym odblaskiem podziemnych pożarów,
Wskazują jeno jeziora gnijące,
W jakichś otchłaniach niezmiernych rozmiarów.
O! jakże-b wolał Roland z tygrysami
Walczyć na zabój — niż w tém zadżumioném
Oparzelisku, zaduszony mgłami,
Zapieczętować śmiałość, może skonem!
Twierdzą bardowie nawet, że żałował
W jamie téj wilczéj, lasku i altanki,
W któréj bezpiecznie-by tak przenocował,
Obok prześlicznéj, wybranéj Azjanki.
W tém obok niego zagrzmiał marsz bojowy;
A gdy ucichły melodyjne dźwięki,
Usłyszał nagle, z krzepiącémi słowy
Wesołą nutę rycerskiéj piosenki.

XXXIV.

PIEŚŃ RYCERSKA.

— Piastunie chwały! któremu roczniki,
Wzniosą wspaniałe posągi, pomniki,
Jakaż cię czeka nagroda!
Podżegan z młodu bohaterskiém męztwem,
Zapanuj wolą nad niebezpieczeństwem,
Niech Duma bodźca ci doda.

Kto chce na górę wdrapać się urwistą.
Niech kolanami i dłonią sprężystą,
Pnie się, acz krwawią boleśnie.
Bo taki tylko, w nagrodę swych trudów,
Bo tylko taki, dokonywa cudów,
O jakich pieszczoch i nie śni.

A więc nie cofaj się, choć na twéj ścieży
Tysiące cierni w około się jeży,
Los, drwiąc, niedbalców znieważa.
Chwytaj dar przeto który ci nastręcza,
Bo po Królewsku za to on odwdzięcza,
Tym, których zawód nie zraża.

XXXV.

Głos umilkł — Rycerz spiesząc ku téj stronie
Zkąd go usłyszał, dostrzegł schody, drzwiczki;
Schody wykute w granitowém łonie
Opoki, wiodły w górę do wieżyczki.
Zaledwie przebiegł kilka kroków daléj,
Ujrzał, orzeźwion, niebo nad głowami,
Nakoniec wkroczył do przepysznéj sali,
Przyozdobionéj wszędy trofeami.
W izbie téj cztéry dziewic, stojąc rzędem,
Odziane całkiem w purpurowe szaty,

Wnet powitały go z Królewskim względem,
Ledwie przestąpił próg złotéj komnaty.

XXXVI.

Córy to były, zda się Europy.
Piérwsza z nich Nimfa Galji, pod zasłoną
Niby powagi, zdradzała pochopy
I ową lekkość, Francuzkom wrodzoną.
Druga Hiszpanka, z oczyma czarnémi,
Jak tusz warkoczem, spokojna i dumna.
Germanka trzecia, z włosyma jasnémi,
Alabastrowa, zimna i rozumna.
Trzy te dziewice trzymały w swém ręku,
Glob, symbol władzy, berło i koronę.
Czwarta za niémi, oparta na łęku
Misternéj lutni, czoło zamyślone;
Dziécię to Anglji! — strój na niéj kapłanek,
Dawnych Druidek, aż do ziemi sięga;
W śnieżnéj jéj dłoni drży laurowy wianek,
Włosy jéj splata lazurowa wstęga.

XXXVII.

Trzy pierwszych dziewic klękło, a oddając
Godła mocarze, onemu rycerzowi,
Berło, koronę, płaszcz; i zaręczając

Wierność podległych nowemu królowi;
Ofiarowały mu spore dzielnice,
Powyznaczane dla Artura córy.
Roland z uśmiechem patrząc na dziewice,
Odrzucił grzecznie wszystkie te splendory.
— De Vaux, zawołał, woli, i o wiele,
Rozpuszczać krwawe po Szkocji zagony,
Łamać się z wrogiem, na czele rot, śmiele,
Niż najwspanialsze przepychy i trony.
Woli stokrotnie być wolnym szermierzem,
I bujać wszędy swobodnémi loty,
Sprzymierzon sercem z godnym go rycerzem,
Niż nieoględny rząd kraju — nie cnoty.
To rzekłszy chciał już minąć dziewic grono,
Gdy nagle, jakby z zachwytu ocknięta,
Piastunka lutni z twarzą rozognioną,
Uderza w struny, i arfa dotknięta
Biegłémi palcy, budząc śpiące tony,
Brzękła jakiemiś nie ziemskiemi dźwięki,
Które z melodją śpiewaczki natchnionéj,
Zlały się w akord nie ziemskiéj piosenki.

PIEŚŃ.

Czwartej Dziewicy.

— Drżyjcie wieżyczki i niebotyczne
Wieże, tysiącem flag nastrzępione.

Niech waszych sklepień echa rozliczne,
Dzwonią stąpaniem męża zbudzone.

Duchu strzegący czarów Merlina,
Słyszałeś stukot groźnych tych kroków!
A więc uciekaj, bo to nie drwina!
Do twéj dziedziny z poza obłoków!

O! to bohatér! lew nic ugięty!
Przebył on izbę-Strachu bez trwogi,
Zwalczył potworne Dumy ponęty,
Rozkosz, Bogactwo, cisnął pod nogi!

Drżyjcie bastjony, wieżyce, wieże,
Wspaniałe baszty, harde sklepienia!
Teraz już nic was, nic nie ustrzeże,
Bo to Ginethy chwila ocknienia!

XXXVIII.

Podczas jéj śpiewu, rycerz krocząc daléj,
Wszedł do komnaty blado oświeconéj,
Bo promyk dzienny mdło wnikał do sali,
Purpurowémi firanki przyćmionéj.
Takiémi barwy błyszczą i gór stoki,
Gdy zapadając za horyzont słońce,
Gasnącym blaskiem zachodnie ich boki

Złoci ostatnie szląc im światło gońce.
Ustroń ta oko znawcy czarowała,
Arcydziełami cudów przerozlicznych.
Sztuka magiczna to ponatwarzała,
Wszystkie te dziwa w kształtach tak prześlicznych.
Śpią niby, zda się: zajączek pod miedzą,
Rogaty jeleń w cienistéj gęstwinie,
I drobne ptaszki co na prątkach siedzą,
I wielkie orły w gniazd swoich wyżynie.
Lecz mogłoż jakie dłuto, malowidło,
Zwrócić Rolanda myśl rozpłomienioną,
Gdy ujrzał nagle, pieścideł pieścidło,
Córę Artura, na tronie uśpioną?
Zdumienie, trwoga, gniew, dawno to znikło
Z twarzy téj cudnéj i cudnego czoła;
Bo ona spała spokojnością zwykłą,
Uśmiéchniętego spokojem Anioła.
Zda się, że wielki czarodziéj żałując
Wyroku swego nader okrutnego,
Błogiémi mrzonki słodził jéj, czarując
Męki snu tego, pięciuset letniego.

XXXIX.

Młode dziewczątko to, strój ten łowczyni,
Nagie te stopki, śnieżnéj tak białości,
Pióro to orle, piękność ta bogini,

Tron ten wyrzeźbion ze słoniowéj kości,
Stwierdzały prawdę Lyulpha opowieści.
Jeszcze Vanoca krew broczy jéj szatę,
Jeszcze jéj śliczna rączka w dłoni pieści,
Berło Artura Króla tak bogate.
Jeszcze jéj warkocz, zerwawszy perłowe
Skręty, falami z pod jéj siatki spływa,
Na krągłe łono jéj alabastrowe,
Które w połowie pasmem swém przykrywa.
Spioszka tak była cudną, tak ponętną,
Że Roland przeklął wszystkie snów ekstazy,
Któremi niegdyś, duszą swą namiętną,
Sniąc wywoływał niby jéj obrazy.
Stał nieruchomy, ramiona skrzyżował,
Potém splótł dłonie, szczęśliwy, drgający,
Nie wiedząc jakby odegzorcyzmował
Sen ten żelazny, pięć wieków trwający.
A gdy Gynetha, wznosząc niespodzianie,
Zwolna powieki, oczy rozmrużała,
Krzyknął przerażon:
— Jezus — Marja! Panie!
Boże mój! sprawcie, aby mnie kochała!

XL.

Rycerz kląkł — ujął dziewicę za rączkę,
Tuli w swych dłoniach, całuje ogniście;

Berło wypada, czuje w ciele drżączkę,
A w tém błysnęło, grom ryknął siarczyście.
Gynetha wstrzęsła się, ocknięta grzmotem;
Wieże kołyszą się, wieżyczki walą,
Mury pękają z straszliwym łoskotem,
Zanim się z strzaskiem piorunu obalą.
Wkrótce ponury zamek runął w szczęty.
Lecz pod osłoną skał, z których dźwignięto
Z takim wykwintem, ogrom ten zaklęty,
Sztuką prostaczkom nigdy niepojętą,
Piękna Księżniczka, z odwiecznego czaru
Wyswobodzona kochanka ramieniem,
Poczerwieniała jak kwiat nenufaru, (3)
Zaróżowany jutrzenki promieniem.
Czoło rycerza pociechą jaśniało,
Dyadem zdobił mu wdzięcznie wiérzch głowy.
Tyle to jeno z cudów tych zostało;
Śliczna Gynetha, i wieniec laurowy!
Lecz któryż rycerz szczytniéjszéj nagrody
Pragnie, za wszystko co kiedybądź zdziała,
Jak gdy doń szczérze, za bój i zawody,
Społem uśmiechną się: Miłość i Chwała?

Epilog.

Gdy piękność trudy męztwa uwieńczy,
Stygnie minstrela zapał młodzieńczy,
Łucjo wiesz o tem — milknie więc nagle,
Zwijając natchnień tęczowe żagle.
Bo było-b może nieco za wiele,
Przedmiot wyczerpać do dna zbyt śmiele.
A więc i pieśni téj kochankowie,
Powiedzmy zwięźle to, w jedném słowie,
Wnet się pobrawszy, po krótkich swatach,
Jak nie raz zdarza się w poematach,
Żyli statecznie długo i błogo,
Uszczęśliwieni rodziną mnogą,
Któréj, po latach wielu, co mieli,
Oddali w pysznym spadku, weseli.
Wiedz jeszcze Łucjo, że, jak wieść niesie,
I dziś, gdy pielgrzym zbłądzi w tym lesie,
Czy to wieczorem, rankiem, czy nocą,

Często mu jakieś wieże migocą,
Wdali rysują dzikie kontury,
Niby zamczyska jakiegoś mury,
Który wystrzela na skał wyżynie,
W smętnéj Świętego-Jana Dolinie.
Nikt, od Rolanda jednak dzielnego,
Nie wkraczał nigdy do gmachu tego;
A może tylko to widmo senne.
Które rozwiewa wnet światło dzienne.

Patrz Łucjo, jak się powóz nasz toczy,
Noga za nogą, po téj uboczy.
Spójrz i na sługi, co drwiąc, się cieszą,
Że brniemy po tych krzemieniach pieszo,
Dziwiąc się może co nas tu mami,
Gdy słońce gaśnie już za górami.
Tak to gmin każdy myśli potrosze;
Pojmując jeno życia rozkosze,
W ucztach, przepychu, — innego nie chce.
Bo mu grubego zmysłu nie łechce.
A nawet, nawet, i w wyższéj sferze,
Iluż to ilu, wyznawszy szczérze,
Woli radostek nędznych poziomy,
Nad te przyrody cudne ogromy!
Ale my, Łucjo, będziemy zawsze,
Lubić zachodu blaski jaskrawsze,

Gór dyademy z gęstych mgieł wite,
Po nad ich czoła pionowo wzbite.
Łąki kwiatami emaljowane,
I gajów rosy balsamowane.
Lecz polubilibyśmy nierównie
Więcéj ją jeszcze, gdyby wymownie,
Które z nich prawdę nam powiedziało,
Co się i u nich kiedyś tam działo.
Może ich także niegdyś przygody,
Natchnęły bardom pyszne rapsody,
Którzy pragnęli, jak ja, w téj próbie
Niby to bając, tak coś, at sobie,
Pod przezroczystą fikcji pokrywą,
Wskazać moralność nagą, prawdziwą.
Lubić ich nigdy nie przestaniemy,
A jeśli czasem i podziębniemy,
Podwiani nieco chłodem wieczoru,
Co nas przenika skądeś z za boru,
To moja Łucja w ciepłém odzieniu,
Oparta na mém silném ramieniu,
Zapragnie może, choć ją to nuży,
Podobnéj znowu do téj podróży.

KONIEC.

PRZYPISY.

PRZYPISY.

WSTĘP.

1). Podrzeźniacz, żartowniś.

2). *Collins*, wedle *Johnsona*, lubił wielce owe ułudy wyobraźni, pociągające nas daleko po za obręby rzeczywistości. Roił on o czarownicach, genjuszach, olbrzymach, potworach; chętnie błądził po gmachach zaklętych, przeglądał przepych złocistych pałaców, marzył przy wodospadach Elizejskich ogrodów, i t. d.

PIEŚŃ PIERWSZA.

1). *Triermain* była lenność Baronji *Gilstandu*, w Cumberlandzie; w czasie podboju należała ona do rodziny Saksońskiej.

2). Jedno z najszérszych przéjść wiodących z Cumberlandu do Westmorelandu. Nazwę swą

winien on grobowcowi, wzniesionemu, wedle podań, pamięci *Dunmaila*, ostatniego Księcia Cumberlandu.

3). *Krągłym-Stołem Penritha*, nazywa się okop kolisty, o pół mili od Penrithu. Obwód jego wynosi sto sześćdziesiąt kroków; i ma dwa wyjścia wprost na przeciw siebie urządzone. Ponieważ miejscowość tę opasuje zewnątrz rów obwodowy, zdaje się że była ona przeznaczoną na popisy jazdy raczéj, w dniach uroczystych, niż na obronę, tém bardziéj, że i na okalających ją stopniach, rozsiadali się widzowie.

4). Nad rzéką Camont, powyżéj Krągłego-Stołu Artura, na wzgórzu przezwaném *Majburg* znajduje się dosyć przestronne zamknięcie, niezmiernie starożytne, obwarowane mnóztwem kamieni. U stóp tego kurhanu, stérczy głaz dwanaście stóp wysoki. Mówią że podobne mu dwie bryły zniszczono. Głaz ten dotąd widziany, pomnikiem jest, jak twierdzą Druidycznym.

5). Małe jeziorko *Scales-Tarn*, tak głęboko zapadło wewnątrz góry *Saddle-Back*, albo, poetyczniéj, *Glaramary*, tak zewsząd osłonięta jest od słońca, tak wiekuista noc wciąż je pokrywa, że nawet o samém południu, gwiazdy błyszczą na jego powierzchni.

6). *Caliburn*, nazwa miecza Króla Artura; nazywano go także *Escalibarem*.

7). Król Artur urodził się w zamku *Tintadgel*, w Hrabstwie Kornwalji.

PIEŚŃ DRUGA.

1). Podobnego coś, o ile przypominam sobie, zdarzyło się i pewnemu dawnemu Królowi Duńskiemu. Czarę w któréj podano mu truciznę, dziś jeszcze mówią, przechowują w Muzeum Królewskiém w Kopenhadze.

2). „Dostrzegamy wówczas, mówi *Hutchinson*, *Dolinę Święto-Jańską* wąziutką, okoloną zewsząd wysokiémi góry; środkiem niéj płynie strumień górski. W części przestronniéjszéj nieco téj kotliny, uderzają wzrok zwaliska zamczyska, wzniesionego na szczycie sporego kurhanu. Okrążają go góry w półkole. Potężne szańce te zdobią rozmaite wieże. Oko rozróżnia łatwo galerje, łuki, arkady. Architektura ich sięga najodległéjszéj starożytności, a okoliczni mieszkańcy przedpotopowym je mianują zabytkiem.“

„Gdy przybysz chce się bliżéj im przypatrzeć, odwodzą go zwykle od tego, twierdząc, że skoro podéjdzie, Génjusz, ustroniem tém władnący, odéjmie im wszelki urok nagle. Dolina ta wygląda w istocie, na przybytek nader dlań właściwy. Przepaściste jéj wgłębienia, złego ducha zdają się siedzibą. Prze-

konaliśmy się wkrótce że nas nie uwodzono. Gmach ten tak poważny, wspaniały, zmieniał ciągle pozory, w miarę jak podchodziliśmy ku niemu. Nakoniec ujrzeliśmy tylko stosy skał tu i owdzie wyrzuconych, oderwanych od stoków gór stromych, które kształtem przypominały tak jakieś zamczysko, że przezwano go *Castle-Bocks* Świętego Jana."

Wycieczka na Jezioro Hutchinsona; k. 121.

3). Artura mianując pogromcą Saksonów w dwunastu krwawych bitwach, przyznają mu wszystkie świetne czyny przywiedzione w tekście.

4). Wszyscy ci rycerze znani są, mniéj więcéj, z powieści o Królu Arturze i Okrągłym-Stole. Wybitniéjsze ich rysy znajdziemy w romansach odnoszących się do owych czasów, w których obyczajem minstreli, do każdego z ich imion przydano jakiś epilet. Naprzykład w balladzie o *Małżeństwie Sir Gavaina*:

„Sir *Lancelot* i *Zuchwały Stephen*, dnia tego dosiedli rumaków w gronie kilku innych; *Kapitan Kaye* jechał na ich czele."

„Za niémi udali się: *Sir Canier* i *Sir Bore*, a także, *uprzéjmy Garath*, społem z *pięknym Tristramem*, zabiegli do *Zielonego-lasku*."

5). Posłuchajmy co o tych stosunkach mówi *Richard Robertson*, mieszczanin londyński:

„Jak piękność Królowéj *Guenewry*, żony Króla Artura, dowiedzioną jest dostatecznie, o obyczajach jéj głoszono nader wątpliwie. W istocie radbym, o ile zdołam, oszczędzać cześć dobrego imienia kobiéty, lecz prawda historyczna nakazuje mi wyznać, że starożytni pisarze ją potępili. Zwalczać taką powagę nie ośmielam się na oślep.“

Zdanie o Królu Arturze, Richarda Robertson. Druk Johna Wolfa. Londyn, 1582.

Dwóch wierszy ostatnich nie ma w oryginale; dodałem je, bo w istocie zdumiewająca to stałość.

6). „Za czasów ojców naszych, gdy Papizm, jak zatęchłéj wody jezioro, zaléwał całą Anglję, nie wiele było książek pisanych w naszym języku, prócz kilku, przezwanych księgami rycerskiémi, które czytano tylko dla przyjemności, dla zabicia czasu po prostu. Księgi takie pisali, jak twierdzą, próżniacy zakonnicy, i Kanonicy rozwięźli, jak naprzykład następną, pod nazwą: *Śmierć Artura.* Główne zajęcie książki téj, płynęło z dwóch źródeł: mordów jawnych, i wyuzdanych obyczajów. Mówi ona, że najszlachetniéjsze rycerstwo zabijało wielu ludzi bez najmniejszych powodów, i rozpasywało się na najsromotniéjszą rozpustę: Jak Sir Lancelot, z żoną Króla Artura, swego pana;

Sir Tristram, z żoną Króla Marka, swego stryja; Sir Lameroke, z żoną Króla Lote, która była rodzoną jego ciotką. Śliczne przedmioty, godne ludzi mądrych! A jednak nie wątpliwe to, że w owych czasach Biblję wyrzucono z dworów, a Śmierć Artura znajdywano u wszystkich Książąt."

Ascham, Bakałarz.

7). Patrz pocieszną powiastkę o *Chłopcu* i *Płaszczu*, w 3 t. *Zbioru Starożytnych Poezji*, *Pereyego*, z Bretońskiego, lub Normandzkiego oryginału, która Arjostowi, jak twierdzą niektórzy, natchnęła *Czarę Zaczarowaną*.

8). Z Irlandji, Szkocji i Anglji.

9). Alluzje do podróży do *Gretna-Green*.

Gretna, albo Gretna-Green, wieś w Hrabstwie Dumfries, o dziesięć mil Szkockich od miasta téjże nazwy, położona na prawym brzegu *Sarku*, ku wschodniéj kończynie zatoki Solway, mieszkańców ma 1900. Uderzają w niéj zwaliska wielkiéj świątyni, któréj budowę przypisują druidom, i szczęty wież czworogrannych, wzniesionych zapewne, dla obrony granic.

Wieś ta, pierwszą jest miéjscowością zaludnioną, wkraczając w dzielnice Szkockie, gościńcem wiodącym z Anglji do Edymburga. Wsławiona ona małżeństwami dziewic Angielskich, poślubiających tam kochanków, bez wiedzy rodziców. Śluby te są prawne, nierozerwane,

byleby dowiedzione było że kochanek wykradł pannę, czyli że poprzedził ją, lub towarzyszył jéj na ową schadzkę. Sześćdziesiąt, lub siedmdziesiąt małżeństw, kojarzy się tam co rocznie, wedle rytuału Kościoła Anglikańskiego; i chociaż świadkowie, za znaczną opłatę, legalizujący podpisem swym związek, ulegają kilkodniowemu więzieniu, za przywłaszczenie powagi kapłańskiéj, nowożeńców uznają wszelako za prawnie połączonych, bo wedle Statutu Szkockiego, dostatecznie uprawnia małżeństwo pewna liczba świadków.

Małżeństwa Szkockie odbywały się niegdyś z prostotą dowodzącą pierwotną czystość obyczajów ludu. Przyszli nowożeńcy stawali przed starcem, oświadczając mu społem, że pragną cię poślubić. Starzec, wysłuchawszy przysięgi sankcjonował ją swą powagą. Anglicy na długo przed Szkotami, przyjęli ceremonjał kościelny, i niejednokrotnie kochankowie aby go ominąć, umknąwszy do Szkocji, łączyli się tam zwyczajem krajowym. Droga z Carlisle do Dumfries, jako najbardziéj uczęszczana z Anglji, a wieś Gretna-Green najpierwsza w Szkocji, miéjscowość ta stała się przeto najdogodniéjszem zbiegowiskiem dla mitrężonych kochanków, i taka była potęga zwyczaju, że wreszcie stało się prawem.

Dom biały, którego barwa wyróżnia nader z niewielkiéj liczby go otaczających, ma nie-

śmiertelny przywiléj przetwarzać się, w potrzebie, w świątynię Hymenu. Właściciel, traktjernik i kowal zarazem, jest jéj arcykapłanem. Ogranicza się on na wydaniu aktu kochankom, świadczącego o ich zeznaniu wzajemném. Pobłaża on po ojcowsku nieposłuszeństwo to prawu i nie pyta nowożeńców nawet zkąd przybyli. Dom jego winien był, zda się, otwierać jeno dla szaleńców, zazierali doń przecież i ludzie nader poważni. Któż może się ustrzedz od łez, od boleści, a kiedy słabość ludzka ma swą świątynię, nie dziw że szuka tam przytułku.

WSTĘP

DO

PIEŚNI TRZECIEJ.

1). *Ben-Cruach*, albo *Cruachan-Ben*, góra w Hrabstwie Argyle, wznosząca się między jeziorami *Ave* i *Etive*. Wysokość jéj dosięga 150 sążni nad poziom oceanu; podstawa jéj ma przeszło 7 mil obwodu.

2). Dolina zaręczyn.

PIEŚŃ TRZECIA.

1). *Santon*, kapłan Muzułmański, jak *Derwisz Safis Fakir*.
2). *Javelot*, *zagaja*, dziryty Afrykańskie.
3). *Nenufar*, roślina morska, lilja wodna.

SPIS.

WIDZENIE
DON RODERYKA

Poemat

WALTER-SCOTTA.

JOHNOWI WHITMORE, ESQ:

i

Komitetowi Składkowemu

NA WSPARCIE OFIAR PORTUGALSKICH,

Którego on jest Prezesem,

POEMAT TEN,

Napisany na korzyść tychże ofiar,

Poświęcam z czcią

WALTER-SCOTT.

Przedmowa.

Poema następne usnułem na tle legendy Hiszpańskiéj, któréj szczegóły znajdziesz w przypisach. Legenda ta twierdzi, że Roderyk, Gotcki Król Hiszpanji, podczas najazdu Maurów, zstąpił zuchwale do starożytnego podziemia w pobliżu Toledu którego podwoje uważano za złowrogie dla monarchji Hiszpańskiéj. Podanie dodaje, że Króla ukarała za niewczesną ciekawość, przepowiednia symboliczna o najazdzie Saracenów, którzy w 714 roku, zwarłszy z nim walkę na zabój, podbili Hiszpanję. Zamierzyłem dociągnąć roczniki przewrotów Półwyspu do obecnéj chwili, dzieląc je na trzy epoki, zmianami ich widowni. Pierwszy cykl przedstawia najazd Maurów, prośbę i śmierć Roderyka, a kończy się spokojném zajęciem zdobytych dzielnic przez zwyciężców. Drugi perjod obejmuje czasy podbojów Hiszpanów i Portugalczyków, w Wschodnich i Zachodnich Indjach, gdy oręż ich najświetniéj rozsławił się, acz ćmiły chwałę jego

zabobon i okrucieństwo. Alluzja do mąk Inkwizycji, zamyka ten okres. Trzecia część poematu przedstawia stan Hiszpanji przed niesłychaną zdradą Bonapartego, uwydatnia kilkoma rysy usiłowania jego przywłaszczenia kraju, a kończy się przybyciem posiłków Angielskich.

Należy może nadmienić, że celem poematu tego jest raczéj przedstawienie ożywionego obrazu rozmaitych epok, występujących na widowni dziejów, niż drobiazgowe szczegóły pojedynczych czynów.

Pojmuję doskonale szacunek dla publiczności, zwłaszcza pisarza, zaszczyconego tylokrotnie jéj względami, abym poważył się tłómaczyć usterki poematu, niedorównywającego wielkości przedmiotu. Ośmielam się wszelako napomknąć, że pracując pospiesznie nad dziełem, budzącém w pewnéj tylko dobie zajęcie, zadanie me nielitościwie pokrzyżowały kolejne śmierci: Lorda prezesa *Blairda*, i Lorda Wice-Hrabi *Mellvilla*. Obu tych nieboszczyków, opłakałem nie tylko że tak byli dla Szkocji potrzebni, lecz że jeszcze opiéka ich szlachetna, ułatwiwszy mi, uprzéjmie tak, pierwszy mój wstęp do życia, późniéj, wyznaję to z dumą i boleścią, załączyła mię do grona ich przyjaciół. Następstwem tedy przerw takich, wiérsz mój, który i w najpomyślniéjszych nawet warunkach, nie podołałby nigdy zadaniu, wiersz mój, sam to wyznaję, koszlawi się nadér często. czego w okolicznościach innych, możebym uniknął.

Edymburg, 24 Czerwca, 1811.

WSTĘP.

Quid dignum memorare tuis, Hispania xerris,
Ver humana valet.

Claudien.

I.

Gdzież jest harmonja, coby natchniona,
Śród wrzawy boju wzniośle zagrżmiała?
Czyż już na wieki wieków, i ona
Z arcy śpiewakiem Troi skonała!
Pieśń téj potęgi, w brzmiącym tak tonie,
Nie zagłuszona oręża szczękiem,
Przez oceany, o Wellingtonie!
Płynąc, dzwoniła-b ci szczytnym dźwiękiem!
I pod zenity niebios wzlatując,
Ze zwycięztw Anglji wieścią szczęśliwą,
Rozniosła-b na świat cały, zwiastując
I Luzytanów zemstą straszliwą.

II.

O! tak wysokiéj harmonji tony,
Wibrując dźwiękiem szczęścia, czy bolu,
Zgmatwane w akord nie wysłowiony,
Drgały-b na krwawém Mendrya polu,
W wrzasku zwycięźców, w płaczu zelżonych
Niewiast, na zgliszczach chat szlochających,
W okrzykach jeńców z pęt wyzwolonych,
W jęku wieśniaków uciekających,
W mruku zbitego nieprzyjaciela,
Pierzchającego z cudzego domu,
I w narodowym hymnie wesela,
W obec strasznego wroga pogromu!

III.

Lecz dziś, niestety! któryż z minstreli
Co się natchnieniem bardów nadyma,
Wyśpiewać taką pieśń się ośmieli,
I czy podoła jéj, czy wytrzyma?
Hiszpanjo! ty nam w obecnéj chwili,
Rzucasz przedmioty, godne genjuszy,
Którzy twe imię by rozsławili,
Wygrzaną pieśnią w płomiennéj duszy.
Godne Miltona, Homera godne,
Tych epopei szczytnych mocarzy!

Lecz naszych wieszczków plemie odrodne,
Niech o téj chwale próżno nie marzy.

IV.

Posępne góry! których jaskinie
Obrońców Szkocji przechowywały;
Zdroje co szmerem nurtów w dolinie,
Do snu po bojach ich kołysały.
Nic że już u was nie pozostało
Z hymnów Druidów, którzy wieczorem
Czyny rycerzy wieńczonych chwałą,
Na wzór dla młodzi sławili chórem?
Wówczas Cattrethu ług brżmiał donośnie,
Lutni Merlina nutą magiczną,
I białowłosy Llywarch rozgłośnie
Roznosił pieśni w dal okoliczną. (1)

V.

O! jeśli jeszcze wasze samotnie.
Z dawnych tych pieśni coś przechowują,
Jak wasze wichry, niejednokrotnie
W szumach swych, zdaje się, to wskazują,
Łagodnym szmerem, dzikiémi świsty,
Udając dźwięki trąb, lub bardonu.

To niech wasz jaki dawny, ognisty,
Hymn tryumfalny wzniosłego tonu,
Rozpali iskrą minstrela łono,
Co zawsze święcie czcił wasze imie,
By dorósł, duszą rozpłomienioną,
Do wysokości waszéj, w tym rymie.

VI.

Nigdy on dotąd, jeśli nawiasem,
Szukał w poezji trosk zapomnienia,
Nie żebrał Bogów, ni Muz, by czasem
Błogosławiły jego natchnienia.
Rymy swe rzucał on obojętnie,
Na wszystkie wiatry, pochwał nie błagał;
A gdy witano je dosyć chętnie,
To i tych względów się nie domagał,
I dziś was wzywa nie dla swéj chwały;
Mniéjsza że imie piewcy zaginie!
Lecz nieśmiertelnie niech na świat cały
Bohatér jego w pieśni zasłynie!

VII.

Cyt!... Słuchaj bardzie! z góry omglonéj
Odrzekł głos:

— Lutni twéj romantycznéj
Chwilowa wziętość — w chętce szalonéj,
Naśladownictwa werwy epicznéj,
Wnet się rozwieje, jak roztrzepana
Podmuchem wichru, kolumna dymu.
Lecz jeśli łechce cię, niezrównana
Bohatérskiego potęga rymu,
Nie nauczymy cię sławić wojny;
Minęły wieki, jak nasze skały,
Gdy w doły nasze wpadał huf zbrojny,
Szczękiem oręża, dźwiękiem trąb grzmiały.

VIII.

— Dawne legendy giną z latami,
Zaledwie czasem, z jakąś drużyną
Tańczących Sylfów po nad kwiatami,
Spotka się dziéwcze, gdzieś pod tarniną.
Lub przy cudownêm źródle Minchmoru, (2)
Zaledwie czasem pasterz sędziwy,
Dla ożywienia nudów wieczoru,
Poważnie jakieś wyplata dziwy,
Których, prócz ciebie, nikt już nie słucha,
O jakichś łotrach, co nad Teviotem,
Tweedą, bywało gdy północ głucha,
Wszystko grabili, kradli pokotem.

IX.

— Nie! idź do kraju, gdzie gorejące
Słońce się pławiąc w eterach czystych,
Leje na ziemię blaski rażące,
Potopem świateł swych płomienistych.
Gdzie wieśniak, rymem improwizując, (3)
Sławi Olalji ócz dijamenty,
Warkocz z hebanu, w duszy swéj czując
Wezbrany zapał natchnienia święty.
Lub osłupiony Groema czynami (4)
Na Maurytańską nutę, dla gminu,
Opiewa klajmor Szkocki wiérszami,
I krwią ociekłe miecze Erinu.

X.

— Spiesz do okolic, gdzie krzemienisty
Groźnéj Nevady szczyt niebotyczny,
Wieńczy dyadem śniegu srébrzysty;
Gdzie Muzułmanów pomnik prześliczny,
Cudna Alhambra, Wschodu przepychy
Roztacza z dumą; gdzie Toled stary,
Którego wieże, w uczuciu pychy
Wróg ponastrzępiał swémi sztandary,
I zkąd ukradkiem, wzrok patrioty
Zaczajonego, po polach goni,

Czy sprzymierzonéj odsieczy roty,
Nie rozwijają się już na błoni.

XI.

— Tam, z tego ognia, co niegdyś płonął
W synach Numancji sercu i oku,
I dziś potomek ich nie ochłonął;
Ta sama duma, wspaniałość kroku!
Iberjo! jeśli, świętéj pamięci,
Zgasła już chwała rycerstwa twego,
Nie raz wazale, zgrozą przejęci,
Widząc Hidalga pierzchającego,
Na polu bitwy zostawszy sami,
Coraz ściskali się w gęstsze szyki,
Aż je pokryli swémi trupami,
Wznosząc wieczyste sobie pomniki!

XII.

— Lud ten nie zmienny, ma swe powieści,
Najszczytniéjszego godne natchnienia;
Ma swe proroctwa, cudownéj treści,
Dziwne legendy, wielkie widzenia,
W których Arabski genjusz, pomału
Wsiąkając w dziwa Gotckich utworów,
Dostarczyć może ci materjału,

Do najwznioślejszych poezji tworów.
Tam idź, to znajdziesz, czego daremnie
Szukasz tu!
Tak rzekł głos gór — więc wołam:
— Słuchając ciebie, duch wstąpił we mnie,
Lecz czy zadaniu memu podołam!?

WIDZENIE
DON RODERYKA.

I.

Wznosząc swe pyszne, niebotyczne szczyty,
W blasku księżyca, w bezchmurne błękity,
Wieże Toledu, i dzwonnice jego,
Zdają się wzlatać z jeziora szklannego.
Cień ich posplatan, w pomroku zanurza
Smętarz, leżący tuż u ich podnóża.
Nic nie zamąca, nie budzi z uśpienia,
Uroczystego nocy téj milczenia.
Wszystko spoczywa, lub cieniem nakryte,
Albo w promieniach księżyca spowite;
Wszystko, prócz Tagu, którego prąd rwisty,
Oceanowi szle haracz wieczysty.

Lecz, prócz mruczącéj ciągiem Tagu fali,
Czasem gdzieś jeszcze rumak zarży w dali,
Lub tętent kopyt końskich posuwisty,
Zamąci spokój ten tak uroczysty,
Gdy hufce czujne Roderyka jazdy,
Krążą w około nocnémi objazdy.
Bo nieprzéjrzana gęstéj mgły zasłona,
Ulatniającéj się wciąż z Tagu łona,
Przykrywa całkiem pyszne pawilony,
Tkaniny złote, jedwabie, galony,
Mnogie sztandary wkrąg obozowiska,
I broń co w świetle księżyca połyska.

III.

Lecz odkąd dzwony posępne klasztorne,
Wezwały wiernych na modły wieczorne,
Młodzi rycerze, którym powierzono
Czuwać nad królem i jego obroną,
Nakształt posągów, czarami zaklętych,
Ani ruszyli się z miéjsc im wytkniętych.
Lecz odrodzeni od Gotów, swych przodków,
Miasto przyłbicy, maczug, ostróg, podków,
Mieli wykwintne miecze szmelcowane,
I hełmy świetnie złotem nabijane;

A ze słoniowéj kości ich sajdaki,
Przetrzymywały srébrzyste temblaki.

IV.

Z całą pustotą niesfornéj swawoli,
Drwiąc z Króla, że ich długo stać niewoli,
Nielitościwie wyśmiewali szczérze,
Zbyt uciążliwe monarsze pacierze.
— Co! rzekli, Rodryk będzież bez ustanku,
Spowiadać grzéchy do samego ranku?
Skrucha głęboka tak, pokuta, płacze,
Czyż mu to wszystko, myśli, wykołacze
Ciężkich win jego przeszłych odpuszczenie,
Jak i zniewagi Flory przebaczenie? (1)
I każdy wzrokiem wschodnie niebo pyta,
Czy rychło na niém jutrzenka zaświta.

V.

Tymczasem w głębi świątyni téj cudnéj,
W olbrzymiéj nawie jéj, ciemnéj, bezludnéj,
Sam Arcybiskup — przestrachem złamany,
Słuchał spowiedzi Króla niesłychanéj.
Lampa, jedyny świadek téj rozmowy,
Rzucała w mroki połysk księżycowy.
Roderyk, acz mu kurczyło się lice,

Jąkał, przerażon, owe tajemnice,
Które na resztę zbrodzień wyznać musi,
Gdy mu śmiertelna trwoga serce zdusi,
I gdy sumienie nie może inaczéj
Zakląć, szarpiącéj je wściekle rozpaczy.

VI.

Nikłe światełko lampy wprost padało,
Na twarz Prałata, głowę jego białą,
Lecz rysów Króla, chociaż czoło jego,
Nie miało zgoła pokrycia żadnego,
Niktby nie dostrzegł, tak je umiejętnie
Dłoń i fałd płaszcza osłaniały skrzętnie.
Bo wywlekając ciężkie swe przewiny,
Z taką odrazą, z duszy swéj głębiny,
Dumny pokutnik nie chciał by ktoś z boku
Dostrzegł, w postawie jego, licu, wzroku,
Obawę, albo zgryzotę grzesznika,
Niegodne pra-pra-wnuka Alaryka.

VII.

Im bardziéj Król się przed starcem wynurzał,
Tém więcéj smutek czoło mu zachmurzał,
I Rodryg rzutem ręki, albo głowy,
Kończył, co nieśmiał dopowiedzieć słowy.

— Tak, rzekł Król, zginął Witiza niegodnie, (²)
Lecz nie myśl bym ja spełnił i tę zbrodnię!
O! samolubstwo, gdy winy swe broni,
Często je kłamstwem podłącém przysłoni.
— Wierz raczéj, dodał, że to ostateczność,
Nieubłagana przeznaczeń konieczność,
Ów zachowawczy szept, nękał mię skrycie,
Zginiesz sam, jeśli nie wydrzesz mu życie.

VIII.

— A jeśli Flora, czemuś przerażona,
Przywoływała ojca jak szalona,
Nieobecnego ojca — jeśli łkając
Padła mi do nóg, litości błagając,
Strzeż się, mój ojcze, mówię ci to śmiało,
Nudzić mię jakąś wymówką zuchwałą!
Pozory mylą, a zręczne kobiety,
Umieją pokryć żądze swe, niestety!
Lecz tu sumienie jego, z oburzeniem,
Zaczerwieniło mu twarz krwi strumieniem.
Umilkł — a prałat w wezbraniu zapału,
Tak doń surowo rzekł z konfesjonału:

IX.

— O! żelaznego rodu Roderyku,
Zakamieniały zbrodniami grzeszniku!

Jakież jałmużny, pokuty czy posty,
Od słusznéj Boga zasłonią cię chłosty?
Gdzie spojrzeć, mordy same, same zdrady:
Czémże zmyć, powiedz, plam takich szkarady?
Jakże wymodlić łaski dla zbrodniarza,
Drwiącego z przestępstw swych, w obec ołtarza?
Chyba Przedwieczny, miłosierdzia cudem,
Opóźni pomstę, zlitowan nad ludem,
Nie chcąc, by kaźniąc pasterza krwawego,
Zginęła społem i owczarnia jego!

X.

Rozdrażnion taką Roderyk zniewagą,
Zakipiał całą wściekłą swą odwagą.
— Zgoda! rzékł hardo, niech krew się krwią maże,
Zdrada sromotna niechaj zdradę karze,
Gwałty niech gnębi gwałt, w strasznym odwecie!
Lecz gdzież te plagi, radbym wiedzieć przecie?
Rozwiąż logogryf mi ten zawikłany,
Bo ci zapewne, klucz od niego znany.
Prowadź mnie w owe podziemia tajemne,
Gdzie, jak legendy prawią jakieś ciemne,
Mocarz Hiszpański, będzie mógł, bez trudu,
Przéjrzyć koleje losów swego ludu. (3)

XI.

— Nieszczęsny Książe, poskrom twe zachcenia,
Na co ci wglądać w mroki przeznaczenia?
Albo przynajmniéj, odwlecz chwilę ową,
W któréj masz ziścić wyrocznię wiekową.
Pomnij, że drzwi tych zaklętych podwoi,
Nie przekraczali poprzednicy twoi,
Że się otworzą, aż — wedle podania,
Za ostatniego Króla panowania.
Tak! ostatniego, i w ostatnim roku,
Gdy państwo jego z Bożego wyroku,
Podnurtowane w podwalinach zdradnie,
Zemstą niebieską, w gruzy się rozpadnie.

XII.

— Monarsza wola nie znosi przygany;
Prowadź mnie księże!
Starzec zadumany,
Wziąwszy klucz ciężki i knot zapalony,
Wprowadził Króla w przedsionek sklepiony,
I galerjami, to krętym przesmykiem,
Wiodąc go, stanął przed dawnym portykiem.
Gdy zrozpaczony Król klucz w zamek wkłada,
Tysiąc piorunów na katedrę spada.

Dwakroć zatrzymał się, i bez pamięci
Dwukrotnie znowu w zamku klucz zakręci,
Aż rygle jękły, zawiasy skrzypnęły,
I drzwi się nagle z trzaskiem odemknęły.

XIII.

Była to jakaś komnata wzniesiona,
Szeroka, długa, ostro zasklepiona;
Łuki, posadzki, i ściany do góry,
Zdobiły czarne jak heban, marmury;
Marmury pysznie wypolerowane,
W nieznane pisma, rzeźby dłutowane.
Światełko wątłe, blade, jak jutrzenki,
Posępnie izby rozjaśniało wnęki.
Lecz trudno było znaleść mu przyczyny;
Nigdzie najmniejszéj szpary ni szczeliny,
A jednak Rodryg widział doskonale,
Cuda o jakich i nie marzył wcale.

XIV.

Na straży, przy drzwiach, jak widma grobowe,
Stały dwa straszne posągi bronzowe,
Wzrost ich olbrzymi, postawy potworne,
Na czołach złote korony wytworne.
Rzekłbyś, na kształt ich patrząc i na twarze,

Przedpotopowych Tytanów mocarze!
Jeden z nich kosą uzbrojon był długą.
Drugi podpierał się ciężką maczugą.
Tamten, wywinął skrzydła swe wysoko,
Jakby chciał wzlecieć — ten, dumał głęboko.
Oba się zdali jakby wyciosani
Z granitu, dzicy i nieubłagani.

XV.

Złowrogie oko prawego olbrzyma,
Wciąż na klepsydrę patrzy, którą trzyma
Brat jego lewy; za każdą minioną
Chwilką, zaglądał w przed nim rozłożoną
Żelazną księgę, streszczającą dzieje
Wszystkich upadłych ludów, i koleje
Przeróżnych dawnych państw poobalanych,
Jak i ich królów losów opłakanych.
Po nad głowami pary téj, wysoko,
Czytałeś napis, wyryty głęboko:
„*Czas z Przeznaczeniem*, zgodnie z Bożą wolą,
Rządzą wiekami świata tego dolą.“

XVI.

Tymczasem piasek coraz wolniéj ścieka;
I im ziarn więcéj z klepsydry ucieka,

Marszcząc straszliwie lice, olbrzym prawy
Wznosi maczugę swą nakształt buławy.
Maczuga silném dźwignięta ramieniem,
O mur najwyższy, pod samém sklepieniem.
Uderza wściekle z tak strasznym łoskotem,
Że jakby nagle odwalony grzmotem,
Odłam marmuru, w gruzy się rozpryska,
Wnet przedstawiając nowe widowiska,
Które śmiertelnym strachem, bez litości,
Mrożą w Rodrygu krew do szpiku kości.

XVII.

Widzi przez szczerbę. jak w sennych marzeniach,
Całą Hiszpanję, w przedświtu promieniach;
Jakby mistrz wielki, w przepysznym okazie,
Kraj odmalował na jednym obrazie.
Tu zamki, grody, groźna jakaś *sierra*, (4)
Posępne cienie w okrąg rozpościera,
Tam niezmierzona błoń, w odblasku słońca
Roztacza pyszne zielenie bez końca;
Dalej winnice i oliwne gaje,
Przez które biegą wężykiem ruczaje;
Na prawo, ciemne, niebotyczne bory,
Na lewo, rzéki płynące w przestwory.

XVIII.

Jak na arenie igrzysk starożytnych,
W przeróżnych strojach postaci wybitnych,
Przeciągających różnobarwnym tłokiem,
Tak zdumiewały widzów swym widokiem;
Podczas gdy muzyki czarowne brzmienia,
Potęgowały jeszcze ich wrażenia.
Tak i przerażon Rodryg niewymownie,
Widzi przed sobą straszliwą widownię,
A na niéj zbrojne szeregi bez liku,
Przesuwające się w bojowym szyku,
Którym niekiedy, śród grobowéj ciszy,
Także dźwięk jakiś groźnie towarzyszy.

XIX.

A naprzód był to wrzask rozpaczający,
Dziki, kobiéty gorzko szlochającéj;
Rodryg go poznał, zimny pot wytrysnął,
Zbladł, strach mu serce jak kleszczami ścisnął.
Temu wrzaskowi, co go tak odurzył,
Huk bębnów, kotłów, natychmiast zawtórzył,
I okrzyk Tecbir! Lelie! jakby grzmotem, ([5])
Odbiło echo pieczary z łoskotem.
Rodryg nie czekał by mu kto tłómaczył
Coby ów okrzyk, wrzask ów, coby znaczył.

— Maurowie! wołał, i chwilki nie rońcie!
Maurowie! dzwonić! dzwonić! na gwałt dzwońcie!

XX.

— Idą już! idą! — Arabskie turbany
Bielą wybrzeże, nakształt morskiéj piany!
Do tych hord dzikich pustynie Sahary,
Poprzyłączały i swoje sztandary.
Allah! Mahomet! — hasła ich szeregów;
Grób albo Koran! — nie ma tu wybiegów!
Cóż to za wrzawa? — Ha! chrześcjańskie woje,
Dobywszy miecze, spieszą wskok na boje;
I już widm hufce, wściekłą walką zwarte,
Rwąc się, falują, parte i odparte.
A teraz, Boże, i Święty Jakóbie,
Pogrążcie wroga w wieczystéj zagubie!

XXI.

Bisurman przemógł, rozpuszcza gonitwy, (6)
Wódz chrześcjan piérwszy umknął z pola bitwy.
Nędznik! zawrócił gwałtownie rumaka,
I gnany strachem, pędzi lotem ptaka.
— Cóż to? Orelja!.. tak! to klacz ma biała,
Tyś z pola walki wszak nie uciekała!
Lecz patrz! jak łotr ten ostrogą ją ściska,

By się wdzierała na strome urwiska.
Oby grom Boży!... patrz! patrz! — jak umyka!
Roztrzaskał głowę tego nikczemnika!
— Stój! krzyknął prałat, bo powiadam tobie,
Tyś jest tem widmem, we własnéj osobie!

XXII.

W tém nagle rzéka potężna, dostrzega,
Tamuje odwrót Królewskiego zbiega,
Król się wytęża przebyć ją zuchwale,
Lecz go połknęły społem z koniem fale,
Jak nędzną łódkę rybaka, gdy nocą
Morskie bałwany o głaz ją zdruzgocą!
Wkrótce zaleli kraj Arabscy męże,
Jako szarańcza co się u nich lęże;
I Izmaela synowie z zapałem,
Darząc się dzielnic zdobytych podziałem,
Wnet zagarnęli je na swe dziedzictwo,
A lud mógł wybrać: śmierć, lub niewolnictwo.

XXIII.

Wówczas haremy gmachów Muzułmańskich,
Tysiące dziewic pożarły Chrześcijańskich.
Wówczas to wino — cudna kastyllanka,
Dla niewiernego niby jéj kochanka,

Acz ją gnębiła duma jéj głęboka,
Lała w puhary, wbrew prawom proroka.
Wówczas w świątyniach, rękoma zbrodniarzy
Wyrwane krzyże runęły z ołtarzy.
Majestatyczne chorały organu,
Zagłuszył Fakir pieśnią z Al-Koranu,
A ruchy korne pobożnych pokłonów,
Zastąpił taniec szalonych Santonów.

XXIV.

Cóż na to Rodryg?... Drżał jak nędznik w strachu,
Gdy ujrzy pożar domu swego dachu,
Który, na czarném tle nocy ponuréj,
Wznosi się słupem straszliwéj purpury,
A w okrąg słyszy wrzask dziatwy spłakanéj,
I widzi wzrok ich zgrozą obłąkany.
Gdy mu sumienie wyrzuca rozpacznie,
Że sam tę klęskę sprowadził niebacznie.
I klnie niebiosa, klnie ziemię i siebie,
Czekając rychło w gruzach się zagrzebie,
Bo acz dach stoi jeszcze, czuje z trwogą,
Że mu już ludzie, ni Bóg nie pomogą.

XXV.

Wtém olbrzym z kosą klepsydrę obrócił,
Zmierzch na ten obraz ciemny płaszcz zarzucił.

Wrzawa wojenna tak roznamiętniona,
W górach Asturji co raz milknąc, kona.
Miasto niéj, dziwny dźwięk jakiś się szerzy,
Wywołan pląsem Arabskich tancerzy.
Wszędy po kraju, niezwykłémi gwary,
Brżmią ożywionych targowisk bazary.
A na turniejach, Wschodu obyczajem
Maur ciska dziryt, wywija zagajem.
Wieczorem znowu, z ganków minaretów,
Iman na modły wzywa do meczetów.

XXVI.

Tak się zakończył piérwszy obraz sceny,
Nim zajął drugi widownią areny,
Siarczane dymy, ćmiąc promienie słońca,
Zaległy teatr od końca do końca.
Czasem je płomień błyskawic przeszywał,
Którym tak groźnie jakiś huk przygrywał,
Że Rodryg myślał, iż djabłów legjony,
Znowu bój z niebem zwodzą zrozpaczony.
Wojna to, strasznym, nieznanym językiem
Dawnym szermierzom, trętwi takim rykiem!
Tchnieniem jéj były: dym i błysk rażący,
A mową, piorun wnet wybuchający.

XXVII.

Mrok się rozjaśnia, i za jednym razem,
Darzy wzrok nowym Hiszpanji obrazem.
Chrześcjanie dawne dzierżawy odbili,
I Księżyc znowu przed Krzyżem się chyli.
Gdzie spojrzeć wznoszą się gmachy klasztorne,
Wszędy olbrzymie świątynie wytworne.
Pustelnik, ścisłem zjednoczon przymierzem,
Rządził Hiszpanją spółcześnie z rycerzem.
Oni to oba, oba oni, społem,
Byli przez wieki jéj Stróżem-Aniołem.
Ten zwie się *Męztwo*, zdobi go zbroica,
Tamten *Fanatyzm*; na nim włosiennica.

XXVIII.

Męztwo, jak niegdyś szermierz przed wiekowy,
Od stóp straszliwie uzbrojon do głowy,
Rwący się gwałtem ku jakiéjś przygodzie,
Miecz swój zanurzył w mroźnéj Ebru wodzie.
Nad jego hełmem, prostopadle wzbita,
Z orlich piór pyszna kołysze się kita.
Z Afrykańskiego lwa skóra, u łona
Ściągnięta klamrą, kryje mu ramiona.
Stąpa zuchwale, jakby rad spróbować,
Zkimby mógł mieczem swoim się skrzyżować.

Jego towarzysz z zadumaném okiem,
Szedł za nim, marząc, ociężałym krokiem.

XXIX.

Duma po licu Męztwa wciąż się błąka,
Wskazując jak go na wylot przesiąka,
Ciągle on sławi ród swój, czyny, chwałę,
Godność, znaczenie, stosunki wspaniałe;
A jednak ksiądz ów, ów mnich bosy, lichy,
Tysiąckroć więcéj ma od niego pychy.
A jak najwyższy dąb, wątłémi pręty
Bluszcz okręcając, obwija w swe skręty,
Tak najwznioślejsze dusze, mnich niecnota,
Tajnémi swémi podstępy omota.
Mędrzec, wojownik, piérwsi dostojnicy,
Składali społem hołdy włosiennicy.

XXX.

Tak to bohatér ów potężnéj dłoni,
Co nawet Królom nigdy się nie kłoni,
Co na igrzyskach, turniejach, gonitwach,
Zawsze zwyciężał, jak w najkrwawszych bitwach,
Bo odkąd zakuł się w blachy pancerza,

Wszystko gruchoce na cobądź uderza;
On nawet, gnąc się przed anachoretą,
Nie śmiąc mu w oczy wypowiedzieć *veto*,
Na jego rozkaz, na lada skinienie,
Roznosi mordy w świat i spustoszenie,
Poprzedzon chwałą i rozgłośném męztwem,
Jak rozsławioném również okrucieństwem.

XXXI.

Nieraz go okręt, żaglami skrzydlaty,
Zanosił w jakieś, nieznane mu światy,
W których rankami wpiérw niż u nas dnieje,
A jasno wieczór, gdy u nas ciemnieje.
Wkrótce, wydarte krajom tym grabieże,
Wróciwszy, składał mnichowi w ofierze.
Jako Potozi cenny kruszec złoty,
Berło Kacyków, Amrasu kléjnoty,
Albo bałwany złote, krwią zbryzgane,
W pysznych świątyniach pogan rabowane.
Mnich na nie patrząc chciwém okiem burem,
Z cicha uśmiechał się pod swym kapturem.

XXXII.

Ksiądz błogosławi przepyszne te dary,
Każe dziękować za szczodre ofiary.

Natychmiast hymny chwałę Bożą głoszą.
I kadzielnice wonny dym roznoszą.
Lecz balsamiczne woni téj rozlewy,
Tłumią gnijących ciał ludzkich wyziewy.
Świętych kantyczek uroczyste tony,
Jęk niewolników zamąca stłumiony,
A najwznioślejszy hymn podziękowania,
Głuszy rozpaczny wrzask ludu konania.
Śród tych rozgłosów nagle się zaćmiło,
I wszystko znikło, jakby nic nie było.

XXXIII.

W tém znowu olbrzym klepsydrę wywrócił;
Jakąś melodję wietrzyk w przestwór rzucił,
I dźwięk podobny do pieśni wieśniaczéj,
Powołującéj winogron zbieraczy,
Z ponad wybrzeży Xeresu uroczych,
Wzywał ich, zda się, do zabaw ochoczych.
Młody Kastylczyk, z Kastyljanką młodą,
Zaczął bolero, tan ognisty wiodą, ([8])
Ciesząc się społem; on, kapelusikiem,
Ona, warkoczem swym i gorsecikiem.
Pyszne to tany! jak Sylfy pląsają!
Kastanietami takty wybijają.

XXXIV.

Takie obrazy widowni téj wstępnéj,
Przygotowały zjawiska następnéj:
Męztwo łagodzi blask ócz roziskrzony;
I straszny rycerz, jak lew przyswojony,
Kląkł przed kobietą, potęgą jéj czaru,
Nie zdolen dźwignąć pancerza ciężaru.
Fanatyzm także przetworzon pomału,
Nie tak już często zagląda do mszału.
Lecz rzutki wieśniak oczyszcza winnice,
Mulnik przepędza muły przez ulice,
A na gazonach miękkich, każdéj chwili
Brżmią głośne zwrotki dźwięcznéj *sequedilli*.

XXXV.

Władza monarsza wciąż powagę roni,
Wreszcie wypuszcza berło z wątłéj dłoni,
I obojętnie patrzy jak bezwstydnie,
Kobieta z gachem dzielą ją ohydnie.
Wszelako spokój po siołach panuje,
Lud nie wie co tam u dworu nurtuje;
I pod kasztanem, przy brzęku gitary,
Tu, to tam, szepcą coś młodziutkie pary.
O! niech gitary melodyjne dźwięki,

Wtórzone nutą Kastylskiéj piosenki,
Brzmią smętnie słońcu już zachodzącemu,
I księżycowi zdala wschodzącemu!

XXXVI.

Jak chmura którą prorok Tishbite z trwogą,
Z Karmelu dostrzegł nad morską odnogą,
Co nakształt dłoni się rozpościerając
Nad Izraela ziemią, omraczając
Co raz ją, chociaż, z razu słońca blaski,
Brzeg jéj złociły lśniącémi opaski;
Nagle gęstniejąc, grżmiąc pod obłokami,
Przykrywszy wszystko czarnémi fałdami,
Wnet wysypała z groźnych swych całunów,
Potopy gradów, ulewy piorunów,
Którym, dostrojon do akordu, godnie,
Ryk uraganu wtórzył nieodrodnie.

XXXVII.

Tak do spokojnéj Hiszpanji wróg wkroczył,
I mnogie roty swe w wachlarz roztoczył.
Wódz miecza z pochwy wcale nie dobywał,
Przyjazném słówkiem wszędy się odzywał,
Uprzéjmie rękę każdemu podawał,
I knując zdradę, bezczelnie udawał,

Pokąd ukutym najniegodniéj planem,
Nie stał się klucza do Półwyspu panem
Wówczas kłamane serdeczne zapały,
Za jednym razem w niwecz się rozwiały,
Wyciągnął sępie szpony, i zbrodniczo
Rzekł, że Hiszpanja jego jest zdobyczą.

XXXVIII.

Skroń jego dumna była ozdobioną,
Świeżo wydartą Żelazną Koroną,
Godny diadem serca co nie drgało
Nigdy przestrachem, gdy zbrodnię spełniało.
Kształcon w obozie, mniemał on, zuchwały,
Że bardzo dosyć dla rycerza chwały,
Gdy w setnych bitwach zdobędzie wawrzyny,
Acz nie uzacnią je szlachetne czyny.
Wyniesion na tron dziwnym trafem losu,
Nie słuchał nigdy miłosierdzia głosu,
A drwiąc z obietnic danych obojętnie,
Co wczora przyrzekł dzisia łamał chętnie.

XXXIX.

Wyspa kolebką była rodu jego,
Nikomu przedtem nigdzie nie znanego.

Nędzna iskierka, co z chaty komina
Błysnąwszy, łunę nad grodem rozpina,
Nagle w nim paląc wszystko, bez wyjątku,
Nikczemniéjszego nie miała początku.
A co do duszy, co ten kolos buty
Tchem ożywiła!... nie ma tak zatrutéj,
Brudnéj kałuży, ów ściek zaraźliwy,
Który wylewem na zasiane niwy,
Niszcząc w zarodzie plon, smutnie zasłynie,
Straszliwym głodem po całéj krainie. ([9])

XL.

Temu wodzowi, Jędza, z piekła rodem,
Towarzyszyła wszędy, krocząc przodem.
Nikt nie określi kształt tego potworu,
Zbrojna pochodnią lśniącą meteoru,
Wskazując szlak mu w zaborczych gonitwach,
Wiodła go w szturmach i najkrwawszych bitwach.
Spiesząc śladami cnego przewodnika,
Grabił on wszystko, nakształt rozbójnika.
Ilekroć jędza pochodnią wstrząsała,
Zdobycz państw całych go nie nasycała
Furją tą była pycha tak zaciekła,
Że nawet w maskę się nie przyoblekła.

XLI.

Zemstą niegodną nie gardziła wcale,
Nie oszczędzała zgnębionych wspaniale,
Jak w owych czasach, gdy dla przetworzenia
Smutnych kolei Rzymu przeznaczenia,
Obok Cezara Rubikon przebyła.
Zdobytym łupem szczodrze nie darzyła,
Jak w wiekopomnych dniach chwały, gdy Greki
Pod Macedonem krocząc w świat daleki,
Skupiwszy wszystkie Hellady narody,
Szły, gdzie prowadził ich bohatér młody.
Nowe bożyszcze jéj, w hardéj prostocie,
Lubił ją w całéj jéj wstrętnéj nagocie.

XLII.

Mnich tęskném okiem wodzi po legjonach
Owych pogromców, w wielkich świata stronach.
Patrzy na orły zwycięzkie, sztandary,
Tego Mocarza bez czci i bez wiary.
— Mniemasz więc! krzyknął, w szalonym zapędzie,
Że twa potęga stać, trwać wieki będzie?
Siałeś na piaskach, tak! na piaskach siałeś,
I krwią człowieczą siew ten podlewałeś!
Wiedz, plago Boża! że krzew, nim rozwinie

Liść, gdy go zwilży rosa taka, zginie!
Wiedz! że dla kogo krew najmilszą strawą,
Sam krwią obluzgan, padnie śmiercią krwawą!

XLIII.

Groźny wódz skinął, i rade, nie rade,
Wybiegło z tłumu jakieś widmo blade.
Był to brat jego; kląkł, z jego rozkazu,
I został Królem Hiszpańskim od razu,
Podczas gdy trąby marsz bojowy grają,
A heroldowie: „Kastyllja!“ wołają. ([10])
Braterska-ż miłość czyn mu ten wskazuje?
Nie! gdzież on kogo na świecie miłuje?
Jednak swém wojskiem, kunsztem mistrza gracza,
Nowy tron, Króla nowego otacza,
By czczon kloc, jako lalka malowana
Natychmiast spełniał wolę Brata-Pana.

XLIV.

Taką obelgą naród znieważony,
Wkrótce ocknąwszy się, zgrozą zdumiony,
Jako mąż jeden, jednym głosem wrzasnął:
Do boju!... świat mu życzliwie przyklasnął.
I wnet kraina cała uzbrojona!
Genjusz Hiszpanji, Męztwo, nagle z łona

Rozkoszy zerwan, bo go dolatywa
Także już okrzyk ten, za miecz porywa.
I jak w niedoli Izraela syna,
Rozjuszon Samson, gromi Filistyna,
I on, w obronie ludu swego domu,
Wsparł go potężnie do wroga pogromu.

XLV.

Król teatralny ów, strwożoném okiem
Spojrzał na dwór swój w milczeniu głębokiém.
Ciska diadem i płaszcz bramowany,
By mógł co rychléj. umknąć niepoznany.
Trąby powstańców, w nieprzerwanym szyku,
Grzmią od Bilbao tak aż do Taryku,
Że satellity Monarchy zbiegłego
Z tronu, bezczelnie tak przywłaszczonego,
Walczą czas pewien jeszcze, całą siłą,
Dla odzyskania co się utraciło,
A może więcéj dla swéj własnéj sławy,
Niż podtrzymania upadłéj już sprawy.

XLVI.

Trąb tych dźwięk przemknął Alpuhary góry,
Wnet go odbiły i Korsenny mury,

Pyszna Sewilla wojennémi krzyki,
Odpowiedziała na ten sygnał dziki,
A i Grenada, echem jego, cała
Aż pod sklepienia Maurytańskie drgała.
Galicja zbroi wszystkie syny swoje,
Biskaja wściekle zrywa się na boje,
Murcja powstając nagle całym krajem,
Jak i Walencja, zwykłym obyczajem,
Bohatérskiémi swémi wojowniki,
Najwaleczniéjsze pomnażają szyki.

XLVII.

Lecz z tych wytężeń napastnik urąga;
Niéma dlań tamy, nic go nie powściąga.
Pewien zwycięztwa, umiejący snadnie
Dzielić, lub ściągać siły, jak wypadnie;
Obyty z trudem jak i z tryumfami,
I znając dobrze jakiémi środkami
Zmierzać do celu, na nic nie uważał,
Waśnił, przekupiał, pochlebiał, przerażał.
Hiszpan tymczasem, niewprawny do boju,
Jak nie nawykły do ciągłego znoju,
Mógł przeciwstawić mu jeno zbolałe
Serce, miłością kraju rozgorzałe.

XLVIII.

Wróg kroczy dumnie... szkoda jego trudu;
Nie zdusi jedną bitwą tego ludu,
Bitwą straszliwą, jak to się bywało
Mu na północy nie raz udawało,
Gdy jego orły, gdzie jeno wzlatały,
Co krok Królestwa, państwa obalały.
Hiszpanja miała inne przeznaczenie.
Darmo żelazo, i krwawe płomienie,
Sprzymierzonémi siły ją ściskają,
Obrońcy z grobów, zda się, zmartwychwstają;
Olbrzymi pożar wojny wciąż się wzmaga,
I często słuszność, nieprawość przemaga.

XLIX.

A nawet w miéjscach gdzie wróg tryumfuje,
Zemsta mu hojnie klęski swe wetuje.
W dzień nieprzyjaciel szerzy spustoszenie;
Lecz skoro północ rozciągnie swe cienie,
Wściekła *guerilla* nagle, jak kaskada
Z gór niebotycznych, nakształt burzy spada,
I mszcząc skrwawioną ojczyznę, stosami
Zawala pola ciemiężców trupami.
A gdy świt snopem promieni wystrzeli,

I rzezi nocnéj widownię zabieli,
Widzi z pociechą, śród zwalisk leżące,
Ciała zbrodniarzy dogorywające.

L.

Jakiż by odgadł bard, śród fantastycznych
Bojów, potyczek, szarmyclów tak licznych,
W które, obłąkan, Rodryg się wpatrywał;
Ilekroć padał, ilekroć się zrywał,
Sztandar Hiszpanji? — acz stał, czy się kłonił,
Zawsze się sławą wiekową przysłonił!
Straszne widzenie to, w całéj nagości
Mu przedstawiało zapasy przyszłości,
Na lądach, wodach, z jednaką jasnością.
I trętwiał, patrząc z jak dziką wściekłością,
Szatan falami krwi zaléwał lądy,
Stosami trupów odwracał wód prądy.

LI.

O Saragosso! hańba minstrelowi,
Co ci należnéj czci w pieśniach odmówi!
Bo do natchnienia, wysoce wzniosłego,
Nie znajdzie nigdy on nic szczytniéjszego!
Bomby, podkopy, wszystkiego użyto,
By bohatérskie szańce twe rozbito.

Dwakroć wyparłaś niegodnych intruzów,
Z krwią obryzganych, dymiących twych gruzów.
A gdy ci wreszcie ogłosiły losy
Wyrok okropny, wróg twój, Saragossy
Nie zdobył wcale, wziął jeno mogiły
Synów twych, co cię na wieki wsławiły! (¹⁷)

LII.

Wznieś czoło grodzie z rozbitym twym szańcem,
Bo acz zdobyto cię, nie jesteś brańcem!
Wznieś dumne czoło; bo twój niesłychany
Czyn, nabył prawa do świata poszany!...
Niech twoja święta patronka, Colonna,
Na wieki wieków będzie pochwalona,
Przez wszystkie dusze co pojąć zdołają
Chwałę twą, jaką bądź wiarę wyznają!
A jako stosu spalonego szczęty,
Z których męczennik k'niebu wzleciał święty,
Tak i zgliszcz twoich popioły dymiące,
Niech każde serce uwielbi czujące!

LIII.

A Saragossa nie była-ć jedyną,
Wielkiego miasta straszliwą perzyną!

I twych obrońców wspaniała Gerono,
Wsławi nie jeden bard pieśnią natchnioną!
Obrońców którzy do śmierci dotrwali,
Bo na wyłomach jak wkopani stali,
Gdy po nad głowy ich, siarką cuchnąca,
Wisiała czarna mgła dymu gorąca,
Którą niekiedy armat błyskawica
Przelatywała, odsłaniając lica
Szeregów wojska nieprzyjacielskiego,
Do szturmu grodu pędem spieszącego.

LIV.

Śród tylu nieszczęść, gdy wszystko trwożyło,
Gdy ziemia drżała, a niebo się ćmiło,
Gdy. przerażenie wszelakiémi zmysły
Krajało serce, gnębiło umysły,
Śród głuszącego klęsk takich łoskotu,
Wrzasnął głos jakiś trzykroć, nakształt grzmotu.
Głos ten, podniesion do takiego tonu,
To krzyk potężny synów Albionu,
Którzy skupieni w liczniejsze gromady,
Spiesząc do boju, albo na biesiady,
Drażnią się wzajem nim, by nieodrodnie
Tu, czy tam, ojcom swym dorównać godnie.

LV.

Don Rodryg słyszał, przestrachem złamany,
Krzyk Albionu ten, tak niespodziany.
Scena się zmienia, i nowe zjawisko,
Nowe przedstawia nagle widowisko.
Po Oceanie, prując jego fale,
Potężna flota ślizga się wspaniale;
Maszty jéj zdobią rozwite sztandary,
Tu Święty Jerzy, tam Krzyż Szkotów stary.
Wkrótce z okrętów pospuszczane łodzie,
Płyną, jak stada łabędzi po wodzie;
Bagnety, miecze, lśnią w promieniach słońca,
A pieśń wioślarzy o brzeg się roztrąca.

LVI.

Widok straszliwy, lecz upajający!
Tysiące łodzi, Ocean szumiący!...
Ledwie dotarły lądu, wnet na brzegi,
Wybiegły mnogich legjonów szeregi.
Chorągwie skręty fałdów rozpuszczają,
Działa okropnym rykiem przegrywają,
Bębny i trąby grzmią rykiem bojowym
Marsze, wtórzone piskiem flecikowym.
Hiszpan odetchnął, nadzieja się wzmaga,

Obawy milkną, krzepi się odwaga,
Bo Oceanu syny, jego tonie
Przebyli, walczyć w Hiszpanów obronie.

LVII.

Hufce te, z różnych żywiołów złożone,
Lecz do obrotów wojennych wdrożone,
Wylądowawszy, kupiąc się w oddziały,
Wnet się w szeregi groźne szykowały.
Tu, zwycięztwami pułk piechoty dumny,
Wyciąga lśniących bagnetów kolumny;
Tam dzielna jazda, krocząc szablą brzęczy,
Od jéj pochodu ziemia tętniąc jęczy.
I artylerja wlecze.swe pioruny,
Grzmoty wystrzałów i dymów całuny.
A adjutanci, lotne swe jak ptaki,
Przysposabiają do gonitw rumaki.

LVIII.

Żywioły różne — Anglja na te boje
Trzech Królestw swoich wyprawiła woje;
Bracia po broni, lecz współzawodniczą
Nieubłaganie, za chwały zdobyczą.
Przysłał ich Albjon, aby wielkim czynem,

Nowéj go sławy przykryli wawrzynem.
Poznać ich łatwo, po wspaniałym kroku,
Po entuzjazmie płonącym im w oku,
Po jasnym włosie, źrenicy błękitnéj,
Szczerocie słowa, i miłości szczytnéj
Praw swego kraju, która tak żołnierza
W bohatérskiego przekształca szermierza.

LIX.

A wyż rycerscy Północy wojacy,
Skromnego barda, wielcy współrodacy!
Rodryg, widmami témi obłąkany,
Patrzy na wasze pióra i tartany.
Członki żelazne, postawa prostacza,
Rysem wybitnym górala odznacza.
Lecz nigdy, nigdy, od serca Szkockiego,
Nie znajdziesz w boju serca dzielniéjszego.
A gdy wam *pibroch* zagrzmi pieśń bojową,
Gdy sztandar Szkocki zaszumi nad głową,
Gdy uderzacie z *claymorem* zażarcie,
Któryż wróg wasze wytrzyma natarcie?

LX.

Słuchajcie! Jakiż to śmiech tak serdeczny,
Opętał hufiec mężów tych waleczny,

Który wesoło brźmiąc śród walki burzy,
Grzmotom okropnéj bitwy, drwiąc z niéj, wtórzy?
Co to za śmiałki, co nawet konając
Żartują jeszcze, braci swych żegnając?
Twoi synowie to Erinie! — w boju
Lwy rozsrożone! — baranki w pokoju.
Prawdziwe dzieci matki swéj — natury;
Każdy z nich słodki, albo zły, ponury.
Któż wódz ich? — Wyspo cudna zielonością,
Sław chwałę jego; mąż ten twą własnością!

LXI.

A teraz Rodryg widzi błoń Vimery,
I zakrwawione pola Talavery.
Korunnę, tryumf swój opłakującą,
Łunę Busaco szczyty czerwieniącą.
Jednak apolog aczby jak wspaniały,
Nie może sławić bohatérów chwały.
Teatr ten złudzeń, acz tak wyrazistych,
Przedstawiż wielkość dziejów rzeczywistych?
Kwiaty poezji w szatach ich weselnych,
Możnaż wpleść w wieniec laurów nieśmiertelnych,
Co winne zdobić, jak hełmy, żyjących,
Tak i mogiły, olbrzymów w nich śpiących?

LXII.

Wolnoż rozwinąć, acz to mię tak drażni.
Polot swobodny wieszcza wyobraźni,
I zerwać całun świętokradzką dłonią,
Którym wyroki przyszłość dziejów słonią,
Przed smętnem okiem trwożliwéj Nadziei?
Wymienię-ż wszystkie tryumfy z kolei,
Gdy zwycięztwami Hiszpanji zdumiona,
I Europa tak długo uśpiona,
Jednoczy wreszcie wszystkie ludy swoje,
Na nowe trudy i na nowe boje.
Gdy trąba sławy wezwała narody,
Pomścić wydarte im podle swobody,

LXIII.

Niech bard najgłębiéj okiem w przyszłość wstrzega
Po za obecność nigdy niém nie sięga,
Bo ją dla wieszcza wzroku, Przeznaczenie
W nieprzenikliwe przyobleka cienie.
Lecz szczodrze za to daje mu w zamianę,
Wielkiéj przyszłości czyny dokonane.
Żegnam was przeto, podziemia magiczne! ([12])
Królu, prałacie, mary fantastyczne!

Zegnam was, żegnam!... i wszystko to znika,
Jak mgła poranna od słońca promyka.
Jednak raz jeszcze zabrzmij lutnio nutą,
Na cześć Hiszpanji, z duszy méj wysnutą!

Epilog.

I.

— Kto cofnie potok Estrelli rwisty,
Gdy wzdęty zlewą, pędzi w przestworza?
Kto ułagodzi szumy i świsty,
Rozhukanego orkanem morza?
Niech ów czarodziéj tak zawołany,
Zmierzy się ze mną, w zapału szale!...
Gdy strumień stanie, jak okiełznany,
Morze umilknie, gładząc swe fale;
Wówczas dopiero, jakby zaklęte,
Niedołężniejąc, czarów mitręgą,
Orły me zwiną skrzydła rozpięte,
Złamane guseł jego potęgą.

II.

— Krom takich cudów, wieże Lizbony
Tryumfalnémi loty okrążą,
I Albjonu sztandar czerwony,
Zdeptan, w otchłaniach morza pogrążą.
Tak na chropawéj Alverca skale,
Ciemiężca w pysze szalańskiéj dumy,
Przemawiał do swych wodzów zuchwale,
Gdy nadciągały wojsk jego tłumy.
Przed niémi wszędy błonia zielone,
Krajobraz cudne roztacza wdzięki,
Za niémi wszędy łuny czerwone,
Pożary, pustki, groby i jęki.

III.

Spełniż pogróżkę pogromca dziki,
Wypowiedzianą tak butnym tonem,
Acz Luzytanie zbroją swe szyki,
Spieszą Bretoni pod Wellingtonem?
Nie! nie! żelazne Busaco szczyty,
Wzniesione przed nim olbrzymią ścianą,
Szczerząc jak zęby, skał swych granity,
Staną mu tamą nieprzełamaną.
I tłuszcze jego pierzchną w zawody,
Gdzie je poniesie strach wielkooki,

Jak burzliwego strumienia wody,
Odparte głazem groźnéj opoki.

IV.

Lecz nadaremnie Acoby sępy,
Pożarły tylu jego rycerzy;
Dumny mnogiémi swémi zastępy,
Dysze on żądzą krwi i łupieży,
Pewny zwycięztwa; i z wież Lizbony,
Mogą niewiasty już w owéj chwili,
Widzieć żołdaków liczne legjony,
Co świat w połowie mordem zdobyli.
Mogą już słyszeć, w ducha frasunku,
Niesione wichrem bębnów łoskoty,
Wiodące czelnie tak do rabunku,
Nieprzyjaciela zbójeckie roty.

V.

Cztéry miesiące ryczały działa,
Czyhał nad łupem wróg pożądliwie,
Jako gromada wilków zgłodniała,
Krążąc w około owiec zdradliwie.
Ale lew wkroczył w szranki otwarte,
I hordy dzikie cofając kroku,
Pierzchły bezładnie strachem naparte,

Nie wytrzymawszy jego widoku.
A owe ognie wdali płonące,
Rumieniąc łuną horyzont krwawo.
Falangi zbirów uciekające,
Piętnują hańby wiecznéj niesławą.

VI.

Szatański odwrót! — najwymowniéjsze
Go nie określą pióra ni usta;
Gdzie spojrzéć nędza, i ohydniéjsze
Od niéj: zwaliska, mord i rozpusta!
Pod własną chatą wieśniak zarżnięty,
Ksiądz białowłosy u stóp ołtarza;
Tu płonie starzec w pożar wepchnięty,
A tam dziewicę żołdak znieważa.
I te obmierzłe, wcielone czarty,
Spełniali wszystko to obojętnie,
Wypowiedziawszy rokosz otwarty,
Bogu i ludziom, bezczelnie, wstrętnie.

VII.

Widząc niedolę taką z odrazą,
Stręt wieni zgrozą Anglji rycerze,

Z nieszczęśliwémi, ostrząc żelazo,
Chlebem się własnym dzielili szczérze. (¹)
A ich ziomkowie z Wielkiéj-Bretanji,
Ubodzy kmiecie, Lordy bogacze,
Do Luzytanji, to do Hiszpanji,
Szczodrobliwości słali haracze.
Kmieć ich obolem, wzruszon boleśnie,
Lord szterlingami, ochoczo darzył,
Poeta składał niegodne pieśnie,
Które współczując dla nich, wymarzył.

VIII.

Lecz ty, Fortuny dotąd pieszczochu,
Tak jużeś zwątpił o sławie staréj,
Że ci nie wleją wiary w popłochu,
Nawet szczyt Guardy, Marcelli jary?
Zbiegu! pogromco niegdyś, zwróć oczy,
Spójrz na ten sławny *Wodotrysk-Cześci*, (²)
Który bard jakiś wielki, proroczy,
Nazwał tak ongi w wieszczéj powieści,
Jakby chciał wskazać byś przy tym zdroju,
Zmył brud z imienia twego i chwały.
Spójrz więc nań, jeśli zdołasz w spokoju,
I probuj Losu, znowu, zuchwały!

IX.

Lecz wpiérw pościągaj wszystkie twe hordy,
Którym nieznany ryk lwa groźnego,
Ani świadome straszliwe mordy,
Pól Talawery, brzegów Montego.
Skup wszystkie twoje wściekłe zastępy,
Sprowadzaj nowe, łudząc je zdradnie,
Wyczerpuj do dna niecne podstępy,
Które wyrzucasz z duszy tak snadnie.
I te, zwołane zewsząd szeregi,
Wysyp, rozjuszon, na wroga tłumnie;
Próżne zachcianki! bo twe zabiegi,
Rozbije sercem on w niwecz dumnie.

X.

Próżno Aguedy brzeg lśni żelazem,
Zalałeś tłuszczą błoń Assuawy,
Co tylokrotnie, za jednym razem,
Rozniosła popłoch, zwiódłszy bój krwawy.
Nie ciesz się jękiem Kaledończyków,
Opłakujących śmierć Camerona. ([3])
On spotęgował wściekłość ich szyków,
Aż pamięć jego była pomszczona,
Bo zrozpaczeni Szkoccy górale,
W obronie wodza, cudami cudów,

Tak uderzali zapamiętale,
Że rozgromili tych wielkoludów.

XI.

Idź samochwalcze, ugnij kolana,
Przed twoim panem rozkazującym;
I z trwogą powiedz mu, że złamana
Potęga jego, w boju gorącym.
Wyznaj boleśnie mu prawdę nagą,
Żebrząc litości pokornym tonem;
Bo mimo męztwa twego; — odwagą,
Nie możesz mierzyć się z Wellingtonem.
A gdy się wściecze i sam przybędzie,
Czy twych porażek nie powetuje,
Co było tobie, i jemu będzie,
Bo za słusznością Pan Bóg wojuje.

XII.

Lecz wy, dnia tego bohaterowie!
Zdołaż poeta nieznany, skromny,
Na cześć każdemu z was, w wzniosłem słowie,
Wyśpiewać godnie hymn wiekopomny?
Wszelako imie cne Cadogana,
Tęskna ma lutnia rzuci w przestworza!
Niech je rozniesie sława uznana,

Gdzieś po za lądy, gdzieś po za morza.
Może on pozna bardon ministrela,
W którym, śród szumu wichrów, fal ryku,
Znalazł szczérego tak przyjaciela,
Na jednéj z dalszych wysp Atlantyku.

XIII.

Tak! to nie łatwo, gdy raz oręże
Dobędą z pochew Bretony śmiało,
Wymienić wszystkie wodze i męże,
Których otoczył świat czcią i chwałą.
Tu Albuera, Beresford! woła,
A tam Barrosa, Graem! wykrzykuje.
O! czemuż wątły głos mój nie zdoła
Wybrzmieć, co serca me dla nich czuje!
Bo nigdy, nigdy, na polu sławy,
Zwycięzca blaskiem szczytniéjszych czynów,
Nie zdobył sobie śród bitwy krwawéj,
Tyle i takich świetnych wawrzynów!

XIV.

O! któż zaprzeczy bohaterowi,
Laurów przesławnych tak Albuery,
Który przewodząc Luzytanowi,
Podniósł mu ducha do ojców sfery?

To powściągając jego zapędy,
To rozdmuchując znowu zapały,
Radą, przykładem, wszelkiémi względy,
Wiódł go koleją do dawnéj chwały.
O! niech ma arfa w pył się rozpadnie,
Strzaskana grzmotem w pierwszym akordzie,
Jeśli o tobie zapomni snadnie,
Wielki rodaku mój, Beresfordzie!

XV.

O! nie oceni nikt należycie
Odwagi jego, z tych tytanicznych
Zapasów z Gallem, gdzie jeno życie
Stracić mógł chlubnie, w trafach tak licznych.
Lecz gdy na boje wiódł on olbrzymie,
Nie wprawne jeszcze krajowców szyki,
W których zdobyły tak świetne imie,
Jak i Angielskie ich sojuszniki,
Wówczas narażał się on na strzały
Drwin, krwawszych niż cios miecza Polskiego,
Bo mógł uronić wszystkie swe chwały,
Jedną porażką — wodza wielkiego.

XVI.

Cześć i mężowi, co serca blizny
Goił w rozpacznych harcach bojowych.

Bóg mu, dla chwały jego ojczyzny,
Odmówił szczęścia pociech domowych.
Z dalekich krajów, z ciągłych gonitew,
Spieszył on zawsze na gody krwawe,
Skoro doleciał go odgłos bitew,
Szukając śmierci, znajdując sławę.
A jednak Szkockie pola i góry,
Wam on swe wszystkie święcił zadumy!
W Alpach, Athola widział kontury,
Ebr, uobecniał mu Clydy szumy.

XVII.

O wielki mężu, rodu wielkiego!
Krzyk twych praojców nieraz złowrogo,
Z czasów najazdu jeszcze Rzymskiego,
Pogromców świata przerażał trwogą!
Obok Wallasa, niejednokrotnie,
Śmierć on Południa rotom zwiastował;
W jarach Tummelu grzmiał téż ochotnie,
I Tibber pamięć o nim przechował.
Lecz nigdy nie wzniósł się tak wysoko,
Jak w dniu, jak w chwilach, gdy Rondy skały,
Sławione imie twe z czcią głęboką,
Graem! Graem! w krąg odbijały.

XVIII.

Ale już długo łódź ma zuchwała,
Brnąc po topielach mórz mi nieznanych,
Samopas gdzie niósł prąd, żeglowała,
Pośród bałwanów rozkołysanych.
Przeto jak Spencer, powolnym ruchem,
Przód jéj ku brzegu rudlem kieruję;
Żagiel jéj wzdęty lekkim podmuchem,
Naprężył liny; łódź nurty pruje.
Już Kaledonją mą, oko pieszczę,
Port jéj dostrzegam, żagiel więc zwijam;
Łódka po piasku denkiem szeleszcze,
Wreszcie do lądu, znużon, przybijam.

PRZYPISY.

PRZYPISY.

WSTĘP.

1). *Cattreath*, w pobliżu lasu *Ettricku*, miejscowość wsławiona bitwą przy końcu VI wieku *Celto-Bretonów* z okolic *Edymburga* z *Saksonami* z Northumberlandu. Wszystkie te wojny plemienne choć zwodzone na północy, opiewa dawna poezja przechowana dotąd w *Walji*.

Llywarch, bard uwieńczony, był zarazem Książęciem *Argwoodu* w *Cumberlandzie*. Walczył on na pograniczu Szkockiém do starości, pokąd nie odparli go *Anglo-Saksonowie* do kraju *Powysu*.

Merlina Willta, lub *Dzikiego*, mianują Szkotem, bo długo przebywał w zaciszu starożytnych lasów Kaledonji. Umarł w *Drummelzier* w wiosce leżącéj nad *Tweedą*, gdzie pokazują jeszcze grób jego, pod odwieczną tarniną, przy zlewie *Pansaylu* do *Tweedy*. Strumyk Pansayl

płynie na wschód smętarza ku Tweedzie, poniżéj nieco ruczajku tego, wskazują grób sławnego poety Merlina; pokazywał mi nawet miéjsce owo pod cierniem przed kilkunastu laty, p. *Richard Brown*, pastor tameczny. Tamto spełniło się dawne proroctwo, zawarte w dwuwierszu Szkockim:

„Gdy Pansayl z Tweedą połączy się przy grobie Merlina, Anglja ze Szkocją zjednoczą się pod jednėm berłem.“

Bo jak twierdzi kronikarz, dnia tego w którym *Jakóba VI*, Króla Szkocji, koronowano na Angielskiego Króla, Tweeda wezbrała tak nadzwyczajnie, że zalała Pansayl przy wzmiankowanym grobowcu, czego przedtém nigdy nie bywało.

(Opis Tweeddalu, przez *Ponnycuicha; Edymburg, 1715, IV, k. 26).*

2). Lud *Selkirkshiru* wierzy dotąd w pląsy Sylfów nocnych. Wodorzut u stóp kurhanu *Minchmore*, przezwany *Chesswell*, ma być im poświęcony, a zjednywano je sobie, wrzucając cobądź w wodę na ofiarę. Ciskano w nią zwykle szpilkę i obyczaj ten do dziś się przechowuje, wprawdzie dla żartu tylko.

3). Nieporównana giętkość języków Włoskiego i Hiszpańskiego, a może i wrodzona żywość umysłu, uzdalnia niezmiernie mieszkań-

ców krajów tych do improwizacji, w najniższych nawet warstwach gminu.

4). Walter-Scott pisze *Groem* zamiast *Graham* aby mówi on, południowe ludy wymawiały imię to, jedną zgłoską a nie dwoma, jak zwykły błędnie to czynić. Wolno poecie zająć się nazwą uświęconą tylu wiekami, przez bohatérską poezję. Korzystając z téj swobody, zmieniłem tu i gdzie indziéj, ortografię imienia dzielnego mego rodaka, zwłaszcza, że nawet po tamtéj stronie Tweedy wymawiają je dwu syllabami.

WIDZENIE

DON RODERYKA.

1). Wszyscy prawie historycy Hiszpańscy twierdzą, że piérwszym powodem najazdu Maurów na kraj ich, był gwałt dokonany przez *Roderyka* na *Floryndzie*, przezwanéj przez Maurów *Caba* albo *Cava*, *Nierządnica*. Była ona córką *Hrabiego Juljana*, jednego z wodzów Monarchy. Juljan, wielko rządca *Ceuty*, pomścił zniewagę córki, przymierząc się z *Muzą*,

wodzem Afrykańskiego Kalifa. Kierował on pochodem hufców Afrykańskich, pod naczelnictwem *Tarika* który wylądował w miéjscu nazwaném obecnie, *Gibraltar*, (*Gibel-al-Tarik*, *Kurhan Tarika*). Od owéj epoki to datują porażkę i śmierć Don Roderyka, i zajęcie całkowite Hiszpanji przez Muzułmanów. Niewiara *Voltaira* i *Gibbona* w legendę tę historyczną, niknie w obec ogólnego podania tego uznania. Hiszpanie, wedle *Cervantesa*, złorzecząc pamięci Florindy, imieniem jéj *suki* tylko nazywają. Wedle tegoż pisarza, Maurowie utrzymują że córkę Juljana pogrzebano na przylądku przezwanym przez nich *Caba-Rumia*, czyli *Niegodna Chrześcijanka*, i bez naglącéj potrzeby nigdy nie przybijają do obmierzłéj téj przystani.

2). Poprzednik Roderyka, zamordowany przezeń, wedle *Rodrigueza Toledańskiego*.

3). Legenda o *Zaczarowanem Sklepieniu* czy *Pieczarze*, przechodząc przez rozmaite usta i pióra, co raz dziwniéjszą się stawała. *Ludovicus Nonnius* tak o niéj wspomina:

„Za obrębem murów miasta ku północy, sterczą zwaliska teatru dawnego. *Roderyk*, Arcybiskup Toledański przed wkroczeniem Arabów, piérwszy wzmiankuje, że ruiny te *Zaczarowany Pałac* pokrywały. Zamykały go olbrzymie wrzeciądze, dębowe drzwi niezmierne, z obawy, aby, jeśli je otworzą, nie wypadła z nich *zagłada* Hiszpanji. Przekonanie to dzielił

nie tylko lud cały, lecz i najwięksi mędrcy. Roderyk ostatni Król *Gotów*, podżegan nieszczęsną ciekawością, wkroczył pod tajemnicze te sklepienia. Mniemał on że zdobędzie tam skarby Królów poprzednich. Rozkazał przeto na przekor wszelkim przedstawieniom, porozbijać zamki i kłódki, lecz znalazł jeno skrzynkę a w niéj pas płócienny, na którym pomalowane były postacie jakieś ludzkie, wejrzenia niesłychanego, w niezwykłych ubiorach. Wyczytał także na nim napis łaciński, zwiastujący, że naród tu przedstawiony podbije Hiszpanją. Wnosząc z rysów ich twarzy i strojów, byli to Maurowie. Wywnioskowano z tego przeto, że z Afryki, niewątpliwie, spadnie ta potęga na państwo. Nie omylono się, jak przekonała dostatecznie o tém katastrofa, którą roczniki Hiszpanji do dziś opłakują jeszcze.“

(Ludovicus Nonnius, Hispania, cap. L IX).

Lecz w epoce wyparcia Maurów z Grenady, czytamy w prawdopodobniéjszéj *Historji Króla Don Rodrigue*, domniemanego przekładu z Arabskiego, legendę, prześcigającą daleko skromną powiastkę Arcybiskupa i Nonniusa. Jakkolwiek słusznemi mogą być, historycznie mówiąc, drwiny Cervantesa z dzieł przypuszczalnie wziętych u Muzułmańskich pisarzy, Angielskiemu poecie wolno było, zda mi się, czerpać w nieprzebranych skarbach wyobraźni Hi-

szpańskiego kronikarza; rozsypanych hojnie tak w całém jego dziele. Czytelnik lubiący podobne poszukiwania, niech porówna z opisem zawartym w zwrotkach XIII—XVI poematu Angielskiego, ustęp zaczynający się od 23 karty, *Historja verdadera del Rey Don Rodrigo, Zuimta edicion, Madrid, 1654 in 4°.*

4). *Sierra*, po Hiszpańsku góra.

5). *Tecbir*, okrzyk bojowy Saracenów; *Allah acbar*! Bóg wielki!

Lelie, wyraz stworzony przez Krzyżowników, którzy nim oznaczali okrzyk religijny, *Allah, illah, Allah*! Bóg jeden jest Bogiem! rozlegający się w obozie Muzułmanów podczas ich modłów.

6). Hrabia Juljan, z *Oppasem* Arcybiskupem Toledańskim, wezwali Sarracenów do Hiszpanji. Liczne ich zastępy pod wodzą Tarika, lub *Tarife*, wylądowały w Gibel-al-Tarik, czyli Góra Tarika, miéjscu znaném dziś wszystkim pod nazwą Gibraltar. Tam połączywszy się z Hrabią Juljanem, spustoszył *Andaluzją*, i zdobył *Sewillę*. Wróciwszy w 714 roku, z potężniejszą siłą, spotkał się z Rodrygiem, zmierzającym przeciw niemu na czele mnogiego wojska. Stoczono bitwę przy *Xeres*. *Mariana* opisujący dzień ten szczegółowie, mówi że konia Królewskiego pokrytego perłami i klejnotami, znaleziono na brzegu rzéki *Guadolita*, a że

nie wiedziano co stało się z Roderykiem, mniemano że w nurtach jéj utonął.

(*Dzieje Hiszpanji*, przez *Mariana, Księ. VI, Roz. 9*).

7). Klacz *Arelją*, wzmiankowaną wyżéj przez Mariana, znajdziesz w wielu romansach Hiszpańskich; wspomina i Cervantes o niéj. Southey nazywają ją *Oreljo*.

8) *Bolero*, taniec Hiszpański pełen wdzięku i ognia. Tańczą go zwykle z kastanietami. *Mozo* i *mucacha*, znaczą prawie: młodzian i dziewczynka, wyrażając z jednéj strony coś wznioślejszego, z drugiéj, coś wdzięczniéjszego i zalotniéjszego zarazem.

9) Poemat ten pisany był w roku 1812, i spotęgowana nienawiść narodowa, może jedna nieco tłómaczyć nie zręczną przesadę obmierzłéj téj karykatury. Nieszczęściem dla Walter-Scotta, i historyk, w spokojniéjszych czasach, nie poprawił błędów poety. Nieubłagana zajadłość dla pamięci Napoleona, jest jedną z głównych cech obłędu umysłowego który opętał był Torysów.

(Nota tłómacza Francuzkiego p. *Alberta Montemont*, i p. *Barré)*.

10). Przy koronacji Króla Hiszpańskiego, heroldowie wołają trzykrotnie: *Kastylla! Kastylla!*

Kastylla! Wprowadzając na tron *Józefa Bonapartego*, nie zapomniano tego okrzyku.

11). *W Edimburgh Annual Register* z 1809 roku, znajdujemy opis *Obrony Saragossy*, z którego kilka ustępów, zajmie zda mi się, wielce czytelników.

„W murze obwodowym wkrótce zrobiono wyłom i wówczas, jak i w poprzedniém oblężeniu, walczono w domach i na ulicach. Lecz Francuzi znali już z doświadczenia wyższość krajowców w tym rodzaju walki. Jedynym środkiem zdobycia Saragossy, było zniweczenie ją ostateczne. Postanowiono przeto brać szturmem ulicę po ulicy, dom po domu, i natychmiast wzięto się do dzieła. Trzy oddziały podkopników i ośm saperów, przeznaczono na tę wyprawę podziemną. Hiszpanie, twierdzą wszyscy, usiłowali porobić *contre-miny*, lecz nie umieli tego dokonać, i wedle sprawozdań Francuzkich, codzień górników ich chwytano, lub dusiła waląca się ziemia. Tymczasem dzień i noc bombardowano.“

„W czterdziestu ośmiu godzinach, pisze *Pa*„*lafox* do przyjaciela swego Generała *Doyle*, „sześć tysięcy bomb wrzucono do miasta. Dwie „trzecie gmachów leży już w zwaliskach, lecz „co do nogi zginiemy pod gruzami pozosta„łych, a nie poddamy się, bądź pewny.“

„Podczas oblężenia, przeszło siedmnaście tysięcy bomb i granatów spadło na miasto. Zapasy prochu wyczerpały się w składach, po-

sługiwano się tylko robionémi dorywczo, a kulami zbieranémi na ulicach, odstrzeliwano.“

„Śród zgrozy takich nieszczęść, zaraza rozwinęła się straszliwie. Epidemja wybuchła oczywiście z braku żywności, przeludnienia dzielnic ocalonych, z trudów niepokoju, i niepodobieństwa wytchnienia, śród ustawnego huku bomb i wybuchów podkopów. Ani w dzień ni w nocy, nie miał chwili spoczynku gród ten bohatérski. Następstwo nawet zwykłe światła i mroku, wykoleiło się z praw swych odwiecznych. Dzień ćmił zupełnie dym czarny, przesiąkły siarką, przysłaniający słońce i niebiosa; noc, rozjaśniały błyskawice dział, moździerzy, i pożary ulic płonących.“

„Zaraza szalała w najlepsze; nie było środka powściągnąć jéj postępów, lub zamknąć w jednym obrębie. Urządzono przeszło trzydzieści szpitalów. Skoro który z nich działa rozbiły, przenoszono chorych do innych; tak więc zaraza rozpowszechniała się wszędy. Do tylu klęsk i głód przyłączył się w dodatku. Zdaje się, że miasto nie było zaopatrzone dostatecznie w żywność przed oblężeniem, i że znaczną jéj część zasypały gruzy budynków. Gdyby mieszkańcy i załoga Saragossy zastosowali się do zwyczajów wojny, poddali by się byli jeszcze przy końcu Stycznia. Wówczas już baterje ich zniesiono całkiem, wyłomy w wielu miéjscach wątłych murów otwarto, i nieprzy-

jaciel zajął by był miasto. Trzydziestego z górą 60 domów wyleciało w powietrze, i Francuzi opanowali klasztory *Augustjanów* i *de Los Marien*, które połączone z sobą, stały się ostatnią ochroną oblężonych. Wróg wkroczył do kościoła: każdy filar, kaplica, ołtarz, przetwarzały się w stanowisko obronne, zdobywane szturmem okropnym, odbijane jeszcze rozpaczliwszym. Krew zalała posadzkę, nawę i boki świątyni usłano trupami, po których walczący deptali. Śród tego boju, w całéj potędze wściekłego, dach zgruchotany bombami, spadającémi nań ulewą, załamał sklepienie kościoła; nie wielu z niezmiażdżonych upadkiem tym zapastników, zawiesiwszy bój na chwilkę, dla przejrzenia się w straszliwej téj katastrofie, rozpoczęło znów walkę śmiertelną. W krótce nowe zastępy wrogów wdarły się do przybytku świętego; mnichy, obywatele, żołnierze, kupili się coraz bardziéj, by ich ztamtąd wyprzeć, i rzeź przeciągała się bez końca, śród ociekłych krwią zwalisk, trupów i konających."

„Siedmnaście dni, wytrzymawszy to wszystko, bo bohatérska Saragossa broniła się jeszcze, a poddała się wówczas, gdy rozpacz jéj wymogła na Generałach Francuzkich, zaszczytniéjszą kapitulację niż wszystkie inne, udzielone piérwszorzędnym twierdzom."

Piérwsze oblężenie Saragossy, szczegółowie opisał p. *Vaughan*.

12). Zanim opuścim Zaczarowane Sklepienie, dodamy że o tej legendzie wzmiankuje i Calderon w dramacie swym *La Virgin del Sagrario*. W pierwszym jego akcie *Recisundo*, jeden z poprzedników Rodryga na tronie Gotów, ściga jelenia. Wtem zwierz przekształca się w człowieka, wzywa Króla do pieczary, urządzonej w głębi teatru, i zwodzi z nim bój szczególny. Walczą długo tam równemi siły, aż oznajmia Genjusz Recisundowi, że on nie jest monarchą przeznaczonym na zbadanie tajemnic *Zaklętych Sklepów*. Później przepowiedział mu upadek państwa Gotów i Chrześcjaństwa, jako nieodzowne następstwo wykrycia owej mistery. Przerażon wróżbą tą Recisundo kazał jaskinię zamknąć żelaznemi drzwiami. W drugim akcie tegoż dramatu, dowiadujem się że Rodryg wbrew zakazowi swego przodka, przekroczywszy próg podziemia, widział cuda, które miały poprzedzić upadek jego Królestwa.

EPILOG.

1.) Bezprzykładna waleczność wojsk Angielskich w wojnach z 1810 i 1811 roku, w których

walczyły tak zwycięzko, okryła je mniéj szczytną jeszcze chwałą w dziejach, niż ich ludzkość. Wytężały się one nad środkami złagodzenia klęsk wojny i osłodzenia losu krajowcom. Ożywione tém samém uczuciem, ścigając *Massenę*, niejednokrotnie dzieliły się one ostatnim kęsem chleba, z nieszczęśliwémi umierającémi z głodu, którzy przypatrywali się z dala płonącym swym włościom, podpalanym przez cofającego się wroga.

W nocie powyższéj jak i w texcie, poeta Angielski wraca do myśli, która natchnęła mu ten poemat, poświęcony Komitetowi dla wsparcia niedoli. Zdumiewamy się widząc Francuza tak okrutnego, w obec Anglika, wcielonéj téj cnoty. Czytelnik Francuzki słusznie by się na to oburzał, gdyby nie rozbrajała go pocieszna naiwność, z jaką Walter-Skott wychwalając rodaków swych, powiada, że przyrządzając zupę dla Hiszpanów, poświęcali im nawet nogi i głowę wołu, którego piekli na rożnie dla siebie. Sir Walter-Skott nie wzmiankuje wszakże, zkąd Anglicy wzięli całego wołu.

(Uwaga tłómacza Francuzkiego, p. *Alberta Montemont* i p. *Barré*).

2.) Przekład dosłowny; po Hiszpańsku: *Fuente del Honor*.

3). Dzielny Półkownik *Cameron*, padł, śmiertelnie raniony, w straszliwéj bitwie zwiedzio-

néj na ulicach wsi, nazwanéj Fuente del Honor. Legł on na czele swych *Highlanderów*, którzy widząc to, wrzasnąwszy wściekle z boleści, pomścili śmierć jego, wpadając zapamiętale na grenadjerów Francuzkich. Ów co ugodził Półkownika, runął z kolei, przekłuty na wylot mnogiemi bagnety, którémi bój zwarto. Massena rodaków mych w sprawozdaniu swém szczególnie pochwalił, mówiąc: „Anglicy w bitwie téj stracili wielu officerów i Szkotów!.

4.) Feld-Marszałek *Beresford* uczył Portugalczyków robić bronią.

5.) Alluzja do odwiecznéj chwały rodu *Grahamów*, (Groemów). Podanie wyprowadza go od wodza Szkockiego, który, na czele klanów, zdobył szturmem warownię wzniesioną przez Cesarza *Severa*, w widłach *Forthu* i *Clydy*. Na pamiątkę zwycięztwa tego, odłam muru jéj przezwano *Groblą-Greama*. Sir John Groeme znany dobrze jako przyjaciel *Sir Williama Wallace*. *Alderme*, *Kilsythe*, i *Tibbermuir*, były widownią bohatérskich zwycięztw *Margrabi Montrose*, z téjże rodziny. Wąwóz wreszcie *Tummel*, lub *Killycronkie* sławny bitwą wojsk *Króla Wilhelma* z klanami Highlandów, w 1689. Tam to poległ *Wice-Hrabia-Dundee*, należący także do tego rodu.

OMYŁKI DRUKU

dojrzane w pobieżnym przeglądzie.

Strona	Wier.	Druk.	Czyt.
13	26	*Stopy*	stropy
48	19	*Milcz nawałnica*	Milcz! nawałnica
53	3	*penaty*	Penaty
59	1	*wybucham*	wybucham.
77	11	*te*	tę
89	11	*mocarza*	mocarza;
96	13	*Wdal*	W dal
--	19	*nadpśutym*	nadpsutym,
119	7	*Boże prawo*	Boże prawo,
152	17	*rzeczułką*	rzeczulka
163	20	*dalszych.*	dalszych,
177	23	*więcej własna*	więcej, własna
180	18	*bólu*	bolu
215	8	*klichą*	kliką
216	11	*wokrąg*	w okrąg
224	22	*postanowiłem*	postanawiałem
225	1	*nie lada.*	nie lada,
235	10	*zwami*	z wami
241	1	*światło*	światła
246	2	*Wdali*	W dali
252	24	*osłonięta*	osłonięte
288	10	*wskok*	w skok

SPIS.